



ARCHIWUM
LEGIONÓW
i N. K. N.

Nr 1734

W
Piński



H. J. G. 1914

OD WILNA PO DYNABURG



OD WIND TO DYNABURG



1734

leg. 1411

WACŁAW LIPIŃSKI

OD WILNA PO DYNABURG

(WSPOMNIENIA Z WALK 5 P. P. LEGJONÓW)

WYDANIE DRUGIE

SIÓDMY—DZIESIĄTY TYSIĄC

WARSZAWA 1930

WOJSKOWY INSTYTUT NAUKOWO-WYDAWNICZY

Zakwalifikowana jako obowiązkowa
dla bibliotek szkół powszechnych.
(Dz. rozp. M. W. R. i Ośw. Publ.
Nr. 11 z r. 1925 pozycja 103).

Wszelkie prawa przedruku i przekładu
zastrzeżone.
Copyright by Wacław Lipiński

WILNU POŚWIĘCAM.

Autor

SPIS RZECZY

Od Autora.	1
W Ostrowi Mazowieckiej.	5
Pod Ostrą Bramą	14
Na Rukojnie i Miedniki	24
„Słodka ze Lwowa“.	41
Coraz dalej na wschód.	48
Walka z pancerką.	65
W Sołach.	83
Wśród ruin Smorgoń	92
Na linii niemieckich okopów	98
Atak na Zalesie	111
Zabawa w wojnę	123
Wypad na Markowo	135
Zdobycie Wilejki.	142
Nad krętą Wilją.	161
Szlakiem Batorego	169

PRZEDMOWA.

*Drugi nakład tej książki ukazuje się w równe lat dzie-
sięć od chwili, kiedy „wspomnienia z walk 5 pułku piechoty
Legjonów“ ukazały się w druku. Od tego czasu zmieniło
się wiele, innym może, spokojniejszym nieco okiem będzie
przeglądał czytelnik ich stronic.*

*Niemniej, chociaż opisy pierwszych naszych walk
o ustalenie bytu państwa nie będą zapewne budziły wśród
czytelników takiej ciekawości i tych wzruszeniowych, peł-
nych emocji wrażeń, jakie były udziałem każdego prawie
Polaka w pamiętnej dobie wojny o całość i niepodległość
ojczyzny — w drugim wydaniu tej książki nie poczynione
zostały najmniejsze zmiany, któreby zainteresowanie dzi-
siejszego czytelnika mogły powiększyć. Aczkolwiek mógł-
bym obecnie, jako pracownik Wojskowego Biura Historycz-
nego, wzbogacić wspomnienia niniejsze wieloma szczegó-
łami walk i przeżyć 5 pułku, opierając się na jego szczegó-
łowej historii — rozmyślnie oparłem się tej ponętnej po-
kusie, a to z dwu względów.*

*Po pierwsze, wspomnienia niniejsze ujęte zostały w for-
mę literacką (aczkolwiek bez żadnych po temu starań czy
„pretensyj“), co rzecz prosta, na konstrukcję książki wpły-
nęło w bardzo silnym stopniu i co nie pozwoliłoby dzisiaj
dodawać te czy inne szczegóły, nie mieszczące się w pier-
wotnem rozplanowaniu. Po drugie — co jest sprawą zasad-*

niczą — pisałem te wspomnienia prawie natychmiast po zakończeniu walk prowadzonych na szlaku Wilno — Dynaburg, w kilka zaledwie tygodni po odejściu mojem z macierzystego pułku. Wskutek tego noszą one charakter dużej bezpośredniości, co stanowi — niech mi ta nieskromność zostanie wybaczona — niemałą zaletę książki.

Powyższe względy wzięwszy pod uwagę — nie poczyniłem w drugim wydaniu żadnych zmian, dodając jeno skorowidz nazwisk, objaśnienia przy nazwiskach osób oraz nadając tytuły osobnym rozdziałom.

A u t o r.

OD AUTORA¹⁾.

Od wielu miesięcy spogląda Wilno na żołnierza polskiego.

Ujrzało go po raz pierwszy rozszerzonemi z radości i zdumienia oczyma, gdy w chłodny, wiosenny dzień po ulicach głuchego Wilna poczęły naraz trzaskać karabinowe strzały. Początkowo pojedyncze, ostre, alarmujące swym rozgłośnym, wysokim tonem, podrywające na nogi przerażonych mieszkańców, którym się zdało, iż to hula znów moskiewski bolszewizm—później coraz szybsze, coraz bardziej gorączkowe, coraz potężniejsze, zlewające się wreszcie w gwar upartej, wściekłej, zażartej walki...

W gwałtownym, coraz bardziej wzmagającym się ogniu, w ostrym poświście kul, w jazgotliwym, złym pogłosie karabinów maszynowych, wśród jękliwego huku ręcznych granatów, w rozgwarze ulicznej walki, w rozpaczliwym brzęku wypadających szyb, w suchym pyłe i kurzu, sypiącego się pod kulami tynku ze ścian—ujrzało Wilno po raz pierwszy od wielu, wielu lat żołnierza polskiego...

Ujrzało go znagła, niespodziewanie... Ujrzało go w ciężkiej bojowej pracy, poczerńiałego w ogniu, uparcie idącego naprzód, zdobywającego dom za domem, ulicę po ulicy...

¹⁾ Przedmowa do wydania pierwszego.

Przez miasto przeleciał, niby wichor radosny głos. Poroztwierały się naoścież z trzaskiem drzwi i okna i, wpośród huku i gwałtu karabinowego ognia, w polotach, w radosnych świstach kul, w walce o miasto, przeszła błyskawicą wieść z krańca na kraniec, z domu do domu, wieść niewiarogodna, wieść oszałamiająca, wieść jak z bajki przecudownej — że polscy żołnierze biją się o Wilno, tu, obok w ulicach, że idą naprzód, że już miasto całe niemal mają w rękę.

Rozszerzonemi z zachwytu oczyma patrzyło Wilno, jak przez ulice pochyleni w ogniu, biegli ułani... Ujrzało stare Wilno czerwone, kraśne rabaty niby maki na szarym, beipańskim ugorze i ujrzało płomień żołnierskiej krwi...

Widziało dalej, jak gorączkowo i pośpiesznie nadchodzące pociągi wyrzucały kompanje i bataljony szarego piechura, który wprost z wagonów, nasadzając bańnet na lufę, rzucił się w bój...

Po dwu dniach zajadłej, uporczywej walki zostało Wilno uwolnione. Coraz bardziej i bardziej oddalał się walczący żołnierz...

Zaroilo się wówczas miasto od szarego munduru. Przymaszerowywała silnym, potężnym krokiem piechota, łamały się w słońcu błyski bańnetów niby srebrne skry na szarych, morskich falach, budziła echo w krętych zaułkach mocna, radosna pieśń zwycięstwa...

Przeciągały przez miasto barwne szeregi kawalerji, tłukły o kamienie wileńskiego bruku tysiączne kopyta polskich koni, rozszumiały proporce ułańskich lanc, pojaśniały ulice od błysków dzwiczających szabel...

Łoskotem napelniły ulice poligony armat... Przeciągały z brzękliwym, ciężkim turkotem, pochylając swe krótkie, śmierć niosące otwory luf...

Szalało Wilno z radości...

Ostało się wierne żołnierzowi poprzez krótkie, przemijające chwile śmiertelnej trwogi, gdy zdało się, iż nie

wytrzyma żołnierz śmiałego naporu kontrataków moskiewskich, że ulegnie, cofnie się i odda miasto.

Lecz trwoga krótko trwała... Żołnierz legjonowy gromił a bił, coraz dalej na wschód się posuwał...

Zamieniło się wówczas Wilno w wielki obóz wojskowy, skąd, jak strzeliste promienie, rozchodziły się błyskawice uderzeń, promieniały blaski coraz to nowych zwycięstw...

Dnie, tygodnie upływały... Mieszkańcy Wilna z chciwością chwyтали za każdy numer pisma, z uczuciem nieopisanej ulgi kładli się wieczorem spać, w głębokiem przeświadczeniu, że i jutrzejszy dzień zastanie ich wolnymi...

Ogromny kraj, powiaty za powiatami, miasta po miastach dostawały się w ręce polskie... Po Wilnie — Nowo-Swięciany, Oszmiana, Wilejka, Mołodeczno.

Stary Giedyminy gród wszedł w nowy okres życia, jakiego pokolenia nie pamiętały... Z nim cały kraj, Litwa i Białoruś...

Rozpoczął się okres wolnego słowa, swobody życia, okres — w porównaniu do poprzednich — jakiego nie pamiętali najstarsi na Litwie ludzie...

I to życie, jakie tętni naokół żywym, radosnym pulsem, te słoneczne dni, tak niepodobne do tych, w jakich się dotychczas mieszkańcy tego kresowego miasta wychowywali, te pełne wesela, ruchu, piosnki i muzyki ulice, place i ogrody, niezachmurzona trwoga i złowieszczem przeczuciem przyszłość, — wszystko to zawdzięcza stare Wilno żołnierzowi polskiemu...

Nie powstał on z suchych, „realnych“ obliczeń ni rachunków, nie towarzyszył mu w jego pierwszych poczynaniach i pierwszych krokach, ciernistych i żmudnych, naród jego...

Z niezapomnianego, letniego dnia 6-go sierpnia wywodzi się jego nowe, dzisiejsze pokolenie. Z błyskawic decyzji, z młodzieńczych, „romantycznych” marzeń o Polsce, ze snów o potędze i szpadzie, z entuzjazmu i zapału, na jaki zdobywać się zwykła młodzież polska w dniach wielkich, w dniach przełomowych—powstała owa potężna dziś armja, krusząca niezłomnemi ciosy wroga naokół potęgę... I rozszerzając dzisiaj granice polskie, rzuca fundamenty pod przyszłość i trwałą moc Ojczyzny ów żołnierz, którego po raz pierwszy w kwietniowy, chmurny dzień ujrzało Wilno...

Tego szarego żołnierza, których tysiące stoi dzisiaj nad dalekimi kresami wschodu, których tysiące, niby rzeka wiecznie wdal idącą, przepłynęło przez ulicę waszego miasta, tego żołnierza żywot szary i piękny, codzienny i bujnie pyszniący się w kurzawie dymu — chcę wam pokazać. Pokazać takim, jakim on jest w dniach bojów ciężkich i mozolnych, w dniach trudu i przelanej krwi, która wsiąkła gdzieś w piaski litewskiego boru.

Autor.

Wilno, grudzień 1919 r.

W OSTROWI MAZOWIECKIEJ.

Żołnierz I dywizji Legjonów generała Rydza-Śmigłego¹⁾, który w kilka pierwszych miesięcy wojny polsko-rosyjskiej zdołał zebrać już tyle laurów wojennych, wczesną wiosną 1919 roku wyrwany został przez pobór z domowych pieleszy.

W końcu marca, z 5 p. piech. Legj., walczącego od listopadowych dni 1918 roku pod murami Lwowa, wybrani zostali oficerowie i podoficerowie i odesłani do Ostrowi Mazowieckiej, do ogromnego obozu wojskowego, gdzie miała utworzyć się I dywizja.

Przed 1-ym kwietnia zajechaliśmy do koszar w Ostrowi. Ogromne, czerwone, tak typowe rosyjskie koszary czekały już opróżnione na rekruta, który miał lada chwila nadejść. Część koszar zajęta została przez 1 p. piech. Legj. który się o kilkanaście dni wcześniej zaczął formować, i obszerne place musztry rozbrzmiewały już krzykiem komendy „szczękiem, w suchy takt targanych karabinów.

Dla 5 pułku rekrut miał nadejść lada dzień, dziś... jutro...

W kilka dni już wszystko było gotowe. Major Dąb-Biernacki nowy dowódca²⁾ „piątaków” „amcił” w kancelarii

¹⁾ Pierwszym dowódcą 1 dywizji piechoty Legjonów został mianowany generał Rydz-Śmigły, ob. inspektor armii.

²⁾ Dowódcą 5 pułku od listopada 1918 r. do kwietnia 1919 r. był ppłk. Karaszewicz-Tokarzewski, ob. generał brygady, dca 25 dywizji piech., od kwietnia zaś major Dąb-Biernacki, ob. gen. bryg.

pułkowej, dowództwa poszczególnych bataljonów i kompanij powyznaczano, koszary uprzątnięto, szkoła podoficerska w ruchu. Czekamy na rekruta!

Coś około 1-go kwietnia zaczęły nadchodzić transporty. Wysypywały się z wagonów tłumy rekrutów z tobołkami, walizkami, skrzynkami, w najrozmaitszego rodzaju, kalibru i wymiaru ubraniach, butach i czapkach...

Tłum... Szary, bezbarwny, bezsilny tłum wyrostków, chłopaków dwudziestoletnich przeważnie, zebranych głównie z Łomżyńskiego i Lubelskiego.

Z tej masy ludzkiej w krótkim czasie trzeba zrobić wojsko. W przeciągu trzech tygodni ten skłębiony przed wagonami na małej mazurskiej stacyjce kolejowej szary, swarliwy tłum, gwarny, poruszający się bezładnie, tłoczący się i gapiący na wszystkie strony, ma się stać szeregiem milczącym, równym jak uciął, na ostry głos komendy sprężony na „baczność“, w krótki, urwany takt trzaskający karabinem...

Ma się stać z tego żołnierz, idący w bitwie naprzód, rozsypujący się piorunem w tyraljery, lecący jak burza ze szturmowym hurra — do ataku!...

Ma się stać z niego legionista; prawy żołnierz Komentanta, z iskrzącym okiem słuchający opowiadań o dawnych legionowych dziejach, z zatrzymanym tchem z dumy i radości serdecznej sprężony wtedy, kiedy surowemi brwiami sięgać będzie szeregi On... Naczelný Wódz...

Takie myśli przewijały się nam po głowie, gdy przed koszary przyprowadzono ów pierwszy transport rekrutów...

Nazajutrz rozpoczęła się gwałtowna, iście z amerykańsko-legionowym prowadzona tempem, praca wyszkoleniowa. Wiedzieliśmy jednak, że idziemy na Wilno, że czasu tak strasznie, tak okrutnie mało, że podoficerów brak... Duszę więc z siebie trzeba było wydrzeć, na śmierć się zacharować po łokcie, po ramiona, zachrypnąć całkiem od komendy, mdleć

wieczorami z wyczerpania po całodzienniej pracy, lecz żołnierza dla Komendanta na czas zrobić... Bo przecież Wilno czeka...



Oficerowie III bataljonu 5 p. piech. Leg. przed wymarszem na Wilno. Stoją od lewej strony: ppor. Lepiarz, por. Mazur-Sekara, podchor. Grzyb, ppor. Dztolew, por. Kogut-Wyrwiński, por. Świątecki, ppor. Lipiński. Siedzą od lewej: ppor. Krzyżanowski, † ś. p. ppor. Liwacz, kpt. Krzyżanowski, por. Chiłewski, ppor. Broda.

Od białego więc świtu do późnego wieczora orka z wywieszonym językiem.

Gdy sierżant-szef ustawił jako tako ogromną kompanję rekrutów, powciągana już do ksiąg ewidencyjnych, ogląda ją szczegółowo dowódca kompanji. Stanie zdaleka, by móc lepiej ogarnąć wzrokiem i głosem komendy...

250 ludzi w kompanji... Jak świat - światem, jak legjony - legjonami, nic podobnego się nie widziało. Jezu, co za kompanja! Toż to świat zawojować można z tyloma chłopą!

I nastrajając na najgroźniejszy ton rozkazy, aby się nie zdradzić ze wzruszeniem (boć to nareszcie po tylu latach wyczekiwania i marzeń, rekrut z poboru wzięty, z wolnej Polski!)... wydawało się sucho dyspozycję kapralom, sierżantom i co morowszym kandydatom na podoficerów ze lwowskiej jeszcze wiary, która już leguńskim duchem piątaków nawskroś przesiąknąć zdołała!

Pierwsze kilka dni nauki były okropne. Zdawało się, że z tego zbaraniałego rekruta nic nie da rady zrobić, że mu się za Boga nie wytłumaczy zachodzeń i zwrotów, przytupywań mocnych a jędrnych w marszu na „baczność“, że za nic nie pojmie chybkości żwawej zbiórek i rozsypek w tyraljery. Lecz prędzej, aniżeli się spodziwać należało, dostrzeżliśmy wyniki... Po trzech dniach dwurząd kompanji stał już jako-tako... Nie wystawały brzuchy i odwrotne części, nie przekrzywiały się głowy do góry ni na bok, nie tłukły się ramiona i beznadziejnie nie plątały nogi przy zwrotach...

Oficerowie, zdala ciągle kontrolując, podoficerowie godzinami całemi „tłukąc“ z poszczególnymi żołnierzami, rotami i sekcjami zwroty, marsze, tyraljery, zbiórki — doczekali wreszcie się jakich takich wyników. Rekrut powoli zaczynał zatracać indywidualne, swoiste pokracstwo, gdzieś w tamtej stronie Sandomierza czy Narwi zadomowione, począł się z każdym dniem w zwrotach i marszach zlewać w jeden, stężony komendą, twardy i spoisty mur...

— Pierony jasne! jak wy ćwiczycie, ofiermy sakramenckie! — rozdziera gardło gdzieś z drugiego końca placu dowódca kompanji i gniewny ten głos dochodzi mentalnie do podoficerów. Zatrzymawszy więc swe sekcje jeszcze raz z beznadziejną cierpliwością wbijają, wbijają w uszy, jak się ma to a to ćwiczyć...

Zachrypnięty najkompletniej złości się pod koniec ćwiczeń dowódca kompanji, wytyka braki i błędy, lecz z trud-

nością ukrywa zadowolenie, gdyż widzi, że o wiele, wiele lepiej te sakramenckie rekruty ćwiczą dzisiaj, niż wczoraj...

I nagromiwszy zebraną kompanję, natoczywszy wściekłym wzrokiem, „finiszuje” już całkiem łagodnie: — No, chłopcy, lepiej już dzisiaj było, niż wczoraj—i choć jeszcze źle i sakramencko podle, jednak, chłopcy, nasza kompanja — górą!...

To „górá” brzmi jak nagły strzał...

Hurra, hurra, hurra!... Trzykrotny, wściekły wrzask rozdziera ciszę polany leśnej, i chłopakom jaśnieją gęby jak słońca, boć przecie widzą dobrze, że dowódca kompanji jest z nich zadowolony...

Więc z radością okrutną jak nie krzykną w marszu powrotnym, aż czuby sosen zadrżą i potrzásną gałęzmi: Miała pani gęsiora... gęsiora... gęsiora!...

Bowiem już i piosenek się wieczorami nauczyli. Po pogadankach ideowych i wojskowych, w których oficerowie siłą się na całą elokwencję, jaką w zapasie posiadają, by chłopcom obszernie, jasno a prosto wyjaśnić, co to jest ta Polska, która ich do wojska wzięła, kto to jest ten Naczelnik Państwa i Naczelný Wódz, Komendant Piłsudski, i za jakie zasługi został wybrany tym wielkim dostojnikiem, po gawędach o tem, jak „oferma sakramencka” salutuje, a jak morowy „legun”, — zbiera kompanję wkoło sierżant-szef, i dogadując złośliwie, uczy żołnierzy śpiewać co lepszych piosenek do marszu... żebyście rekruty zamazane nie chodziły jak dziady ze zwieszonemi łbami...

Po dwutygodniowej, niezmordowanej pracy oficerów i podoficerów, którzy od ciągłych krzyków komendy pochrypili tak, że niektórzy z najwyższym wysiłkiem, z tragiczną mimiką twarzy mogli cośkolwiek z siebie wydobyć, zaś inni całkiem na głucho zaniemówili—banda cywilów zamieniła się w żołnierzy. Z każdym dniem coraz bardziej nabiera cech wojskowych, z każdym dniem coraz sprawniej się porusza na ćwiczeniach i w koszarach.

Zanim jednak kolumna kompanji zaczęła w marszu nabierać cech prawdziwego wojska, wiele upłynęło wody i mocno sobie nerwy nacharataliśmy...

Ekwipunek żołnierski kapał... Co dwa co trzy dni dostawał żołnierz coś z umundurowania, lecz, zanim się wyekwipował zupełnie, można było dokładnie dostrzec ową powolną ewolucję z cywila na żołnierza.

Początkowo więc dostał buty. Solidne, mocne, na wzór amerykańskich szyte,... jednak już polskie.

Gdy przyszedł pierwszy transport tej masy trzewików, oglądaliśmy je z prawdziwem uczuciem i wzruszeniem. Czuliśmy nad sobą własne już państwo, które się nami opiekuje...

Po butach pokolei dostawał żołnierz: karabiny, spodnie, płaszcze, mundury... Lecz ciągle jeszcze czegoś było brak. To karabiny bez pasów, lub pasy bez karabinów, to czapki bez orzełków, lub orzełki bez czapek; ciągle jeszcze z utęsknieniem wyczekiwaliśmy nadejścia resztek wyekwipowania, by wreszcie rekrut był od stóp do głów umundurowany.

Po dwóch tygodniach, gdy już kompanje jako tako przeszły szkołę musztry formalnej i gdy się je ćwiczyło po całych dniach bojową musztrą, w połowie kwietnia gruchnęła nagle wieść, że już... już... na Wilno.

Transporty nadchodziły za transportami. Podćwiczonego rekruta nagwałt ubierano, ćwiczono ostatniemi dniami od świtu do późnej nocy. Wreszcie urządzono ćwiczenia taktyczne nocne i dzienne i pewnego dnia orzeknięto, iż skoro inaczej nie da rady — można z tym żołnierzem pójść w ogień i... zwyciężyć...

Ostatniego więc dnia nadeszły wozy taborowe i konie. Pierwszy raz w naszym życiu wojskowem dostawaliśmy kompletne urządzenia taborowe, pierwszy raz tabor nasz nie kompletował się z „fasowania“ na prawo i na lewo...

Któregoś wreszcie z pierwszych dni kwietniowych zjechało oczekiwane dowództwo dywizji z generałem Śmigłym-Rydzem, który do tej pory gdzieś na starych, dawnych naszych legjonowych pozycjach wołyńskich tłukł bolszewików i — po dwu dniach gwałtownego pakowania, ładowania, krzyku, rwetesu, sądnego dnia i urwania głowy — 1 pułk piech. i dwa bataljony 5-go ruszały z koszar na stację.



Wymarsz III bataljonu. 5 p p. Leg. z Ostrowi Mazowieckiej,

Nasz III bataljon 5 p. piech., który najpóźniej dostał rekrutów, miał jeszcze pozostać tydzień, dwa tygodnie, by dokończyć wyszkolenia.

Reszta wyruszała. Kompanje za kompanjami, z ogromnym śpiewem, z nowiuteńkimi karabinami szły w takt, miarowo, równo. Po czerwonych budynkach koszarowych sto-

krotnie odbijało się echo i gdzieś koło stacji bił w krok marszu ogromny bęben orkiestry...

Pułki szły na Lidę, na Wilno...

Z uczuciem niesłychanej zazdrości spoglądaliśmy na ich wymarsz; wiedzieliśmy, że chociaż za tydzień mamy wyruszyć, jednak już będzie po wszystkim... Dość było spojrzeć na wyraz twarzy oficerów, prowadzących swe oddziały.

Ileż w nich było cichej, radosnej, wzruszającej dumy, ileż pewności siebie! Co za pycha ogarnia leguna, gdy z wysokości konia spojrzy na głęboką kolumnę marszową swej kompanji, na kolumnę, którejby nie powstydził się dawniej dobry bataljon...

I widać było jak wzbiera w nich radosna chęć wielkiego, wspaniałego czynu, nowej potężnej walki i zmagania, wicherowego pędu naprzód na przodzie pochyłonych bagnętów, huraganowego szczęku walki i rozkoszy żołnierskiego zwycięstwa...

A w perspektywie tych marzeń wymarzone, wyśpiewane w tylu piosnkach — to, po Krakowie drugie legendy miasto: Wilno...

Przypuszczenia nasze okazały się słuszne. Po kilku zaledwie dniach przyjechał pierwszy kurjer z wiadomościami o Lidzie, Wilnie...

Widzieliśmy z opisu walk, że jest dość ciężko; widzieliśmy, że nas tam mocno potrzeba: podwoiliśmy więc naszą pracę do osiągalnego „maximum“ i czekaliśmy z dnia na dzień rozkazu...

Tymczasem napływały transporty mundurów. Ciągłe czegoś było brak, a najgorzej odczuwać się dawał brak plecaków...

Dowódcy kompanij wpadali w prawdziwą, serdeczną rozpacz...

— W zębach ćwoki rekruckie będą nosiły koszule i graty swoje? — wołał niejeden w rozpaczy do dowódcy bataljonu, kapitana Bortnowskiego¹⁾, który nic, krom tego, że na głowie się nie postawi i rynsztunku nie stworzy — nie mógł odrzec.

Więc grczyło oficerstwo, przedstawiało, że niemożliwy jest wymarsz w pole z takimi brakami, z rozpaczą w oczach i głosie wołali w kasynie, że oni nie pójdą z tak wyekwipowanemi kompanjami, że wogóle to jest skandal!...

Lecz, gdy nareszcie przyszedł rozkaz wymarszu, kompanje miały plecaki...

Pozszywano z kolorowych najrozmaitszych koszul, płacht, ze starych części mundurów worki, za pracowitemi osobistemi wskazówkami każdego z oficerów, i jakoś kompanje stanęły gotowe do wymarszu, bez straszliwie zapowiadanego trzymania rynsztunku w rekruckich zębach...

W pochmurny, wietrzny poranek kompanje stały gotowe na szerokiej szosie. Przez całą noc ładowaliśmy na pociąg tabory, konie, kancelarje i wczesnym rankiem, przy ogłuszającym wrzaskiem orkiestry, kompanje wyciągnęły się w długą kolumnę marszową...

Wiatr targał połami szarych płaszców i przez nieokryte jeszcze zielenią, zrudziałe podlaskie pola szła rozgłośna żołnierska pieśń:

Z Warszawy zobaczyć już nam pilno,
To nasze kochane, stare Wilno,
To nasze kochane, stare Wilno...

¹⁾ Kpt. Władysław Bortnowski, dca III bataljonu 5 p. p. Legjonów — obecnie płk. dypl.

POD OSTRĄ BRAMĄ.

Naładowany po brzegi pociąg z wielkim stukiem i wstrząsem — ruszył. Kilkanaście wozów zajęła piechota, reszta spiętrzona wozami taborów.

Ogarnęła nas nagle, ot tak, z wiosennego powietrza wchłonięta, niezmierna radość. Poczucie, że już skończyliśmy ćwiczenie rekruta, że skończył się ten przeobrzydliwy dla każdego linjowego oficera i żołnierza czas kadry i jej „po-
ządeczków“, czas krzyków i wrzasków komendy od rana do
ocy, — przeświadczenie, że wreszcie jedziemy na ową wymarzoną Litwę, do nieznanych dalekich stron, do zaścianków laudańskich, do dworzków Zosi, Telimeny i Pana Tadeusza, — poczucie lekkości i spokojnego sumienia, jakie odczuwa każdy człowiek po spełnieniu swych obowiązków, a oficer po wyćwiczeniu rekruta tem bardziej — wszystko to razem napełniło nas taką radością, żeśmy w wagonie z uciechy poczęli śpiewać, skakać, jak małe dzieci, a...
pić, jak najstarsze ze starych leguny.

Pociąg tymczasem mijał stację za stacją. Po krótkim postoju w Małkini zjechaliśmy na ongi petersburską drogę, na drogę wzdłuż sennych, monotonnych równin podlaskich, zrzadka ciemniejących chłodnemi ścianami borów.

W całym pociągu panował przepyszny humor i nastrój. Rekruci, po raz pierwszy od kilku tygodni puszczeni z pod żelaznej, kadrowej ręki, ciekawie przypatrywali się płaskiej

okolicy, śpiewając pokolei wszystkie wyuczone pilnie w koszarach śpiewki. Niejeden z nich zapewne uczuwał treść i niejasne uczucie niepokoju podczas tej jazdy na front, na „wojnę“, lecz naogół udzielił się wszystkim nastrój radosny, nastrój beztróskiego śpiewu i wesela.

Co starsi podoficerowie, którzy przebyli już „lwowską“ wojnę, lub jeszcze starsi, legjonowi, pokpiwając z rekrutów, straszili niesłychanymi okropnościami bitwy, w której zawsze wszyscy giną i nikt, bez utraconej ręki, nogi lub zgoła głowy nie wychodzi...



W czasie drogi do Wilna.

Lecz rekruci poznawali po szelmowskich, dowcipu pełnych błyskach oczu, że to „nabijanie na całego“, i chcąc wkupić się w łaski „wiary“, niezgrabnymi kulasami zaczęli wypisywać na czerwonych z „P. K. P.“ ścianach wagonów: Legjony Polskie, 5 p. piech... Niech żyje Józef Piłsudski — i różnego rodzaju poza tem potworne groźby pod adresem bolszewików i innych Chińczyków...

Tymczasem pociąg wiozł nas coraz dalej i dalej na wschód. Wiatr targał kłębami dymu, wpadał do otwartych

lor i wagonów, awanturował się wszędobylski wśród siana, na którem żołnierze, wyciągnawszy nogi, porozkładali się jeden obok drugiego, łopotał płótnami, okrywającymi płytkie wozy, zaglądał nawet do kotłów kuchen polowych, bawiąc się sykiem pary, idącej z kotła, pełnego ryżu.

Monotonny stukot kół oddalał nas coraz bardziej od Warszawy, od Kongresówki. Pod wieczór staliśmy nieco dłużej w Białymstoku, a drugiego dnia, już ódrze po południu, stanęliśmy w świeżo zdobytej Lidzie. Na licznych szerokotorowych liniach stały pociągi ciężarowe, z dawno niewidzianymi rosyjskimi napisami i zagadkowemi jeszcze wówczas dla nas inicjałami bolszewickimi: R. S. F. S. R.¹⁾ (dopiero następnego dnia wilnianie objaśnili nas o całkowitem brzmieniu owego skrótu). Obok, na wąskim torze, stała słynna już z lwowskiego frontu, panczerka „Śmiały“ obok lśniącej, czystej, wytwornej nawet czołówki sanitarnej.

W Lidzie, po porozumieniu się ze stojącym tu dowództwem frontu generała Szeptyckiego, zaczęliśmy przeładowywać nasz bataljon na szerokotorową linię. Każdy z dowódców kompanij, świecąc latarniami, osobiście doglądał, by, broń Boże, jakowś oś lub dyszel przy wozie się nie zepsuł, by który z koni nie złamał nogi w zdrafnem przeładowywaniu z wagonów do wagonów...

Już świtało, gdy praca była skończona. Zmordowani porządnie, pokładliśmy się pokotem spać. Obudziło nas radosne, głośne, pełne wzruszenia, wołanie: Wilno, Wilno...

Rzuciliśmy się wszyscy do okien. Pociąg już trajkotał hałaśliwie na stacyjnych torach, które wypadały z pod kół we wszystkich kierunkach — gdy przed oczyma, poza wagonami, poczęły się przesuwać pierwsze domy Wilna...

¹⁾ Rossijskaja Sowietskaja Fiedieratiwnaja Socjalistyczeskaja Riepublika“.

Zaczynamy się gorączkowo, śpiesznie ubierać. Krzyk naraz się zerwał, bo każdy z nas wołał swego ordynansa.

Wody... mydła... buty nowe... mundur (ten, wiesz, ofermo, z walizki), rękawiczki, szpicrutę — wołania te przerywały gwar zmieszanych głosów. Każdy chciał się jak najpiękniej sprezentować w owym zdobytem przed tygodniem Wilnie.

Dojeżdżamy do stacji i po chwili wysypujemy się na peron. Oko przerzuca się z przedmiotu na przedmiot, z obrazu na obraz; wzrok chciwie wchłania wszystko, co się naokół dzieje...

Więc pierwszą rzeczą, jaka nas uderzyła, była to gromadka dzieci, która się zbiegła do wagonów. Dziwne to były dzieci, jedyne chyba w Polsce... Tak niemiłosiernie wynędzniałe i wybladłe, zbiedzone, chude rączęta wyciągające z żalosnem, śpiewnem wołaniem o chleb...

Przypatrujemy się tym dzieciakom, rozdając jednocześnie wszystkim chleb, jaki razem z naszymi ordynansami posiadamy pod ręką, wypytując się skwapliwie tych pierwszych spotkanych wilnian, chcąc jak najprędzej choć jakie takie pojęcie wyrobić sobie o mieście, którego mamy zapewne bronić...

Bronić Wilna! Przez asocjację pojęć, z racji tyłomiesięcznej przez nasz pułk obrony Lwowa, koniecznie nam się zdaje, że i w Wilnie walki będą miały ten sam charakter obronny. Nie wierzymy jeszcze bardzo w naszą militarną siłę, natomiast przeceniamy bolszewików...

W pewnej chwili doleciał do nas niezbyt stłumiony, nawet dość wyraźny huk armat. Gdzieś biły niedaleko działa...

Biją!... Aha, drugi Lwów!...

Te bliskie huki, których ucho tyle się nasłuchiwało na ulicach Lwowa, ostatecznie nas upewniają, że i tutaj będzie tak samo... Tymczasem schwytałismy któregoś z ofi-

cerów naszego pułku, który z dwoma pierwszemi bataljonami zdobywał Lidę i Wilno. Zasypujemy go natarczymi pytaniami; uzupełnia więc nam wiadomości, jakieśmy dotychczas mieli o zdobyciu Lidy i Wilna, poza tem na gorączkowe pytania odpowiada jaka to tutaj wojna...

— Ano, całkiem wesoła, weselsza jeszcze niż lwowska! Bolszewicy siedzą w jednej wsi, a my w drugiej. Jak pójdziemy na noc, to ich nad ranem wyrzucimy, odpoczniemy se przez dzień okrągły i znów zlekka spacerkiem na tyły im się zachodzi. Frontu stałego niema, wojna napół partyzancka, i dlatego też dla sprytnego leguna „pirwsza klasa” pole do popisu...

Zamęczając go wreszcie do cna bezładnie zadawanemi pytaniami, dowiedzieliśmy się coś niecoś, gdy wtem przelatuje gdzieś od strony dowódcy bataljonu rozkaz: zbiórka do odmarszu!

Kapitan Bortnowski, dowódca bataljonu, dosiada swej prześlicznej, żywej jak skra „Heli”, zaś dowódcy kompanij swych mniej lub więcej rasowych Rossynantów.

Na ramię broń! Kolumna sekcyjna!...

Szczęknęły podkowami wierzchowce, bataljon ruszył mocnym, grzmiącym krokiem. Maszerujemy!

Rozglądamy się ciekawie po mieście, szukając śladów ulicznych walk. Sądząc z opowiadań, z opisów, które czytaliśmy podczas jazdy w pismach warszawskich, zdawało się, że i Wilno, na podobieństwo Lwowa, szczerzyć będzie ranami porozwalanych okien, połamanych ram, potłuczonych szyb i podziurawionych setkami kul ścianami kamienic. Lecz nie! Mijamy ulicę po ulicy, spokojne, jakieś dziwnie ciche, i dopiero przechodząc przez plac Katedralny, ujrzeliliśmy na jasnych, wyniosłych kolumnach kościoła ślady kul...

Stanęliśmy w koszarach „Ignatjewskich”. Smród, brud i zaduch, ślad rosyjskiej wschodniej kultury, „ruskij wokół duch. Wszędzie widoczne ślady „Sowietskiej Respubli-

ki". Niepozdzierane jeszcze szyldy, napisy najróżnorodniejszego rodzaju „komand” i wszędzie owe dziwne, niezrozumiałe skróty tytułów i napisów...



Katedra w Wilnie.

Dowiedzieliśmy się już cośnecoś o sytuacji naokół Wilna, która nie przedstawia się nadzwyczajnie, gdyż bolszewicy są ciągle o kilkanaście kilometrów od miasta i zagrażają nawet poważnie linii kolejowej Wilno — Lida. To też, by odwrócić niebezpieczeństwo, kroi się jakowyś ruch na większą skalę.

Dnia 2-go maja wczesnym rankiem zaalarmowano bataljon. Porcje, wydane na kilka dni, świadczą o marszu naprzód; zresztą krótka odprawa przed wymarszem informuje nas o zadaniu. Idziemy na wschód.

Bataljon wyciąga się w długą kolumnę. Przemaszujemy z odkrytymi głowami pod Ostrobramską. Po drewnianym bruku dudni równy, mocny krok piechoty; odkryte głowy zwracają się ku górze, podnoszą się oczy żołnierzy ku Ostrobramskiej...

Wówczas odsłonięto obraz... Łagodna, święta twarz zdawała się błogosławić żołnierzy, idących w bój...

Po półgodzinnym marszu miasto pozostaje za nami. Przechodzimy obok licznych taborów suwalskiego pułku, którego żołnierze z niekłamaną sympatją i życzliwością spoglądają na nasze piątki, naszyte na ramionach. Bowiem pułk ten zawierał już z legunami braterstwo broni pod Lidą i wie, jak ono jest pewne i cenne, szczególnie, gdy zostało zawarte z 5 pułkiem...

Droga podnosi się łagodnymi falami ku górze, to znów lekko opada. Chłopcy czują, że idą w ogień, bo już zupełnie blisko huczy po lesie i gra echo artyleryjskich wystrzałów... Kędyś zdala słychać nawet częstotliwe, monotonne granie maszynek.

Mimo to jednak humoru nie tracą, przeciwnie — chcą okazać swą „morowość“, śpiewają, aż stada wron wystraszonych podrywają się ku górze...

Pod wieczór dochodzimy do pół-wsi, pół-osady Niemieża. O kilka kilometrów stąd rozciąga się już linja frontu; my narazie stajemy w rezerwie, lecz prawdopodobnie nie na długo.

Wieś rozrzucona wśród sadów, izby czyste, świeże, kompanje się rozkwaterowują, my zaś szukamy kwatery dla siebie. Wchodzimy do pierwszej izby. Najczystsza polszczyzną wita nas gospodarz i rad chce zagadać, lecz nasza cała uwaga jest zwrócona na ściany. Bo ni mniej ni więcej, tylko świetnymi sztabowymi mapami poobwieszane są ściany, pozalepiane dziury w oknach.



Rodzina zagrodowego szlachcica na Wileńszczyźnie.

— Skądże wy to macie, te skarby? — pytamy gospodarza.

— Panie toż Niemcy pozostawiali tego skrzynie pełne. Wiadomoż, że oni...

— Dawajcież więc tego jak najwięcej — krzyczymy, jeden przez drugiego, i chwytamy chciwemi rękoma za pierwsze które nam przynosi.

...Miniony ślad wielkiej, żmudnej pracy niemieckich sztabowców... Nieprzespane noce, długie wieczory ślęczenia z cyrklem w ręku. Skreślona litewska ziemia w najdrobniejszych szczegółach delikatnemi, niezawodnemi linjami kierunku wielkich marszów i upartych bitew. Bronzowymi, subtelnemi warstwicami rzucone pagórki i doliny —

zapowiedź redut i schronów przed szrapnelowym nagłym ogniem...

Czerwonemi wężykami, zygzakowatemi linjami pokreślona praca tysięcy jeńców — okopy, ganki, linje i rowy, rzut atakowy brygad i dywizyj...

Z wielkiej wojny w litewskiej wiosce ślad...

Zbieramy je chciwemi palcami, sortujemy i sprawiedliwie się dzielimy, by znów z nich szukać kierunków i dróg na wschód; linją ołówka oznaczać krew i walki gwałtownej rysunek...

Zapada powoli wieczór. Spędzamy go na wesołej pogawędce z ułanami 11 pułku, których kilku nas odwiedziło. Docinając sobie, jak zwykle piechota z ułanami, popijamy jakieś cienkie wileńskie wino, przegryzając sucharkami pani Wilsonowej, i oczekujemy na powrót kapitana Bortnowskiego, którego wezwano do dowództwa suwalskiego pułku na odprawę.

Stare żołnierskie przysłowie mówi, że „jak sobie pościesz, to będzie alarm”... I faktycznie w myśl tego przysłowia, gdyśmy już sobie jako tako posłania urządzili i rozkosznie się wyciągnęli, słyszymy, jak tłucze się po czarnej i ciemnej sieni ponure jakieś indywiduum...

Puka wreszcie do drzwi.

— Wpaść... — krzyczy kapitan Krzyżanowski ¹⁾.

— Głową, głową... dodaje inny.

Po długich ceremonjach z drzwiami ładuje się wreszcie do izby goniec bojowy i w milczeniu, stając przed kapitanem, wręcza mu kopertę.

Chwila ciszy.

Wpatrujemy się niecierpliwie w twarz kapitańską, chcąc z niej wyczytać nowinę, lecz tajemnicze i chmurne oblicze nie zdradza nic wesołego...

1) Bolesław Krzyżanowski ob. płk. dypl.

W powietrzu jednak drży śmiech, gdyż czujemy, że zaraz będziemy musieli wdziewać dopiero co zdjęte szatki oficerskie. Szelmowski humor przedbitewny wisi w powietrzu i łypie ku nam urwisowskimi, drwiącym okiem...

— Cyk... mruknął kapitan i, podpisawszy kopertę, oddaje ją gońcowi. Poczem, spojrzawszy na nas, zaklął i... zaczął się ubierać.

Zanosimy się ze śmiechu, gdyż Krzyżanowski był z nas wszystkich jak najdokładniej rozebrany, — lecz humor się jeszcze powiększył, gdyśmy usłyszeli nagle piekielny wrzask — alarm...

To kapitan, ubrawszy się już napół, a nie chcąc, byśmy prędzej od niego byli gotowi, dopiero nam teraz rzucił owo magiczne słowo.

Piorunem poleciały precz koce. Jednem kopnięciem nogi rozwalil któryś z nas uparte drzwi i wrzasnął w ciemną sień do ordynansów: zawiadomić plutony i tabor — alarm!...

Zakotłowało się w sieni, szcześnieły karabiny, zadzwoniły łopatki i manierki, i ordynansi kopnęli się co ducha do plutonów.

Za chwilę już we wsi zawrzał ruch, nawoływania, komendy, trzask i zgrzyt otwieranych przy ładowaniu zamków karabinowych...

Po kilkunastu minutach kompanje już stały na drodze. Noc była ciemna, wilgotna, lecz już na północo-wschodzie niebo zaczęło się delikatnie wyjaśniać. Jest pierwsza po północy.

Za chwilę odprawa. Wchodzimy jeszcze na moment do chałupy, i tam kapitan zakreśla odcinki plutonom, oraz zawiadamia o ogólnych dyspozycjach i sytuacji na prawo i lewo.

Wkrótce śpiesznym marszem zanurzamy się w noc i w powstającą już gdzie niedździe nad dolinkami poranną, srebrną mgłę...

NA RUKOJNIE I MIEDNIKI.

— O ile zdążyliśmy się dowiedzieć z rozmów z oficerami, którzy już bili się z bolszewikami, z wiadomości, podawanych w komunikatach i ostatnio z nocnej odprawy — walki na Litwie z moskiewskim bolszewikiem zasadniczo się różnią od dotychczasowego prowadzenia akcji wojennych podczas ubiegłych czterech lat europejskiej wojny. Nawet wojna polsko-ukraińska posiadała swój odmienny charakter w porównaniu do tych walk, jakie się na tym terenie rozgrywają.

Na ten specjalny charakter litewskiej wojny, oprócz wielu pobocznych, składają się dwa główne czynniki: wielkie obszary przy małej liczbie wojska i w związku z tem wojna ruchoma.

Na froncie ukraińskim natychmiast prawie po odbiciu Lwowa przez 5 pułk piechoty, w dniu 22 listopada, rozpoczęły się przeważnie walki pozycyjne, które z krótkimi przerwami trwały aż do ostatecznej wiosennej ofensywy. Inaczej się dzieje na froncie litewskim. Operują tu na rozległych, leśnitych przestrzeniach poszczególne grupy, tworzone z pojedynczych pułków i bataljonów, prowadząc wojnę „par excellence” ruchomą. Na porządku dziennym są tu kombinacje zachodzeń i obchodzeń z boków i z tyłów, uderzeń od frontu i z flanków — i tak, od chwili zajęcia Wilna kombinacjami ruchu i ognia zamierzył gen. Śmigły wyprzeć wroga jak najdalej na Wschód.

Jak się więc z odprawy dowiedzieliśmy, bataljon nasz został przydzielony taktycznie do jednej z takich grup, mianowicie do grupy mjr. Mackiewicza,¹⁾ d-cy suwalskiego pułku piechoty²⁾, z którym mamy rozpocząć pewien „ruch”, stojący zresztą w ścisłym związku z ruszeniem naprzód całego frontu i rozpoczęciem ofensywy.

Celem ataku naszej grupy jest miasteczko Rukojnie, na którego wysokości wzdłuż przyległych wsi rozciągają się okopy bolszewickie, nie ciągłą jednak lecz przerwaną linią. Każda z poszczególnych wsi, znajdujących się na ogólnym zarysie frontu, jest jako tako ufortyfikowana i na każdą z nich szczególnie wyznaczona została jedna z naszych kompanij.

Początkowo maszerujemy kilka dość długich kilometrów całym bataljonem, lecz już po godzinie śpiesznego marszu, gdy coraz bardziej poczynąło szarżyć, kompanie się rozdzieliły. Kompanja 9-a kapitana Krzyżanowskiego maszeruje na prawe skrzydło i ma stąd uderzyć na nieprzyjaciela.

Cele, które ma osiągnąć, to wsie na południe od Rukojni: Żakieńce, Kienia, Kuli...

Na prawo łączyć ma z nami szwadron 11 pułku ułanów, do którego natychmiast posłano łączników.

Maszerujemy coraz szybciej, mimo iż patrole boczne muszą prawie biec, chcąc utrzymać się na równej linii z kompanją.

Jednak nie opóźniamy marszu, gdyż atak ma się rozpocząć o jednej i tej samej godzinie.

Idąc na czele kompanji, rozmawiamy o rekrutach. Pierwszy to będzie ich ogień, pierwsza bitwa. Czujemy się nieco zaniepokojeni, czy faktycznie młody ten żołnierz sta-

¹⁾ ob. gen. bryg. dowódca 26 dywizji.

²⁾ Pułk ten otrzymał później numer 41 p. p. imienia Marszałka Józefa Piłsudskiego.

nie na wysokości zadania. Pocieszamy się jednakowoż „że jakoś to będzie...” w tym czasie puszczając „witze” wśród chłopców, którzy na nie, trzeba przyznać, z nazbyt wielkim zapasem humoru reagują.

Jednak nic w tem dziwnego. Czują w ciszy mglistego, szarego poranku, że za chwilę będą w bitwie. Nie widzieli jej jeszcze. W podrażnionej wyobraźni przedstawia im się ona jako okropna rzeź, w której chłop chłopca morduje... Porozdawane ręczne granaty, ciągłe napominania oficerów i podoficerów, przypomnienie ćwiczeń bojowych, ta widoczna troska u oficerów o zachowanie się żołnierza w pierwszej bitwie — wszystko to razem napędza ich tem trwożnem oczekiwaniem, pełnem naprężenia nerwów, a jednocześnie, w miarę trwania bojowego marszu, niepokonanem pragnieniem, by się to jak najprędzej stało, byle prędzej, byle skrócić ten czas oczekiwania... Spokój jednak i pewne skupienie, widoczne na twarzy oficerów, uspokoja rekrutów.

Tymczasem powstawał dzień coraz większy i za chwilę, poprzez rzadkie olszynki nad rzeczką, w dolinie, w której się posuwamy, zaczęły przeświecać pierwsze blaski wstającego słońca.

Patrzę na zegarek i mapę. Za godzinę, licząc wysłanie patroli, powinniśmy uderzyć na Żakieńce, które oddalone są już tylko o kilka kilometrów.

Maszerujemy ciągle bagnistą dolinką wzdłuż strumyka, który wedle mapy podchodzi aż pod tę wieś.

W pewnej chwili, gdy już dzień był zupełny i wysoko podniosło się słońce, rażąc oczy swym blaskiem — na lewo w lasach pod Michałówką, na które szły 11 Liwacza¹⁾ i 12 Chilewskiego²⁾ kompanje — gruchnął, objając się dłu-

1) Podporucznik Liwacz Kazimierz, padł w walce pod Dyneburgiem w styczniu 1920 r.

2) Chilewski Stefan, ob. ppłk. piechoty.

giem echem, tępy, manlicherowski wystrzał. W moment zatrzaśkały ostre rosyjskie karabiny i w ciszy porannej stojący las zatrząsł się od nieregularnego, tępego pacania manlicherów.



Krzyż przydrożny na Wileńszczyźnie.

Stanęliśmy... Nasłuchujemy i, orjentując się na mapie, określamy kierunek...

Tak — to zapewne patrole Liwacza starły się pod Michałówką — mówi kapitan.

Ogień za chwilę ucichł. Widocznie ubezpieczenia bolszewickie ściągnięto, gdyż w kilka chwil później zatrajkotały karabiny maszynowe. Jednocześnie bardziej w lewo, zerwał się również krótki, śpieszny ogień i za chwilę umilkł.

To Chilewski z 12 kompanją wlaźł również na „burków”...

Przyśpieszamy marsz. Z chwilą uderzenia tamtych kompanij powinniśmy i my uderzyć, lecz to przeklęte bagno,

po którym się z niesłychanym wysiłkiem dźwigamy — opóźnia fatalnie nasze posuwanie.

Wreszcie po dwu, trzech kilometrach olszynki poczynają rzednąć i przed oczyma naszymi wyrasta nagle piaszczyste, nagie wzgórze z przyczepionymi zboku kilkom chałupami.

Patrol przedni szybko się wysunął na czoło i chyłkiem pognął do chałup. Wyciąga jakiegoś chłopowinę z izby i żywo się go rozpytuje...

Posuwamy się dalej całą kompanją, tem bardziej, że na lewo las pod Michałówką aż trzęsie się od gruchotu ognia krabinowego i jazgotliwego pogłosu „maszynek”.

Bitwa się tam już widocznie rozpoczęła na dobre, bowiem poprzez strzelaninę karabinową odezwały się nasze karabiny maszynowe, i słychać, jak równo, nieustępliwie, zaciekle siekają opłotki Michałówki.

Chłop tymczasem zeznaje, że tuż za ową górką, zrzadka porosłą niską sosniną, za szerokim spłachciem białego piasku na szczycie widać ową wieś Żakieńce, gdzie są bolszewicy...

— Rota ich będzie, panowie, i kulomioty mają. Telefony też „zawieli” i telefonują do Rukojni, do miasteczka...

Kompanja rozłożyła się w dole. Chłopcy zmordowani uciążliwym marszem, pierwszym swym marszem bojowym, pozwalali się na mokrą, wilgotną łąkę, i przypatrują się naszej oficerskiej grupce, rozumiejąc, że zaraz, za chwilę, rozpocznie się pierwsza dla nich bitwa.

Wychodzę z Krzyżanowskim na ową górkę. Ukryci w niskich krzakach sośniny ujrzelśmy przed sobą wieś. Ze wzgórza dokładnie widać obszerną dolinę o szerokości kilkuset kroków, — za nią na lekkim wzniesieniu rozłożoną, długą wieś. Nie widać tam najmniejszego ruchu — spokój zupełny i cisza, pełna wewnętrznego, nerwowego ziewania...

Spoglądamy w lewo. Poza przepyszną zielenią łąk, tuż obok ciemnej, ostro się odcinające, linji czarnego lasu nieregularnie porozrzucane chałupki Michałówki.

Tam już się tłuką na ostro. Rwie stamtąd szybki, gorączkowy ogień rosyjski i, wpadając w las, gdzie rozłożyły się kompanje Liwacza i Chilewskiego — odbija się tysiączeniem echem trzasku ekrazytówek i jazgotu karabinów maszynowych.

Nerwowa strzelanina bolszewicka, chwilami huraganem ognia się zrywająca, świadczy, iż tam robota idzie solidna.

Przed nami cisza. Cała uwaga bolszewików zwrócona została prawdopodobnie na Michałówkę.

W pewnej chwili leniwym ruchem zwrócił się do mnie kapitan:

— No cóż, — jak myślisz? zaczynamy?

— Ano — trza będzie...

— Myślę, że ich jest tam niewielu — siupnąć odrazu...

— Pewnie, co się będziemy bawili. Raz, dwa, pchnąć plutony, nie wdawać się w przewlekłą strzelaninę, siupnąć na „hura“ i kuniec...

Krzyżanowski odwrócił się twarzą do kompanji i podniósł wysoko rękę.

Wracam do plutonu. Mój pluton na prawo, pluton Józka Grzyba ¹⁾ na lewo, w rezerwie pluton Młodkowskiego ²⁾; lekkie „maszynki“ Wolskiego ³⁾ na wysokości rezerwy — ciężkie karabiny maszynowe Nowaka ⁴⁾ w środek!...

¹⁾ Grzyb Józef, ob. kpt. rezerwy.

²⁾ Młodkowski Tadeusz, ob. kpt. rezerwy.

³⁾ Podchor. Wolski Stanisław, poległ w bitwie pod Dynaburgiem w styczniu 1920 r.

⁴⁾ Ppor. Nowak Władysław — poległ w boju pod Smorgoniami w maju 1919 r.

Za chwilę dwa plutony rozciągnęły się w długą, falistą linię.

— Wyrównać! kaprale, uważać na swoje sekcje! — maaarsz!...

Dźwignęła się tyraljera. Chłopcy pochyleni, z karabinami w ręku, rozsypani w pyszną, równą linię, powoli, tym spokojnym, przedbitewnym krokiem piechoty poruszają się naprzód.

Na krok, na dystans, na marsz, co chwila zwracają uwagę oficerowie, jakby odbywały się zwykle ćwiczenia.

Za moment wynurzamy się na niską równinę. Wówczas — bieg!

— Naprzód... biegiem marsz!...

Zatupotały dziesiątki nóg, zatrzęsły się chlebaki, manierki i łopatkki, wzdłuż całej linii tyraljerskiej przeleciał głuchy chrzęst biegnącej piechoty.

Naraz strzał!... jeden... drugi... trzeci!...

Oстрым świstem zdarły gałązki sośniaków pierwsze, gniewne loty kul...

Roztrzaskały się wnet donośnym jękiem ekrazytówki — z cichej wsi wybuchł nagle alarmowy, gorączkowy, siekący świstami kul ogień piechoty rosyjskiej...

— Naprzód!... naprzód!... biegiem!...

Pochylona w ogniu linja pędzi ku wsi z nadzwyczajną szybkością. Ogień zaś stamtąd rośnie coraz bardziej, wpada w świadomość, jako nieustanny, nerwowy trzask w bębenkach usznych...

Po kilku minutach gwałtownego biegu — rozgłośnym, ostrym, prawie zwycięskim jazgotem ozwały się bolszewickie „maszynki“.

Nieprzerwany, ciągły świst, jakgdyby ogromne stado dzikich kaczek przelatywało nad głowami, otoczył nas ze wszystkich stron...

Wówczas od strony, gdzie biegł Krzyżanowki — ozwał się, przedzierający się z trudem poprzez trzask ognia, krzyk rzuconej komendy: padnij!...

Linja, nierówna już i sfalowana, wyróżnęła w miękką, wiosenną ruń...

Do wsi mamy jeszcze celownik 600. Tyraljera zapadła w ziemię, ogień rosyjski coraz bardziej zaczyna szaleć...

W pewnej chwili oglądam się poza siebie i widzę kapitana, jak wlecze ciężko za sobą nogę, jak odchodzi w tył...

— Aha, ma dość!...

Szybka wówczas myśl — Tadek Młodkowski z plutonem w rezerwie, Sławek ranny!...

Za lotem myśli zerwał się natychmiast krzyk: od prawego, sekcjami naprzód!...

Chwila bezruchu! W zalewie kul karabina maszynowego chłopcy leżą, jak zdrętwiali.

Zrywam się z miejsca. Dopadam pierwszej sekcji. Wsiekły głos: naprzód!...

Poderwali się! Przebiegli ze trzydzieści kroków — zanurzyli się, zapadli w brzoźdy.

— Strzelać, celownik 600!...

Biegnę do drugiej sekcji. To samo. Tuż obok wyrasta wysoka postać Wacka Plackowskiego¹⁾, sierżanta. Gna inne sekcje. Przez moment widzę, jak Józek Grzyb i Julek Neumark²⁾ podrywają z krzykiem następne...

Krzyk „naprzód” przebija nieustanny trzask ognia i świst kul, prze rekrutów coraz dalej i dalej.

Za chwilę wysoki ton ognia karabinów rosyjskich rozdarty został przez pierwszy, głuchy strzał manlichera. Posy-

¹⁾ Obecnie kapitan admin., inwalida.

²⁾ Ppor. Neumark Julian, poległ pod Smorgoniami w maju 1919 r.

pały się za nim wnet inne i w kilka sekund pysznie, rozkosznie ozwały się wszystkie nasze ciężkie i lekkie „maszynki” niskim, równym, długimi pasmami snutym ogniem...

Huragan rosyjskich strzałów natychmiast zelżał...

Nasze karabiny maszynowe rozpoczęły prawdziwy popis. Podporucznik Nowak koncentrował...

Nieustępliwy, zajądły, przerażający dwugłos ciężkich „maszynek” złał się teraz z gruchotem ręcznych karabinów w jeden druzgocący swą mocą i potęgą — zalew ognia. Chłopcy dorwawszy się do celowników, tłukli na „warjata”, naoslep, na „hura”, wylewając w tym nieprzerwanym łoskocie strzelaniny całą swą tremę przedbitewną, wszystek swój pierwszy strach...

Żakieńce powoli ucichały...

Po kilku minutach, gdy już widoczna się stała nasza przewaga ogniowa stukilkudziesięciu karabinów i czterech maszynek — ucichły zupełnie bolszewickie „pulemioty”...

Ogień karabinowy jeszcze trząsał, lecz coraz bardziej tchórzliwie, milkł... wreszcie zcichł...

Ostre, przeraźliwe gwizdki na „bezpiecznik” poczęły teraz przedzierać gruchot ognia, walczyć z nim i uciszać pole...

— Powstań! Bagnet na broń!...

Podrwała się porozrzucana, nierówna tyraljera. Z wilgotnej, tłustej, lepkiej roli powstawali żołnierze, utyłani w błocie jak nieboskie stworzenia, zgrzani, spoceni biegiem i walką ogniową, czarni od brudnego potu, który im w gorącym, majowym dniu zalewał twarze...

— Biegiem marsz!...

Znów z chrzęstem ruszyła linja. Pochylona naprzód, biegła, co sił starczy, bo oto z lewego skrzydła przedarł się krzyk o kawalerji bolszewickiej, która gdzieś w tej stronie się przemykała...

Jednocześnie od strony Michałówki poczęły nas witać długie, jęklive świsty flankowanego ognia.

Tam nas już spostrzeżono i skierowano ogień...

Dopadamy do wsi. Tadek Młodkowski rozwija się z plutonem frontem na Michałówkę z dwiema „maszynkami”, — reszta ze mną gna na stok góry za Żakieńcami i na prawe skrzydło...

We wsi gwałt i rejdach...

Przy płocie, z jasną, żółtą plamą porozrzucanych łusek przewrócony „pulemiot” bolszewicki, na drodze porzucane karabiny, jakieś czapki...

Płacze się między nogami zerwany gwałtownie telefoniczny drut...

Z za chałup i stodół lekliwie i trwożnie wysuwa się, z podniesionemi rękoma, grupka jeńców...

Reszta w popłochu panicznym wpadła w las, za górę...

Michałówka tymczasem wzięła nas pod tęgi ogień. Kule rzną wściekłą muzykę po opłotkach, z niesamowitym trzaskiem rwą drzazgi z chałup, z drzew...

Żakieńce wzięte. Zadanie jednak nieskończone; sytuacja niezbyt świetna, gdyż Michałówka jeszcze nieruszona. Walka tam wre z niesłabnącą siłą i każdej chwili może nas wplątać w jakieś kontrataki...

Oblatuję więc wieś, każe się okopywać i biegnę do Młodkowskiego.

Siadamy za jakąś chałupą. Wieś jest w ogniu z dwu stron, bo i od Rukojni jakieś maszynki zaczynają trąkotać, a po chwili, z trzaskiem, rwetesem, hukiem i dymem wpadł między chałupy pierwszy granat i zaraz za nim zawisła w powietrzu biała chmura szrapnela...

Posypał się grad kul...

— Siedzimy za jakąś chałupą i popijamy mleko, które już nie zrównany mój ordynans, Staszek Rożdżyński, skądś wydobył.

Rzucamy przypuszczenia o sytuacji. Spodziewamy się, że Michałówkę lada chwila weźmie Liwacz i Chilewski — a jeśli nie, to poczekamy tych kilka godzin do wieczora, — a przecież rozkaz jakiś nadejdzie i sytuacja się wyjaśni. Tymczasem chłopcy się okopią i będą tłukli...

— No, do wieczora jeszcze mamy czasu sporo, — mówi Tadek, — dopiero jedenasta...

— Czy być może?...

— A tak, jedenasta!

Faktycznie! W walce, która trwała zaledwie pół godziny, czas tak się w wielkości najrozmaitszych wrażeń wydłużył, że zdawało mi się jakoby to już była godzina najmniej 5 po południu. Złudzenie tem bardziej było silne, że prześliczna pogoda, z którą rozpoczęliśmy dzień, w czasie bitwy niepostrzegalnie zgoła zamieniła się na dość chmurny i chłodny dzień...

Minęła jeszcze godzina, później druga... Odwiedzam plutony z Młodkowskim; włączymy się między tyraljerą żeby chłopaki nie myślały, że wojna taka straszna, i wszystkie kule trafiają, — i czekając na wzięcie Michałówki, rozpytujemy się o straty.

Zostało rannych na polu coś pięciu czy mniej nawet po których już poszli sanitariusze.

W pewnej chwili ogień skierowany na nas nieco ucichł, natomiast wzmógł się niesłychanie pod lasem, gdzie siedziały dwunasta i jedenasta, tłukąc w Michałówkę...

Wychodzimy na skraj wsi, by obserwować w dole leżącą wieś, tak uparcie bronioną, i niecierpliwie oczekujemy na szturm, jaki niezawodnie zaraz powinien nastąpić...

Tymczasem szare, spłowiałe, prawie jesienne chmury pokryły horyzont i począł mżyć drobny, gęsty kapuśniaczek.

Chłopcy już okopali się porządnie na wzgórzu wokół Żakieniec i pozначyli zieloną, świeżą ruń żółtymi plamami wnek strzeleckich...

Tymczasem ogień nieco zelżał i ostre świsty kul rzadziej przeszywały powietrze. Główna uwaga bolszewików zwróciła się widocznie na Michałówkę, gdyż nawet przeniesiono artyleryjski ogień z Żakieniec na Liwacza i Chilewskiego...

Raz po razie wykwiwały tam pod wsią wysokie czarne słupy targanej granatami ziemi i przez zamglone deszczem pola leciał tępy łomot wybuchów...

W pewnej chwili gwałtowne gruchotanie, niepowstrzymany gwar strzelaniny, kipiącej, bulgocącej, jak war w garnku, raptownie się urwał.

W tym samym momencie przerwaliśmy i nasz ogień, którym biliśmy z boku na Michałówkę. Jasne się stało, że zbliża się finał...

Jakoż za chwilę z opłotków Michałówki poczęły wybiegać bezładne kupy żołdactwa, w popłochu, bez najmniejszego porządku, umykając co sił ku Rukojniom...

Wnet wydarły się komendy: celownik 1300 — strzelać..

Tępe pacanie manlicherów i wmiąg pracowity, równy ogień karabinów maszynowych gonił cofające się bezładnie kupy...

Skoczyliśmy do „maszynek“, by przez szkła obserwować wynik, który faktycznie był nadzwyczajny.

Zaledwie nasze karabiny maszynowe się odezwały — kupy bolszewickie wsiąkły, zapadły w ziemię; ogień nasz przygniótł je formalnie do ziemi...

Wówczas i tamte kompanje rozpoczęły pościgowy ogień, z pod którego, zdawało się, że nie wyjdzie ani jeden „krasnoarmiejec“...

Próbowali się jeszcze podrywać, chcąc pojedynczo szukać w ucieczce ratunku — lecz momentalnie musieli się zapadać zpowrotem...

A tymczasem podporucznik Nowak pracował.

Ze zmarszczoną brwią, ze skupieniem na twarzy, ze wzrokiem utkwionym w muszkę celownika — kierował spokojną ręką „maszynką“, która trzęsła się konwulsyjnie, zającadła, tłukąc równym, śmiertelnym porywem strzałów swą bitewną pieśń: ta, ta, ta...



„Maszynka“ przy pracy...

Za chwilę z ogrodów Michałówki, z ciemnego rzutu chałup, wyraźnie się odcinając na jasnym polu, wysunęła się długa, równa tyraljera.

To kompanja 11 Liwacza i 12 Chilewskiego szły na Ru-kojnie...

Równocześnie z niemi, z lasu, bliżej ku nam, wyłoniła się jeszcze jedna linja i, wchodząc w lukę między Żakieńce a Michałówkę, równocześnie posuwa się w kierunku na biały kościół miatseczka. Natychmiast skoczył tam Pacholski¹⁾ na łącznika dowiedzieć się, co za kompanja, my zaś stajemy, by obserwować...

Punkt obserwacyjny wspaniały. Z wysokiego wzgórza spoglądając na dość szeroką dolinę, mamy jak na dłoni

¹⁾ Ob. kpt. piechoty.

Rukojnie, tyraljery maszerujące na miasteczko i całą bitwę, która tym atakiem ma się zakończyć...

Rzadka dochodzi stamtąd pukanina; od czasu do czasu tylko zabłaka się jakiś jękliwy ton dalekiej bolszewickiej kuli...

Wielkiego oporu zapewne tam nie napotkają. Rukojnie prawdopodobnie zaraz wezmą.

Po godzinie wraca Pacholski. Dowiadujemy się, że to kompanja 1-go pułku z por. Wendą¹⁾, który właśnie przed chwilę, pod samem miasteczkiem, został ciężko ranny.

Koło godziny drugiej po południu bitwa już była skończona. Rukojnie zajęte po krótkiej zaledwie strzelaninie.

Ścigamy wobec tego plutony z okopów. Zbiórka, w kozły broń, chłopcy do chałup i goniec po kuchnie — to były najpierwsze zarządzenia. Poza tem lekkie placówki „na wszelki wypadek” wystawione i — wreszcie spokój zupełny.

Wchodzimy do jakiejś ciasnej, brudnej chałupy i zwalamy się na łóżka, ławy, stołki.

Krzyk, tak okropny, jak w największym ogniu, wypadł za drzwi, do ordynansów: jeść, jeść...

Zmordowani lataniną w ogniu, niewyspani również, klnący niesamowicie — lecz w pysznych humorach, rozpoczynamy naturalnie opowiadania o hecach z rekrutami.

Biegniemy — rozpowiada któryś z nas — aż tu wali mi się pod nogi jakaś kupa.

Patrzę — żołnierz. Ma dość — myślę sobie. Lecz nie wierząc, na wszelki wypadek, doskakuję:

— Co ci jest?

Trup... ani drgnie.

— Co ci jest! Rannyś?...

Podnosi się zwolna przerażona twarz, oczy aż dzikie ze strachu...

¹⁾ Wenda Zygmunt ob. ppłk. dypl.

— Strzylają, panie poruczniku!...

— Cóż z tego, ośle, że strzelają. Patrzaj, ja stoję i nic mi nie jest! Oni strzelają do leżących — krzyczę mu w trzasku ognia...

W tej chwili wyrznęła przed rekrutem w bajor jakaś kula, aż mu błoto opryskało twarz...

— Leć — krzyczę — bo celują do ciebie! Leć, aby prędko!...

Poderwał się. Zebrał się w sobie i kopnął tak, że mało linji nie przegonił.

Biegnę za nim.

Wyrznął znowu w jakiś rów, pełen wody. Lecz w tym samym momencie: siup, siup — dwie kule w wodę obok niego...

W tej chwili poderwano linję naprzód. Widzę, jak mój rekrut śmiga na samym przedzie — leci do tych kul, do wsi, jakby wierzył, że tam go nic złego nie spotka...

Po bitwie pytam się go — opowiada Grzyb dalej — bo chłopak z mego plutonu: trafił cię?...

— A nie, cegóżby mieli trafić — panie poruczniku! I szczerzy do mnie gębę, okrutnie rozradowany...

— Bo i pewnie. Trafiają tylko takich, co się boją — podpuszczam go.

— A jakże, prawda — mówi z najgłębszym przekonaniem mój rekrut — tamtych co ranili, to bez to, że zostali w tyle...

A widzisz — mówię mu i jestem pewien, że w następnej bitwie będzie już leciał naprzód, jak warjat, tak go te pacykanie kul przestraszyło...

— Oni sobie wyobrażali — mówi Młodkowski — że każda kula trafia. A teraz już jeden z drugiego się naśmiewa — o patrzajcie...

Wyglądamy przez szyby. W grupce plutonu jakiś dowcipniś, który się w bitwie najbardziej może bał, teraz obmawia innych. Tak komicznie naśladuje ruchy kolegów, że pluton cały huczy mocnym rekruckim śmiechem...

Patrzymy na siebie z uśmiechem. Wyrasta już z nich żołnierz u którego tego rodzaju „witze“ wyrabiają konieczną w każdym ambicję żołnierską...



Piechota legjonowa w marszu.

Czas mija na pogwarce; humor się jeszcze poprawił, gdy przed nami stanęła jajecznicza, a całkiem już wesoło było, gdy zajechał konno zgrzany i zmordowany adjutant bataljonu Władek Krzyżanowski¹⁾ i przywiózł wiadomości. Najlepszą z nich była ta, że do jutra się stąd nie ruszamy — i możemy spać.

W zdobytych Żak'ęcach przesiedzieliśmy resztę dnia i noc w spokoju zupełnym.

¹⁾ Krzyżanowski Włodzimierz, ob. kpt. dypl.

Od adjutanta dowiadujemy się o losach tamtych kompanij, 11 i 12-ej. Jak się okazało, miały one cięższe zadanie od naszej kompanji i straty większe, gdyż Michałówka była obsadzona 6-ma karabinami maszynowemi i dużo silniejszą załogą.

Jednakowoż, dano im radę. Chilewski i Liwacz doprowadzili kompanje na mały celownik, dzięki krytemu podejściu przez las, i po zażartej walce ogniowej — nagłym gwałtownem uderzeniem — wzięli wieś.

Zdobycz bataljonu dość duża, gdyż wzięto 4 karabiny maszynowe i ciężarowe autó z amunicją już w samych Rułojniach, poza tem trochę jeńców.

Pod wieczór zajechali ułani i szwadron 11-gu pułku, który chronił nam podczas akcji prawe skrzydło. Dostali rozkazy poczynienia wywiadów wprzód, i część szwadronu ruszyła zaraz dalej.

Tymczasem zapadł szary, chmurny mrok. Mgły ciężkie, wilgotne włóczyły się leniwie po łąkach i niskich zaroślach. Zapadła noc.

Późnym wieczorem wysłano do kilku okolicznych wsi lekki patrol, który stwierdził zupełny spokój. Wszędzie, w każdej wsi i każdej nieomal chałupie panuje nadzwyczajna radość. Chłopi skwapliwie rozповідаją o bolszewikach, znoszą wiadomości potrzebne i niepotrzebne, często wyciągają ukrytych w słomie, przerażonych „krasnoarmiejców” i oddają ich w nasze ręce... Czujemy że bijemy się w kraju...

W kilka sekund spaliśmy już jak zabici...

„SŁODKA ZE LWOWA“.

Następnego dnia — marsz. Z tętentem wpadł pod chałupę ułan i przywiózł pisemny rozkaz natychmiastowego marszu do Miednik. Z treści rozkazu widać, że pozostałe kompanje, które już ruszyły na Miedniki, nie zastały tam nikogo. prócz uradowanych, wybiegających naprzeciw z krzykiem radości mieszkańców małego miasteczka.

Ściągamy placówki — zbiórka w ordynku — i marsz.

W powietrzu wisi znów szara, mokra mgła,—od czasu do czasu wiatr rozniesie ją po polach i wówczas ukazują się wilgotne, chmurne, ociężałe od wilgoci, jaką przesycone jest powietrze.

Klniemy — jak sto djabłów. Polna, prawdziwie litewska, nie polska droga czerni się grząskiem, lepkiem błotem wśród szarych pól...

Lecz humor mimo to trwa i wzrasta z każdym nieomal kilometrem marszu, wreszcie rozbrzmiewa głośnym, szerokim śpiewem, gdyśmy weszli na bity trakt i gdy w równy krok uderzyła kompanja po twardej szosie. Poleciała piosenka polska wdał radosnym, mocnym chórem, rzucana we mgłę i deszcz na litewskie pola, odwykłe od polskiej, żołnierskiej pieśni od wielu dziesiątek lat...

Żołnierze w przewrachs między jedną a drugą śpiewką bawią się, dokazują, jak małe, swawolne dzieciaki.

Śmiech, zdrowy, wesoły śmiech ściga się, igra z żołnierskim śpiewem...

Okolo południa dochodzimy do małej, nędznej miejsciny Miednik, gdzie zastaliśmy rozkwaterowany cały bataljon. W miasteczku ruch i gwar niezwykajny...

W ciasnej uliczce stoją przy koniach ułani, źli dzisiaj i wściekli na piechotę, która im postrzelała konie.



Kawalerja w marszu.

Nic w ten jednak dziwnego. Ułani, zajmując zwykłe pierwsi opuszczone przez bolszewików miejscowości, „odkuwają się”. Często-gęsto chycą jakiegoś komisarza z dobrze nabitą kierenkami, dumskimi i carskimi rublami kabzą, często-gęsto w rozgwarze strzelaniny wśród chałup zdobywanego miasteczka poturbują jakiegoś żydowinę, zbyt na bolszewika patrzącego, niekiedy przytrzasną jaką rotę bolszewicką, cofającą się bez osłon; to też strój ułański w polu niewiele przypomina tych kraśnych, żółtych, niebieskich kawalerzystów, jakich się spotyka na ulicach Wilna czy Warszawki...

Pooblekani w długie żółte rosyjskie płaszcze, w różnorakie kurtki, czapki najrozmietszego rodzaju, fasonu, kroju, wymiaru i jeszcze ciekawszej mody — przypominają wszelką inną kawalerję o wyglądzie „strachów na wróble”, byle nie polskich, tradycyjnych ułanów...

Nic też dziwnego, że młody rekrut z piechoty, stojący gdzieś pod drzewem na placówce, gdy ujrzy nagle o jakieś sto kroków wyłaniającą się z krzaków kawalerję w bolszewickich kolorach, wali bez chwili namysłu — nie pytając, kto i co jedzie.

Wogóle rekruci nasi, niewiadomo, z jakiego powodu, czują ogromny respekt dla kawalerji, o której wie każdy stary żołnierz, że nic łatwiejszego, jak rozgonić kilkoma salwami najgroźniejszy nawet szwadron kawalerji, który natomiast nigdy nie wytrzyma silnego a nagłego ognia piechoty.

To też przechodzącą kompanję witają ułani cichemi złorzeczeniami i obzieraniem się z podełba, gdyż któraś z dzisiejszych placówek w Miednikach, ujrzawszy z nagłą wracających z patrolu ułanów, wzięła ich za oryginalnych bolszewików i postrzelała kilka koni...

— Mniejsza o to — uzała się któryś z ułańskich oficerów, — żeście nas mogli poturbować... Ale konie... konie...

— No, nie nasza kompanja — bronimy się — poza tem, wam nie chodzi prawdopodobnie o te konie, tylko, poco ta piechota strzelała?...

Śmiejąc się z kłopotu ułanów, radzimy im na przyszłość daleka dawać znaki piechocie, która, sprowokowana ułańsko-bolszewickim wyglądem, może jeszcze nieraz bigosu nawarzyć i przekomarzać się z „wyłogowcami”, zajmujemy kwatery...

Izba czysta, schludna, ludność polska, więc kwatrowanie zapowiada się zupełnie nieźle.

Marsz naprzód, rozpoczęty atakiem na Rukojnie, jest tylko, jak się dowiadujemy z odprawy, na którą zaraz po rozkwaterowaniu wezwano nas, jednym z ogniw ogólnej ofensywy, powziętej przez gen. Rydza - Smigłego: ofensywa ta ma na celu nie tylko ubezpieczenie zdobytego Wilna, lecz ogólny marsz na wschód, pozostający w ścisłym związku z zamiarami Naczelnego Wodza, by w jak najkrótszym czasie uwolnić od bolszewickiego jarzma ogromną połąć krajów białorusko-litewskich.

Więc na południe od nas legjonowe oddziały 2 dywizji generała Roji prą na Oszmianę, nasza grupa wali na Soły, Smorgoń, zaś grupa ppłk. Tokarzewskiego i grupa mjr. Dęba-Biernackiego na Niemenczyn, Podbrodzie, Święciany...

Na odprawie u kapitana Bortnowskiego, na której wbrew zaproszeniu, nie piliśmy „słodkiej ze Lwowa“, w dwu ciasnych, zarzuconych słomą pokoikach ciemno od dymu papierosów, tłok od zebranych oficerów, krzyk, tumult i wrzawa...

Wiecznie wyjeżdżający do Krakowa w sprawach służbowych (w Tarnowie ma żonę) oficer kasowy ppor. Broda¹⁾ stara się przekonać kapitana o konieczności swego wyjazdu po sukno na mundury; lekarz bataljonu, wiecznie gadatliwy i pełen ferworu ppor. Borkowski²⁾ z humorem opowiada o swoich rannych i o ranie kpt. Krzyżanowskiego, która, jak się okazuje, nie jest ciężka; w kacie, toczony grupką „dru ciarzy“, drze się w niemożliwy sposób przy telefonie łącznikowy oficer „murzynek“ Staub (Staub, podaj no kieliszek — boś od łączności...); w drzwiach zaś, w historycznych swych sztylpach, adjutant — senior wedle lat, junjor wedle stopnia—Krzyżanowski Włodek, trzaskając szpicrutą o sztyl-

1) Ob. kpt. rez.

2) Dr. med. Witold Borkowski, ob. kpt. rez.

py (końby się uśmieł z tych sztylp) — we właściwy sobie rozkoszno-głośny sposób odprawia różnego rodzaju sierżantów taborowych...

W kącie zaś, porozkładani na słomie, otoczeni kłębamii dymu z oryginalnej, przepysznej machorki białoruskiej, którą z powodu chronicznego braku innego tytoniu musimy noleus-vlens palić, gwarzą o przypadkach wczorajszej bitwy komendanci kompanii i co bardziej stęsknieni „popijawy” dowódcy plutonów, którzy, dowiedziawszy się o „słodkiej ze Lwowa”, zaszli do dowództwa bataljonu — ot, tak sobie, „na kibica”...

Więc ogromny, o jasnych oczach Chilewski słucha uważnie, wtrącając od czasu do czasu słowo, co prawi z kokieteryjnemi dołeczkami na twarzy, zawsze pogodny i uśmiechnięty Liwacz, obok Jóźko Drotlew¹⁾ zaciąga po lwowsku, dopominając się wcale niedwuznacznie o tę „słodką”...

— Już, już jadą — uspokaja niecierpliwych adujtant. Psiekrwie te tobodyty wlażyły gdzieś w błoto z wozami bataljonowemi, i szukaj później tej słodkiej — pierony jedne!... — kończy z najwyższem oburzeniem, wstrząsając się na samą myśl, że faktycznie te „pierońskie tobodyty” mogą gdzie zaprzepaścić „słodką ze Lwowa”.

W pewnej chwili ruch się jeszcze większy uczynił, i dwóch żołnierzy wprowadza pod bagnetami grupkę bolszewików i dwóch rekrutów z 9 kompanii, którzy przepadli podczas ostatniego patrolu po bitwie.

— Skądżeście się wzięli? — pytam, gdyż obydwaj wczoraj wpadli na ubezpieczeniu na silny patrol bolszewicki i zginęli, — w niewoli byliście?... — i oglądamy ich oberwane mundury, smętnie się obwieszające, bez pasów i ładownic...

¹⁾ Ob. mjr. dypl.

— A skoczyli do nas, panie porucniku, jakieśmy szli na ubezpieczeniu. Od tyłu doskoczyli, chwycili za karabiny i pogнали. Bez cały czas poganiali nas kolbami: pas, ładownice, pieniądze, wszystko wzięli i strasznie się odgrazali, jako my „birziu... burziujazję” bronimy i „proleterjat” bijemy... — nie mogąc się wyjęzyczyć — ciągnął żołnierz...

— No, co dalej? co dalej? Jakżeście im uciekli?... — pytamy z ciekawością.

— A gnali nas bez cały dzień, w środek roty wiawszy, aż do Szumska. Tam zapomnieli o nas bez chwilę. to my chyc na strych, gdzie nas gospodarz tamtejszy w siano dobrze zagrzebał. Siedzieliśmy tam z kilkoro godzin, aż tu krzyk w izbie i w całej wsi. To „razwiedka” ich wpadła, krzycząc, że „polaki nastupajut” i że „udirajtie towariszczii”... Krzyk się wtenczas taki podniósł, że poniektóry karabina nie wizął i uciekli wszyscy, powadają chłopci, na Soły. To my zaraz wyszli ze strychu, a tu już patrol z 12 kompanji przyszła...

— No, to chwała Bogu! Wracajcie do kompanji i zameldujcie się u sierżanta. Dobrzeście się spisali, chłopaki...

Po ich odejściu z pomiędzy żołnierzy, wypchnięty naprzód, występuje ogromny tęgii chłop. Wysoka, baran’a czapa podnosi jeszcze jego wysokość tak, że chłop omal głową do powały sięga. Jeniec. Poddął się sam, odłączył się od swego oddziału, od baterji.

Z punktu mówi nam po rosyjsku, że on „bywszyj awstrijskij sołdat i snaczała wojny w plen popał”...

— A z jakichś ty stron? — Niemiec, Rusin, Węgier?...

— Ja Polak, pan — zaczyna z polska przeciągać — od Tarnowa... I wylicza cyfrę jakiegoś tam regimentu austriackiego.

Spoglądamy na siebie ze zdumieniem. Polak i żeby w przeciągu kilku lat najkompletniej prawie języka polskiego zapomnieć... coś nadzwyczajnego!...

— Ja, panowie, w Sybiry był czetyre goda. Tam wsio ruskije, tak i zapomniat — płaczą mu się polskie słowa.

Niezbyt mu początkowo wierzyliśmy, lecz, gdy rozga-
dał się bardziej i gdy, sięgając z trudem do dawno zapo-
mnianych słów, wyrzekł, „zugs i kompani-komendant” —
nie mieliśmy wątpliwości, że to najautentyczniejszy au-
strjacki „trep” przed nami stoi. Jak się dalej okazało z jego
słów, w baterji gdzie służył prawie sami są Polacy, dawni
jeńcy, i wszyscy czychają na sposobność, by się dostać do
niewoli, do Polski wrócić...

Częstujemy go papierosami i, obiecując, że do domu
wróci, że jak sam się poddał, to go w obozie jeńców nie
będą Polacy trzymali — pocieszając jego chłopską, stę-
sknioną do kraju duszę, rozchodzimy się na swoje kwatery.

Tabory jeszcze nie przyszły i „słodką ze Lwowa” szlag
widocznie trafił.

CORAZ DALEJ NA WSCHÓD.

W polu się rodzi żołnierski humor. Tam, w bitewnym znoju — na granicy najpełniejszego, bujnego, wiosennego życia, a naglej, w trzasku ogniowym spływającej cicho śmierci — rodzi się ów jedyny, nieporównany, szelmowski humor straceńców dni swego życia, przeciętego kulą — rodzicielką krwi, żołnierzy którzy z tak lekkim, zda się, sercem odchodzą na drugą, mroczną stronę...

Śmiech...

Przelewa się kipiącą, wartką falą, gdy siwa, wydłużona kolumna piechoty przepiera się przez żmudne, litewskie piachy — drży rozochocony tysiącami rakiet-dowcipów, wypadających z uginającego się pod rynsztunkami, spracowanego, szarego węża kolumny marszowej — rozbrzmiewa głośnym, radosnym, tęgim porywem pieśni, rzucanym w głąbą ścianę borów — wykwita z pod nasuniętego daszka maciejówki z błyszczących weselem kpiarskim oczu, wlokącego się cierpliwie piechura, który nigdy nie zazdrości ułanowi konia...

Trzyma się piechoty śmiech, jak serdeczny druh, w najcięższych chwilach wypróbowany, wierny przyjaciel, co nie opuszcza nigdy.

Śmiech, który koł szarpiący ból, tłumi bolesny jęk i spogląda wesołym okiem na przeraźliwe pusty chlebak, sypiąc klątwami tak zabójczo straszliwymi, jakich nikt nigdy nie opisie, bo nikt ich nigdy nie wydrukuje...

Wyrywa się radosny śmiech mimo bólu, świetnym okrzykiem leguna, który trzaśnięty gdzieś kulą w podolek, z wrzaskiem się z linii podrywa, krzycząc w niebogłosy: do Meranu jadę... do Meranu...

Czai się śmiech w przygniatającym, chybotliwym poświście—poszumie ciężkiego granatu, zbliżającego się z psim skowytom niechybnie, nieodwołalnie ku rozłożonej w piachu tyraljerze, by za moment trzaskiem piorunu, straszhwym wstrząsem wybuchu rozjéć się setkami odłamków w powietrzu — gdy się gdzieś od kaprala czy frajtra spokojny podnosi głos: te, rekrut, uważaj, bo ci przypadkiem oko za-pruszy...

Leci, gna, skokami sunie nierazłączny nigdy za rozhu-kany, niepowstrzymanym pędem szturm na bagnety, by w porywającym, nieodpartem, gwałtownem jak nagła burza, ścinającym krew w żyłach „hurra”—przedrzeć się jak ogni-sta, barwna raca burzliwym wołaniem: bier... za głowę!...

Krok w krok sunący za piechuram śmiech-towarzysz, najwierniejszy druh, włóczy się za nim jak cień — w bitwie, w marszu, na biwaku, w ofensywie czy odwrocie...

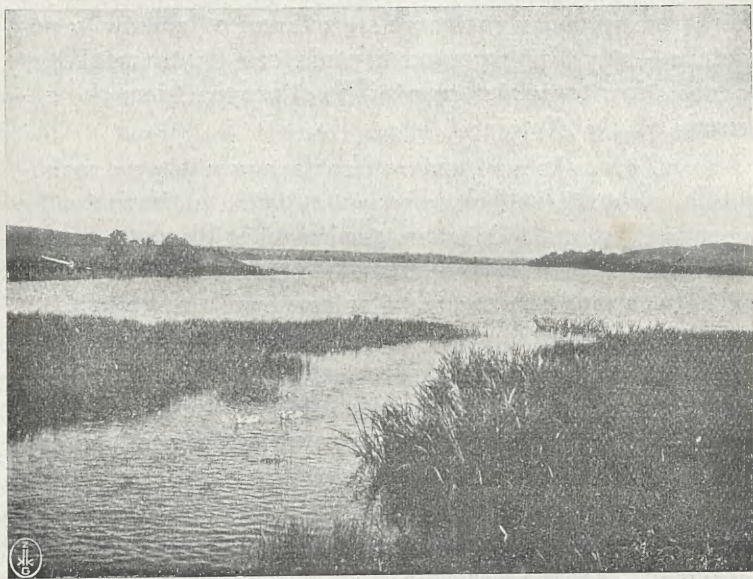
Czy w upalne, żaru pełne, skwarne czerwcowe dni, czy w osmętniałe, mgliste, sine wieczory jesienne, czy w świe-szczące wichrem, mroźne, gwiezdne noce grudniowe czy w wiosenne, świeżym, upojonym powiewem tchnące, radosne południe — zawsze przewija się przez kolumnę w marszu śmiech-druh, śmiech-pocieszyciel wierny, żołnierza nieod-lączny towarzysz...

Rozwinęła się po zbiorce w bagnistej, ciasnej uliczce Miednik kolumna bataljonu z radosnym gwarem, jak na wyraju wiosennym ptaki, dzwignęła się z chrzęstem ryn-sztunków, z dyrekcją na wschód daleki, we mgłach poran-nych spowity — z weselem w sercu, z pieśnią na ustach.

Skrzypnęły wozy długich, białemi płachtamiznaczonych taborów, ściągnęły się wysiłkiem zgjęte końskie karki, prze-

leciał długi, donośny krzyk komendy na marsz—i kolumna wparła się w mokry, ciężki piach...

Maszerujemy na Szumsk. Droga prześliczna. Krajobrazy zmieniają się co chwila, coraz to nowe, zachwycone budząc spojrzenia. To napełniamy śpiewem i gwarem marszu przepyszne, młodą i świeżą zielenią okryte olszynowe gaje, to przewijamy się krętymi wężowiskami po piaszczy-



Jezioro na Wileńszczyźnie.

stych wąskich drogach, przebitych w śmigłych, wysokich sośniakach boru, to wznosimy się na strome nagłe wzgórza, skąd dalekie wokół i sine pasma głębokich borów ciemnieją, i skąd przezierają gęsto przezczyste i jasne oczy jezior litewskich. Zanurzamy się w głuchy nieznany żołnierzowi kraj, zostawiając za sobą historję i kilometry...

Na wschód...

Kilometry mijają, mija historia — śpieszymy mocno, gdyż dzisiaj mamy jeszcze dojść do Słobódki, a więc zrobić dobre trzydzieści „tutejszych“ wiorst.

Na czele bataljonu w polowych mundurach, z odznakami tak dokładnie jodyną pociemnionymi, że zaledwie na kilkanaście kroków można je rozpoznać — maszerują zwartą grupką oficerowie, rozpowiadający o tej wojnie bolszewickiej, której pierwszą próbę mieliśmy pod Żakieńcami i Michałówką.

W pogwarce, w opowiadaniach raz po raz rzucanych, przewijają się wspomnienia dawnej, starej, legjonowej wojny.

Inaczej się to wówczas wojowało. Dawniej, w 1915 czy 16 roku, w ofensywie, czy zaś w jakimś odwrocie — nie tak wyglądał wielkiej wojny szlak. Gdziekolwiek się rzuciło okiem, zewsząd, po wszystkich drogach, ścieżkach i bitych ścieżkach sunęły, nieskończonej zda się długości kolumny wojsk, okrytych, gdyby wapienną skorupą, białym kieleckim czy lubelskim pyłem, lub unurzane, utyłane po kolana w poleskich bagnach i bajorach ciągnęły milowe kolumny, siejąc po drodze, co kilka kilometrów, najróżnorodniejszymi tyłowymi urządzeniami i etapami.

Teraz — dość z konia się obejrzeć — by na szerokim polu całą kolumnę objąć wzrokiem, dość zejść piechurowi na chwilę do rowu, by później gonić kolumnę, bez możliwości dopytania się kogokolwiek, dokądże wojsko poszło... Nikt poza nami nie zostaje, jeno oddalone huki armatnie świadczą, że gdzieś i ktoś się bije.

To też nie nawykli do takiej wojny, pocieszamy się wiadomościami, jakie nam Bortnowski rzuca o bolszewickich siłach. Całe szczęście, że mamy ich naprzeciwko również niewiele, również i oni markotnie się czują. Pobije ten kto się mniej na łączność ogląda i rzadziej liczy karabiny...

Na przecięciu traktu Smorgońskiego z torem kolejowym — stanęliśmy na krótki odpoczynek. Kompanje rozłożyły się po bokach leśnej drogi. Żołnierze sięgają do chlebaków i manierek.

Wysoki sosnowy bór, biały, sypki na drodze piach, ostry, równy wyrąb lasu, jak jasne oko w ciemnej ścianie boru, i biegnąca wdal linja kolejowa stalowym błyskiem szyn.

Na rozstaju dróg odprawa. Pod pochyłą, rozłożystą przybrzeżną sosną, otoczona ciasnem kołem oficerów, wysmukła postać Bortnowskiego. Pochylne nad mapami głowy — skupione posuwanie palcami.

Przed chwilą w kurzawie pyłu, na zgrzanych koniach wpadli w ostrym klusie na biały, piaszczysty szmat leśnego wyrębu ułani i wręczyli meldunki.

Coś, gdzieś się kroi — są wiadomości, — więc dwie kompanje wysuną się zaraz naprzód, jako straż przednia.

Wracamy z odprawy do oddziałów. Przeczekamy z półgodzinki, aż tamte dwie kompanje wysuną się na odpowiednią odległość, i pomaszterujemy dalej.

Z głębi lasu wysuwa się za chwilę czoło kolumny. To bataljon 3-go p.p. legionów łączy się z nami, by razem pomaszterować na wyznaczone Soły.

Po pół-godzinie w galopie wpada ułan. Wręcza meldunek. Po krótkiej chwili — marsz.

Do Słobódki jeszcze daleko. Jeżeli gdzieś bolszewicy nie zataili się i nie przygotowali jakiej strzelaniny, któraby nam mogła trochę czasu zająć, — prawdopodobnie będziemy tam jeszcze dzisiaj kwaterowali, naturalnie o ile wszyst-
o s o pomyślnie złoży.

Koło południa wyszliśmy z lasów i maszerujemy białym traktem.

Zerwał się ostry, zimny wiatr i sypie nam w oczy paskudną kurzawą. Maszerujemy jednak bez wytchnienia

i moglibyśmy się posuwać jeszcze szybciej, gdyby nie tabory. Nie można ich samych zostawiać, bo ztyłu za nami żywej duszy niema, — a tu konie, gdy wypadnie pod górę pociągnąć, wpierają nogi po pęciny w piach, rozpocliwie się wysilają i ledwo, ledwo z pomocą kiepskich ramion piechoty mogą podźwignąć obładowane wozy.

Wozy ciężkie, przygniecione ciężarem prowiantu, którego trzeba było wziąć ze sobą na kilka dni.

O podwoły zaś niesłychanie trudno. Z każdym kilometrem zbliżamy się do dawnej linii frontu rosyjsko-niemieckiego z wojny światowej. Już tutaj oglądamy ślady niszczycielskiej gospodarki niemieckiej, która nie oszczędziła nawet wsi, koło których przechodzimy, chociaż do smorgońskiej linii starego frontu mamy jeszcze dobre czterdzieści kilometrów.

W pewnej chwili kolumna stanęła. Bez widocznej przyczyny raptem zatrzymaliśmy się; z przodu nie nadchodzi żaden głos, donoszący o spoczynku, czy też o przyczynie wstrzymania marszu.

Wysuwamy się w kilku naprzód na czoło bataljonu i stajemy wobec pierwszej przeszkody, jaką nam bolszewicy na drodze naszego marszu urządzili.

Niewielki, olszynowy gaik. Skisła, zielona woda, pełna zapewne w cichy wieczór żabiego chóru. Małeńka usypana grobla i trzymetrowej szerokości, zwyczajny, z dyków złożony most. Wprawni saperzy w piętnaście minut ścieliby kilkadziesiąt olch i most sporządzili.

Most ten leży teraz w wodzie. Porozdzierane osękami belki, zsunięte w wodę, rozłupane poszczególne dyle, rzucone daleko w zieloną, stęchlą toń wiązała.

Przeszkoda. Piechota przebrnie, choćby po pachy miała się w wodzie pogrążyć — lecz ciężkie, wyładowane prowiantem wozy i półbaterja polówek, która przed chwilą z bataljonem 3-go pułku dołączyła do nas — nijak nie

przejdą. Nie dadzą rady. Nie obejdą też olszynek — bo jakieś tam załapane ciągną się łąki i bajory.

Gdyśmy dochodzili do mostku, wrzała tam już gorączkowa praca. Żołnierze czołowej kompanji zajądło rzucili się z toporkami na smukłe olszynki, inni rozbiegli się do pobliskiego toru, by porozdzierać budkę strażniczą i szyny rozjazdu.

Nad mostkiem stoi przedziwnie rozkraczony Bortnowski. Sam odbiera wilgotne, obłocone olszynowe pnie i ciska je na resztki, pozostałe po moście. Inni oficerowie chwytają podawane im przez żołnierzy łopatki i zdzierają niemi darń.

W kilka minut przy mostku zebrał się cały korpus oficerski. Żołnierze śpiesznie znoszą wszelkiego rodzaju trwałe przedmioty i ciskają je na mostek. Tu kilkanaście oficerskich rąk układa je, osypuje, przyklepuje...

W niecałe pół godziny mostek był gotów. Kompanje przemaszerowały, udeptując zniesioną darń i po chwili wjechały głęboko w czarną, narzucaną ziemię koła pierwszego wozu.

Most ani drgnął...

Pod wieczór doszliśmy do Słobódki. Bolszewików tu ani śladu. Chłopi, którzy nas z żywą, prawdziwą radością powitali, twierdzą z pewnością, że nie oparli się „krasnoarmiejcy“, aż o Soły, a poniektóry przypuszcza nawet, że może i wprost do Smorgoń. do starych okopów uciekli...

W Słobódce, dużej polskiej wsi, stoją obydwa bataljony i półbaterja polówek. Stąd mamy nawiązać łączność z oszmiańską grupą, gdyż pono wczorajszego dnia zajęto Oszmianę.

...Orczański starosta, Kmicic — nawet na owe zanarchizowane czasy w Polsce, „bolszewicki“ — staje mi przed oczyma. Stąd, z tych tutaj stron wywodziła się jego banda

zabijaków „par excellence” bolszewicka, — choć bez socjalistycznych i komunistycznych programów...

Przy wejściu do Słobódki, tak typowo, po tutejszemu w dwa ciasne rzędy wzdłuż wiejskiej uliczki zbudowanej — otrzymuję rozkaz dalszego marszu. Klnąc, na czym świat stoi, dowiadujemy się, że z kompanją mamy odmaszerować do wsi Tołłociszek, o 5 km na południe, jako ubezpieczenie grupy.

Wiatr ustał. W powietrzu cisza zupełna; chmury gdzieś wywędrowały za dziesiąte morze — niebo pokrywa się czerwienią zachodu. Wy płynął, niewiedomo skąd, na falach letniego powietrza ciepły wietrzyk i przyniósł nam zapachy niekoszonych łąk...

Przecinamy tor i maszerujemy na owe paskudne Tołłociszki. Wyrывam się konno naprzód z patrolem przednim, szukając pilnie niewielkiej polowej drogi na mapie, by jej w terenie nie zgubić.

Mijamy po drodze jakowąś wioszczynę. Chłopi, młodzi i starzy, wybiegają ku nam tak nadzwyczajnie uradowani, jakgdyby na spotkanie samego szczęścia ku nam szli. Z niekłamana radością, z błyskiem rozradowanych serdecznie oczu, z najżyźliwszą w sercu troskliwością rozpowiadają nam o bolszewikach, typowo, z rosyjską akcentując końcowe zgłoski.

— Oj, nacierpieli my się, panowie, nacierpieli... ta śpiewna nuta polskiej skargi płynie im z ust mimo radości powitania.

Po godzinie marszu zajmujemy na kwatery, rzuconą na piaszczystą wydnię niewielką wieś Tołłociszki. I tu Polacy.

Z pewnego rodzaju zdumieniem oglądamy tych dalekich od nas, od rdzennej Polski rodaków, my, królewiaczy dla których przeważnie pojęcie polskości kończyło się na wysokich brzegach Bugu. Jak w latach legionowej wojny widzieliśmy i spotykaliśmy polskość na szlakach naszych

wołyńskich marszów — tak z większem jeszcze zdumieniem odnajdujemy tutaj Polskę, ściszoną, utajoną na tych litewsko-białoruskich przestrzeniach, tak niesłychanie gnębiącą duszoną przez tyle dziesiątków lat...

Jednak pozostała niezłamana, trwa ciągle, niezmiennie, wojująca, uparta, nieprzeżarta przez wpływy i potęgę Wschodu — ciągle ku dalekiej Polsce, ku zachodowi tęskno wyciągająca ramiona...

Mówią tu oni po swojemu, po „prostemu“. Język to ni polski, ni ruski, a już w żadnym razie nie rosyjski. Lecz w każdym domu polski elementarz, polska książka do na-bożeństwa, polskie, starannie przed obcym, przed wrogiem ukrywane czytanki. Język polski, mowa — jest tą odświeżoną godową szatą, którą nie na codzień się nosi.

W izbach—dość brudnych zresztą—wszędzie ślad germanizmu, pochodu wielkich niemieckich armij z lat niedawnej wojny światowej. Pozostanie on tutaj dość długo, choćby w dziesiątkach pocztówek niemieckich, wycinków, malowideł z najrozmaitszych tygodników berlińskich, w porozwieszanych fotografiach różnych „kulturträgeów“ i lejtnancikiem z monoklem w oku. Pozostanie ślad i na dziesiątkach cmentarzy, na wzgórzach, ubranych krzyżami, na leśnych polach, w cichych głuszach boru, gdzie bielą się krzyże brzo-zowe i widnieją napisy: Hier liegen...

Zostały ślady nawet w piosenkach. Dwuletni pobyt Niemców i to po sobie zostawił. To też zdziwiliśmy się niezmiennie, gdy po odśpiewaniu nam różnych tajonych do tej pory pieśni polskich, po melodji Niemna, usłyszeliśmy nagle śpiewaną przez córki naszych gospodarzy, jakąś piosenkę z operetki niemieckiej...

Przy odmaszerowaniu ze Słobódki Bortnowski zapewniał nas, że przez jutrzejszy dzień prawdopodobnie będziemy stali jeszcze na miejscu, zanim się ogólna sytuacja wyjaśni. Nie bardzo temu wierzymy — lecz że wszystko na wojnie

możliwe, przeto i jutrzejszy postój jest prawdopodobny. Zależy nam bardzo na tem, gdyż po bitwie, po pierwszym ogniu naszych rekrutów, nie mieliśmy chwili spokoju, aby przed frontem kompanji objaśnić cały ten bój, wytłumaczyć, co i jak się robiło, jak się oni sprawowali, a jak się zachować powinni — słowem, bój, który w ich świadomości trwa, jako jeden ogromny huragan huku, trzasku, świstu kul, krzyku komendy, biegania i padania — tę niezmienną kombinację ruchu i ognia, jakiej się poddawali bez najmniejszego zrozumienia akcji z ich strony — ująć w proste schematy myśli, założeń i wykonania. Po takim objaśnieniu, odpowiednio dowcipami i humorem przeplatane — rekruci zrozumieją, pojmą treść rzeczy. Poza tem odpoczynek jest potrzebny, by objaśnić jeszcze chłopaków nieco o tej ziemi, przez którą maszerujemy, i o stosunkach tujszych, no i wreszcie zrobić porządek z kancelarją...

Oj, ta kancelarja!...

Jedzie na wozie skrzynka szpargałów, papierów, raportów najrozmaitszych, pięcio i siedmiodniowych, porannych i południowych, broni i koni, — a tu już od kilku dni, od tygodnia prawie jesteśmy w drodze, i ani rusz się wziąć do porządkowania. Odpoczynek choć jednodniowy przyda się nam wspaniale.

Pośrodku wsi, którą zajęliśmy, wąska uliczka, ciasno zabudowana chałupami, rozbiega się w dość szeroki plac z niewielką sadzawką pośrodku.

Wczesnym rankiem, przeraźliwie chłodnym, mimo iż to 6 maja, zebrały się na placu, porośłym krótką, objedzoną przez bydło trawką wszystkie plutony i tłuką ćwiczenia.

Po przerobieniu chwyków bronią — nauka o wedetach, placówkach, o zatrzymywaniu, z nałogu starego zwanym „haltowaniu”.

Trzytygodniowe ćwiczenia w Ostrowiu nie pozwoliły nam dać wszystkich tych wiadomości rekrutom, jakie żół-

nierz w polu powinien doskonale znać, to też edukacja musi odbywać się dalej podczas postoju w marszach, w przerwach między jedną a drugą bitwą.

Gdzieś pod stodołą sierżant Pacholski daje „szkołę” pierwszemu plutonowi — w innym końcu sadzawki Grzyb piłuje swych chłopców, trzeci pluton obkuwa Witold Kuczkowski, a Tadek Młodkowski i ja obchodzimy we dwójkę wszystkie cztery plutony (bo i maszyny się wywlekły) i... cieszymy się...

Cieszymy się, bo już bądź co bądź nie z tak okrutnie zamazanym rekrutem mamy do czynienia, radujemy się z tych wyników, jakie otrzymaliśmy mimo tak niebywale krótkiego czasu ćwiczenia rekruta w kadrze, rośnie nam serce, gdy spoglądamy na równe linie plutonów w takt, jak jeden, trzaskające bronią przy chwytach, i porównujemy do rekruta niemieckiego, który przed 6-tygodniowym ćwiczeniem w kadrze w pole nie ruszał...

Klnie się naogół ciągle. Klnie się porządki bataljonowe, pułkowe, brygadowe, dywizyjne, „psioczy” się porządki w całej armji, wymyśla na ciągły bałagan i t. d. Byłe rozkaz nie w porę, alarm, gdy człek siedzi przy pokierze, rozkaz za późno przychodzący, fasunek machorki miast papierosów, słowem klnie się ciągle, bez przestanku, na wszystko i stale.

Jednak, gdy tak jakiś spokojny dzień wypadnie — ot choćby, jak dzisiaj w Tołłociszkach — bo to, uważasz, człek zawsze jest trochę romantykiem, wodzi oczyma po plutonach i gadu-gadu, rozpowiada o różnych i wielu innych naszych spawach — inaczej się jakoś, pogodniej i radośniej układają myśli.

Więc i rzetelne uznanie znajduje się dla prowjantury, która na czas podwiezie prowjant i to prowjant „pirwsza

klasa“, nie taki, jakiśmy „fasowali“ w dawnych czasach. I chleb biały jest i konserwy i mięso i ryż — wszystko dużo i dobre. Więc, gdy sobie to na „spokojnego“ uświadomimy oprócz radości ogarnia nas zarazem ogromne zdziwienie. Nie tegośmy się spodziewali przy powstaniu Polski. Głodowania, biedowania bez mundurów, fasunków i żołdu, przysłowiowej bryndzy żołnierza polskiego spodziewaliśmy się, nastrajaliśmy duszę i serca na podniosły stan „poświęcenia bez granic“ — a tu, psiakrew, okazja całkiem mija, obywa się bez poświęceń...

Bo jakoś ten cały ogromny aparat zaopatrzenia armji funkcjonuje i to funkcjonuje dobrze. Najlepszy dowód: funkcjonowanie aparatu organizacyjnego armji odbija się przede wszystkim na żołnierzu w polu, na bataljonach i kompanjach. No—i przyznać trzeba — niewiadomo, na czyją zasługę, jakich Thornów¹⁾ czy innych Litwinowiczów²⁾ — dość, że wszystkiego jest dużo i na czas.

Przewycięzając więc niechęć, jaką ma każdy linjowiec do różnych intendenckich brzuchaczy i prowiantur, niechęć, zapuszczoną i zardzewiałą w duszach ze starych czasów, czasów suszonych ryb i kukurydzianych bochenków chleba— w pogwarce i w zwierzeniach myśli i uczuć, zgadza się człek, że dobra jest, bo mogło być gorzej...

A plutony „furt“ ćwiczą. Teraz na komendę, chórem pwtarzają sygnał zatrzymywania: stój — kto idzie?... pojdź na hasło i t. d.

Chóralne, rytmiczne wołania odbijają się o chałupy — i wsiakają gdzieś w płaską ciszę rozległych pól...

— A zatrzymywać trzeba morowo, spokojnie, samemu się nie peszyć, a podchodzącego zahaltować tak, żeby miał

¹⁾ Porucznik Thorn, szef intendencji 1. dywizji, zmarł w r. 1926 jako podpułkownik.

²⁾ Inż. Litwinowicz, ob. generał brygady, organizator polskiej służby intendenckiej.

dość na długo — ciągnie przed plutonem któryś z podchorążych czy sierżantów, i prawi przed rozdziawioną linją gęb, jak to on kiedyś zatrzymał i spieszył nad Nidą kapitana Młota-Fijałkowskiego¹⁾.

— Stoję se na wedecie. Noc jasna, niskie, mokre brzegi Nidy. Aż tu, widzę, telepie się między drutami jakiś gość. Klękam se nisko, by go na tle nieba obejrzyć i widzę, że wali kapitan Młot. Przykucnąłem jeszcze niżej a potem, podpuściwszy bliżej, nagle się zrywam i trzask bezpiecznikiem: stój — kto idzie? hasło?... — To ci jak kapitan stanął, przez dobrą minutę myślał, jakie to hasło, tak się spieszył. A wreszcie gdy sobie przypomniał, podszedł do mnie i mówi: macie tu obywatelu paczkę egipskich, boście mnie morowo spieszyli...

— A morus chłop był, jak cholera, z tych najpierwszych w I brygadzie, co nie łatwo się peszą. I uśmiechnąwszy się rzewnie na wspomnienie tych egipskich (Rany Boskie—egipskie...) ciągnął dalej:

— To też rekruty zamazane, pierońskie ćwoki, musicie umieć haltować jak należy, byście wreszcie do żołnierzy podobni się stali.

Pamiętać więc: porządnie, morowo zatrzymywać, tak żeby gościa spieszyć. A nie otwierać bezpiecznika tylko na postrach celownikiem trzaśnij — boś taki żołnierz, że jak celownik odemkniesz, wygarniesz w brzuch łącznikowi, albo oficerowi inspekcyjnemu i będziesz się później tłumaczył, że ci się „kurcoba urwała“, ofermo sakramencka...

Po dwóch godzinach ćwiczenia były skończone, plutony wróciły na swe kwatery.

Chłopcy wiedzą, że jeszcze niejedna ich bitwa czeka, to też ćwiczą teraz z wielkiem przejęciem. Słuchają objaśnień, rozumiejąc z każdym dniem coraz bardziej potrzebę

¹⁾ Obecnie płk. piechoty.

wyszkolenia. A już najbardziej są przekonani do szybkiego poruszania się w ogniu, wiedzą, że najlepiej uchronić się od strat przez szybko przeprowadzoną bitwę, którą gnać trzeba, gnać w tyraljerze, jak najprędzej przemierzyć przestrzeń, dzielącą od nieprzyjaciela.

I, śpiewając swą piosnkę w marszu: bolszewika goń!... rozumieją jej treść, w gruchocie karabinowego ognia, uwydatniającą się w całej pełni.

Na dworze ciągle chłód. Od czasu do czasu przemknie się przez pola jakiś niezdecydowany słoneczny promień i niknie gdzieś za lasami — w górze przeciągają ciężkie nawałnice nowych chmur.

Wybieram się do Słobódki po nowiny i ploteczki, których tak zawsze w polu łakniemy, poza tem niebardzo wierzę, żeby dzisiejszy dzień przeszedł w spokoju.

Tłukąc się na zdobytej pod Żakieńcami jakiejś bolszewickiej, ongi kozackiej zapewne szkapie, znalazłem się po pół godzinie w Słobódce, gdzie, o zgrozo, skonstatowałem zaledwie ślady po „słodkiej ze Lwowa“, która wreszcie dojechała do bataljonu.

W słodkich natomiast humorach bawił się korpus oficerski na ganku chałupy, gdzie kwaterował Bortnowski.

Kwaterowały tu ongi, w latach wielkiej wojny, jakoweś oddziały, komendy, sztaby niemieckie i wszystkie niemal chałupki wsi poprzybierały w najrozmaitszego rodzaju daszki, altanki, stoły, ławki i ganki z białych pni brzoźowych, z wiotkich, lekkich brzezinek pracowicie pobudowane.

Na jednym z tych ganków siedziała kołem oficerska wiara i zaśmiewając się, obserwowwała próby dosiadanania klaczy Botnowskiego, prześlicznej „Heli“, przez coraz to innego amatora. Próba zwykle kończyła się mniej lub więcej zgrabnie wykonanym „salto-mortale“, jakie pokolei delikwenci produkowali, spadając z grzbietu rozbrykanej klaczy na

twarde klepisko podwórka, lub co gorsza, na niezbyt nęcącą gnojówkę.

W Słobódce dowiaduję się, że dzisiaj pod wieczór lub może później nieco, wymarsz. Jutro rano prawdopodobnie zaatakujemy Soły. Siadam wobec tego na konia i jadę zpowrotem do Tołłociszek.

W pół godziny po moim przyjeździe wpadł ordynans konny grupy z pisemnym rozkazem: o 1 w nocy wymarsz.

Zmrok już zapadał, wieczór zapowiadał się cichy i ciepły, powoli zbliżała się letnia noc. Po wydaniu dyspozycji plutonom, taborowi, kuchni—kładziemy się pokotem na rozłożonej w izbie słomie.

Późną nocą zerwaliśmy się na równe nogi. Ktoś wrzeszczał, dobijając się do drzwi i za chwilę buchnął snop światła latarki. Przez drzwi wpadli Bortnowski, Staub i adjutant bataljonowy.

— Zebrać kompanję, zaraz tu Liwacz ze swoją przy-maszeruje. Za pół godziny odmarsz!

— Rozkaz!

Młodkowski pchnął sierżanta, a tymczasem tamci trzej każdy gdzie bądź, władowali się na ławę, łóżko, i podłogę i po chwili chrapali jak zarzynani.

Po pół godzinie, potykając się i przewracając przez porozkładanych w izbie wojaków, ładuje się do środka, świecąc zapałkami Liwacz, klnąc przytem straszliwie. Otwieram rozespiane oczy.

— Kto się tam, u diabła tłucze? — mamrocze z wściekłością.

— Tu Kazek... — Gdzie kapitan?...

— Aha, ty! To trzeba już pewnie wstawać?

— Pewnie, już dzień zaraz. Gdzie kapitan?

— Śpi na łóżku — powiadam, wskazując jakąś kupę pierzyn i poduszek, na której w płaszczu, w butach, opasany teczkami, latarkami i brauningami, leży Bortnowski.

Podporucznik Liwacz, jeszcze raz potknął się o jakąś zdradziecko wystawioną nogę, zaklął i stanął wreszcie przed kapitanem, świecąc podaną tymczasem przez sierżanta lampką.

— Panie kapitanie, melduję, kompanja przymaszerowała!...

Gadaj zdrów — myślę sobie, — możesz tak do sądnego dnia z równem powodzeniem kapitana budzić. I zdzierając koce ze śpiących, wrzeszcząc: Auf... Wstawać!... Kawa!...

Koce się odrazu podniosły.

— Jazda! wstawać! odmarsz!

Kapitan naturalnie również się obudził; nawet syjący przekleństwami adjutant, który klnie bez żadnej okazji, zawsze, wszędzie i o każdej porze dnia i nocy, zebrał już swe sztylpy z jakiejś okropnie twardej ławki, i klnąc, przeciągał ramiona.

Jeszcze jeden wrzask, „kawa...” i za chwilę izba opustoszała.

Wychodzimy z dusznej izby. Noc jasna, gwiazdzista, zalana srebrną księżycową poświatą. No podwórkę zaprzężone już do kuchni polowej konie; za płotem, w jakimś ogrodzie, skrzypią wozy taboru.

Wzdłuż wąskiej uliczki rozłożone obydwie kompanje. W nikłym, miesięcznem świetle dziwnie groźnie wygląda ta powalona masa ludzi, z której ogromna większość, wyzyskując wolną chwilę, już śpi... Zbieramy się wokół kapitana.

— Atakujemy rano Soły — zaczyna kapitan. Kompanja 9 i 11 i pół kompanji karabinów maszynowych ze mną, kompanja 12 i 31-go pułku, która do nas dołączyła, z Chilewskim, maszeruje na Soły wzdłuż toru kolejowego. Maszerujemy na Żuprany, gdzie stoi szwadron 11 pułku ułanów. Tam dostaniecie szczegółowe dyspozycje. Kompanja

9 na czoło, k. m. w środek, 11 na tyły. Służbowa 9 — ubezpiecza. Marsz bojowy!...

Krótko i jasno wydawszy dyspozycje, siadł Bortnowski na konia. Za chwilę kompanje już stały gotowe w kolumnie marszowej.

Kilka zaledwie upłynęło minut i na cztery strony, wprzód, na boki i na tył odłączyły się pośpiesznie ubezpieczenia i zanurzyły się w poranną mgłę, która, podnosząc się zwolna z łąk i oparzelisk, przesycala powietrze surową wilgocia.

WALKA Z PANCERKĄ.

Gwiazdy bladły.. Księżycowe światło coraz bardziej zlewać się poczęło z sinym tonem poranku, — przeciągnął rzeżki, chłodny wiatr.

Maszerujemy! Patrole wzięły już odpowiednią odległość. Zimno trzęsie, jak febra, to też gnamy coraz szybciej.

Chłopczy co chwila pokazują na zamarzniętą w rowach wodę i oszroniałą, twardą, zmarzniętą grudę.

Ot maj, maj litewski!...

Maszerowaliśmy dobre dwie godziny do Żupran. Gdyśmy dochodzili do małej osady z wysoką czerwoną wieżą kościelną, błysnęły tam nagle krwawym ogniem pierwszych promieni słonecznych zalane szyby okienne i zamigotał w słońcu krzyż.

Wielka tarcza krwawego, wstającego słońca przebijają się przez drzewa wiejskich sadów.

Na wstępie, pod jakąś stodołą napotkaliśmy wedetę ułańską i tuż zaraz na rynku stojący tabor. To wysunięty naprzód szwadron 11 pułku zajmuje Żupranę od przedwczoraj.

Małe miasteczko Żupranę, na mapie niemieckiej oznaczone jako „Schupran“, a prawdopodobnie Żupranę — przedstawia oryginalny widok. Na pierwszy rzut oka ma się wrażenie jakgdyby to była jakaś osada fabryczna, ja-

kieś centrum przemysłowe. Wrażenie to wywołuje niezliczona ilość słupów telegraficznych, wież, kabli, na wszystkie strony rozchodzących się setek linii, drutów i połączeń.

Każda nieomal chałupa opatrzona białemi, porcelanowymi kablami; ze wszystkich stron sterczą większe lub mniejsze wieże.

Wszystko to ślady pobliskiego frontu niemieckiego, którego nerw zbiegał się tutaj w ogromnych centralach telegraficznych i zakładach elektrycznych, pędzonych turbinami, rzuconemi na łagodne fale szerokiej, krętej Oszmianki.

Bataljon staje na rynku obok dymiącej kuchni ułańskiej, kapitan zaś szuka dowódcy szwadronu.

Za chwilę wchodzimy do obszernej, dość czystej żydowskiej izby, gdzie, ku najwyższej radości, ujrzeliśmy syczący rozkosznie na stole samowar. Zziębnięci, skostniałi, mimo że już słońce dość wysoko stało na niebie, rzuciliśmy się na gorącą herbatę i, parząc sobie wargi, słuchamy dyspozycji Bortnowskiego.

Pluton ułanów ma ruszyć gdzieś mocno na wschód, w okolice Smorgoń, i tam postarać się przeciąć tor kolejowy, aby nie mogła uciec pancernka bolszewicka, która jest na pewno w Sołach, jak nas o tem poinformowali chłopci. Drugi pluton ma ochraniać prawe skrzydło, a więc kompanję 9-tą.

Główny atak przypuszcza od zachodu I bataljon 3 p. p. i Chilewski z półbataljonem, atakującym na Podbołocie. 9-ta kompanja ma uderzyć na Renczjany, Usipany, Kropiwno i od tyłu wpaść do Sół, ewentualnie, gdyby się dało i zdążyło, ma zrujnować również tor, aby bolszewickiego „broniewika“ zafasować.

11-ta kompanja maszeruje w rezerwie.

Rozgrzawszy się jako-tako gorącą herbatą — wracamy na rynek.

Zbiórka.

Kapitan maszeruje z kompanję 11-tą za nami, do niego posyłać należy wszystkie meldunki przez konnych łączników, których nam kilku przydzielają z 11 pułku.

Za chwilę maszerujemy.

Podoficerowie, dowcipkując, starają się z jak największym humorem pójść w ogień, — ale i rekruci już nie z tak wielką tremą i niepewnością maszerują, jak na pierwszą „potrzebę” żakieniecką. W niejednym z nich już się zaczyna wyrabiać ten legunowy, beztroski nastrój, któremu jest wszystko jedno, gdy tylko poczuje nosem, że „coś” będzie, gdy wie, że idzie w ogień.

Niejednemu już z oczu patrzy śmiałe powiedzenie: jak mię ma trafić, to i tak trafi, choćbym się nie wiem jak bał i „dekował”....

To też naogół idą o wiele spokojniej i humor, z jakim się produkują, nie jest tak wymuszony, jak przed pierwszą bitwą.

— A pamiętajcie, chłopaki, bez rozkazu nie padać — „klarują” swoim plutonem oficerowie. — Jak będzie komen-da „biegiem marsz”, to gnać i gnać bez wytchnienia, a wówczas najmniej strat będzie...

Za chwilę wychodzimy z miasteczka i, przeszedłszy przez most z porozwalanemi, ogromnemi kołami i trybami turbin, wznosimy się na lekkie wzgórze.

Kompanja zostaje w dole, wśród niskich krzaków jałowca, my zaś w kilku wysuwamy się na niewielkie wzgórze.

Szeroki, rozległy widok. Pola i lasy pogrążone jeszcze w śniadej, porannej mgle, lecz poszczególne wsie, wyłaniające się w mglistych zarysach, oraz całą, szeroką dolinę Oszmianki, miasteczko i stację Soły — wszystko to widać, jak na dłoni.

Cisza jeszcze wokół zupełna; widocznie bolszewicy nie spodziewają się niczego.

Na stacji widać dokładnie ruch. Białe dymki z dwóch parowozów pykają regularnie; świetnie widać manewrowanie długiego, czerwonego pociągu.

Jest godzina ósma rano. Dzień prześliczny, nadzwyczajnie pogodny. Cała szeroka dolina, którą mamy przed sobą, równa i płaska, przesycona blaskiem słonecznym i lekką świeżą, śniadą mgiełką poranną, zwiastuje upalny gorący dzień.

W pewnej chwili gdzieś z lewa odezwało się kilka pojedynczych strzałów i zaraz za nimi poleciało jedyne donośne szczeknięcie naszej półbaterji polówek.

Białe dymki z parowozów bolszewickich natychmiast znikły i za chwilę gdzieś tam, w pobliżu dworca, słup dymu i ziemi wystrzelił w górę.

To granaty naszych polówek szukały pancerki.

Za moment od strony Podbołocia, z dużego szmatu lasu, ujrzelśmy jak na dłoni rozwijające się tyraljery bolszewickie. Gęsty ogień rwał stamtąd i od czasu do czasu dochodził do nas jękliwemi poświstami dalekich — ledwo, ledwo lecących kul.

Zaczynamy przesuwac kompanję ku Renczjanom. Grupkami, pochyleni, przypłaszczeni prawie ku ziemi, przełatują przez wzgórze żołnierze, by niepostrzeżenie dostać się do niewielkich zarośli, a stamtąd do Renczjan.

Udaje się nam to z powodzeniem, gdyż cała uwaga bolszewików zwrócona została na las za Podbołociem, skąd już dochodzi regularny i jednostajnie rwący, przytłumiony grzechot naszych maszynek oraz ostre stukotanie rosyjskich „pulomiotów“.

Po półgodzinie wraca zdyszany łącznik z Renczjan z wiadomością od patrolu przedniego, że wieś wolna.

Ruszamy.

Po dojściu do wsi natychmiast ją ubezpieczamy. Plutony porozkładały się w uliczce wiejskiej; ubezpieczenia otrzymały najsurowszy rozkaz nie przepuszczać nikogo w stronę bolszewików.

Zdaje się, że do tej pory nas nie zauważono.

Wychodzę z Młodkowskim na brzeg wsi. Chłopi, Polacy, objaśniają nas, gdzie bolszewicy przez całą ostatnią noc budowali okopy i gdzie prawdopodobnie teraz siedzą.

Na lewo od wsi wznosi się lekki wzgórek, w którego stronę od pierwszych prawie chałup prowadzą jakieś stare niemieckie okopy.

Pochyleni, dostajemy się na wzgórze i stąd, niewidoczni, ukryci w okopach, mamy doskonały widok. Okopy zupełnie dobre — ostrzał na całe Soły, na niedalekie, porzrzucane w dole baraki — przepyszny.

Przycajony, skulony w okopie chłop objaśnia dokładnie, gdzie są bolszewicy rozłożeni.

W oczach jego tai się zwierzęca, dzika, nienawistna radość...

Zduszone słowa wyrzuca z piersi niby najstraszliwsze przekleństwa...

Przed nami poniżej długa wieś Szczepany. Na lewo od niej rozcina pola wprost do Sól wiodący prześliczny trakt, wysadzony staremi brzozaami. Za wsią lekka, zwiewna mgła zieleni jakichś niewielkich olszynek.

Tam, od wsi Podbołocia, ukrytej za rzeczką w jasnych smugach olszynek, aż po tor kolejowy ciągną się okopy bolszewickie. Widać je dokładnie, jak wiją się czarną bródą świeżo skopanej, wilgotnej ziemi, jak giną gdzieś w szaw szarych jeszcze tarninach.

Oglądamy przez szkła pole, na którym za chwilę rozszaleje się gwałtownym ogniem bitwa. Orientujemy się jednak, że trzeba będzie zaraz uderzyć, gdyż Chilewski tak za-

chodzi bolszewikom z lasu na Podbołocie ze skrzydła, że będą musieli stąd bezwarunkowo wyrwać.

Za chwilę podkrada się do okopu Bortnowski ze Staubem, i wspólnie oglądamy pole.

Tymczasem ogień u Chilewskiego coraz bardziej rośnie, coraz bardziej wzmacnia się w sile. Kombinujemy, że tam się kroi coś poważniejszego.

Rzeczywiście za chwilę Staub, który zawzięcie lornetował tamte okolice, zaczyna krzyżeć, że jakaś tyraljera wali z lasu na Podbołocie. Skoczyliśmy do niego w jakiś trawers i spoglądamy w dolinę Oszmianki. W tej samej chwili ogień nieprzyjacielski raptownie ustał. Natomiast z granatowej linii lasu najwyraźniej widać tyraljerę, nierówną zresztą, raczej szereg ciemnych punktów, posuwających się szybko na Podbołocie.

Orientujemy się, że to bolszewicy rozpoczęli odwrót na Soły, na samo już miasto.

— No, Wacek — zrywa się Bortnowski — zaczynać!...
Wracam biegiem do wsi.

Spodziewając się, że bolszewicy nas do tej pory jeszcze nie dostrzegli, zamierzamy zrazu podejść dość głębokim jarem pod same Szczepany, a stamtąd z punktu, z kopyta ruszyć na Usipany, Kropiwno, ku torowi kolejowemu i na tyły miasta.

W pewnej chwili, gdy pierwszy pluton począł się zanurzać w tarniny jaru, zatrząsał naraz karabin maszynowy i kule z jęklwym, szybkim, dygocącym poświstem poczęły nam przelatywać nad głowami.

Stanęliśmy, jak wryci.

— Psiakrew, spostrzegli nas!... Szlagby ich trafił!...

— Ależ strasznie wysoko biją — mówi któryś z podoficerów i patrzy w górę, jakby lot kul przenosił o dobre kilka metrów nasze głowy.

Nagle jakiś żołnierz, obrócony bokiem ku nam, wskazując na wzgórze, którem posuwaliśmy się przed godziną, krzyczy: Ułani, ułani, panie poruczniku!...

Gwałtownie oglądamy się poza siebie.

Szczytem nagiego wzgórza wzdłuż białej drogi gna w ostrym galopie pluton ułanów. Kurz wzbija się kłębam, sznur plutonu na jasnym tle wzgórza przedstawia doskonały cel, to też dwie maszynki bolszewickie tłuką zajadle, zapamiętale...

Lecz ułani po kilkunastu sekundach już wpadli w las, skryli się za górę.

Na drodze nie widać żadnych śladów, prawdopodobnie bolszewicy, zgorączkowani tak ślicznym celem, za wysoko musieli brać, gdyż ani jeden ułan nie spadł z konia.

Mimo to klniemy wściekle, gdyż bolszewicy, raz zwróciwszy uwagę na tę stronę, albo zaraz zwieją, albo przygotowują się do odparcia naszego ataku.

Tymczasem Bortnowski nagli: maszerować, maszerować! Już powinniście uderzać na Usipany!...

Kompanja zbliża się do zagłębienia. Ciągłe mam nadzieję, że jednak bolszewicy nas nie dostrzegli, gdyż otworzyliby już ogień.

Za moment wyłania się pierwszy pluton i piorunem, szybkim rozrzutem, na tłustej, czarnej roli rozwija się tyraljera.

Reszta kompanji z zapartym tchem czeka w jarze.

Mija kilkanaście sekund. Rozwinięty pluton ostro rwie na Szczepany, a tymczasem, miast spodziewanego, alarmowego, nagłego ognia — cisza zupełna.

— Cóż u licha! Ani jednego strzału...

Delikatna mgiełka zarośli poza Szczepanami milczy, jak zaklęta.

Spokój. Słońce gra na karabinach i łopatkach. W ciszy upalnego dnia wiatr zaledwie szeleści trawą.

— Niemożliwe przecie, żeby mieli zamiar podpuścić ich pod bliski ogień! — niepokoili się któryś z nas.

— Ach, naturalnie! skądżeby nagle takimi morowcami się stali.

— Chyba, że zwiali...

Za chwilę triumfalny głos...

— Naturalnie, że zwiali. Patrzajcie, pierwszy pluton już wlaźł do Szczepan.

— No, rżniemy naprzód! Tamci mają czekać w Szczepanach na całą kompanję!...

— Dyrekcja na Szczepany i Usipany! Pluton w miejscu w tyraljery!... — lecą za chwilę komendy subalternów.

Z chrzęstem rozbiegli się w linję żołnierze.

— Równać! Kierunek nawprost — maarsz...

Dźwignęła się z miejsca tyraljera. Równa, przepyszna linja dwóch ogromnych plutonów rozrzuciła się momentalnie po płaskim, szarem polu.

Po kilkunastu minutach szybkiego, gwałtownego kroku tyraljery — dopadamy do wsi. O kilkaset kroków, na lekkim wzniesieniu, oddzielone od nas dawno niezoranem polem, wysoką, bujną trawą porośniętem, falującym w lekkim wietrze — zielenią się ogrody Usipan i bielą się ściany porozrzucanych chałup. Za chwilę dopadamy do wsi.

— Dawać tu jakiego chłopą!...

Zerwało się pierwszych dwu z brzegu i za chwilę prowadzą starszego już gospodarza. Chłopu ani się śni skomleć i jęczeć ze strachu, jak to się zwykle zdarza w takich wypadkach. Spogląda spokojnie, bez cienia strachu. Polak.

— Ojciec, gdzie tu byli bolszewicy? — pytam.

— A o tam, panowie, siedzieli, w tych o „rojstrach” zielonych, już musi pewnie uciekli.

— Uciekli, uciekli, tatusiu, — wtrąca się mała dziewczynka, która ni stąd ni zowąd znalazła się przy tatusiowych kolanach.

— A ty, bąku, skąd wiesz?

— Ja z miasta, od Sół, panie, szłam — szczebioce ośmioletni może dzieciak. — Nie chcieli w Usipanach bolszewicy puścić. Mówią — do Polaków idiesz — i zatrzymali. A o teraz dopiero, jak stali panowie z pulomiotów strzelać, tak i won uciekli do miasta. Już ich tam ani jednego niema...

Wiarogodniejszych informacji nie potrzebujemy. Za chwilę padają znów komendy:

— Powstań! W kierunku na Usipany — marsz!...

Zanurzamy się w szeleszczącą, wysoką trawę i, pławiąc się w niej i w gorących promieniach słońca, — zbliżamy się coraz szybciej do usipańskiego wzgórza.

Czuje, natężone oczy, niby ostre loty kul, wpadają pod każdy krzak, pod chałupę i płot każdy Usipan, czy nie czai się tam ukryta w trawie linja... Zaciętem, zimnem, szybkim, jak myśl, spojrzeniem wpijają się w łagodne fale wysokiej, przepysznej trawy...

Lewe skrzydło tyraljery gna ciągle wzdłuż owego prześlicznego, wysadzanego białemi, płaczącemi brzoza traktu i zachowuje kierunek. Wedle mapy trakt ten zaprowadzi nas wprost na Usipany. Kropiwno i na tor — skąd możemy się rozwinąć frontem do miasta i wpaść od tyłu.

Na lewo w Podbołociu umilkły już zupełnie strzały, — naokół panuje cisza gorącego południa...

Rozwiniętą, szeroką tyraljerą maszerujemy coraz prędzej, coraz szybciej. Słońce już wzbilo się wysoko i grzeje silnie; na niebie ani jednej chmurki, — pogoda prześliczna. Gnamy coraz szybciej, aż nam pot zalewa oczy, słabną w szybkim marszu kolana.

Za chwilę wpadam do Usipan. Kilkanaście domków, sady, ścieżki, świeże, przed chwilą opuszczone okopy walające się łopatki i naboje świadczą, iż bolszewicy dopiero co, może przed kilku minutami, opuścili te stanowiska.

Zaczynamy rozumieć sytuację. Nieprzyjacieli z Podbołocia prawdopodobnie cofnął się do Sól, a skrzydło naprosto nas, ujrzawszy kawalerję na wzgórzu, zabrało się również do miasta.

Fakt, że nie napotkaliśmy najmniejszego oporu, spowodowany jest tem, iż bolszewicy, cofając się, nie zostawili patrolu tylnego. Stąd też my, jednocześnie wyruszywszy ze Szczepan za bolszewikami, w tym momencie, kiedy się oni zaczęli wycofywać — najprawdopodobniej zupełnie przez nich nie zostaliśmy spostrzeżeni.

To przekonanie dodaje nam jeszcze większego impetu. Tyraljera już nie maszeruje szybkim krokiem, ale biegnie.

Coraz to zrywają się niecierpliwe wołania dowódców plutonów: *prędzej... prędzej... uciekną nam!...*

Zadyszana, spocona, zgrzana tyraljera zwolniła nieco kroku, gdy za Usipanami napotkała lekkie wzgórze, z którego dokładnie już widać oddzielone małym laskiem Kropiwno, tor kolejowy i zabudowania stacyjne.

Powoli, z ostatecznym prawie wysiłkiem podnosimy się ku górze. Maszynki ledwie się wloką, obsługa pomordowana docna dźwiganiem ciężkich karabinów maszynowych.

W pewnym momencie, gdy nagle na wzgórzu wyrosła nasza wydłużona, gęsta tyraljera — w powietrzu rozległ się jędrny, gromki huk. Jeden... drugi... trzeci!...

Wnet nad głowami wykwitnęły, kołując, białe - szare dymki. Grad kul szrapnelowych cisnął nam pancerkę w twarz!...

Biegiem marsz!... Naprzód!...

Poderwała się natychmiast pędem linja. Chłopcy ruszyli tak gwałtownie, tak szybko naprzód, że nie zdążono nawet w działach pancerkę zmienić celownika.

Następne huki i szrapnelowe dymki kołowały się już o kilkadziesiąt kroków za nami.

Wpadamy w maleńki lasek, piorunem go mijamy i wylatujemy na polanę, obniżając się ku torowi. Na samym jej dole ciągną się czarna linja baraki.

W tej chwili, gdyśmy tylko się ukazali na brzegu sownego lasku — między barakami wszczął się gwałt. Posypał się stamtąd bezładny, w popłochu zupełnym, w gorączkowem przerażeniu otworzony ogień...

Jednocześnie od strony plutonu pierwszego, znajdującego się nieco wyżej na prawo rozległ się rozpaczliwy, donośny krzyk: pociąg, pociąg ucieka!...

Strzały w barakach milkną. Widać migające tam postacie, słysząc wyraźnie gwałt, krzyk i zamieszanie.

W jednej chwili domyślam się — to cofający się bolszewicy w szalonym popłochu ładują się na pociąg...

Nie dogonimy go już. Sześćset kroków!... Za daleko!...

To samo zrozumiało prawe skrzydło, gdyż lekkie maszynki momentalnie się zmontowały i poczęły zapamiętale bić w długi czerwony pociąg, buchający dymem.

— Padnij!... Celownik 600!... Strzelać!...

Rozszalał się gwałtowny ogień! Chłopcy tłuc poczęli do dużego, widocznego celu; maszynki aż zanosiły się od bezustannego, zajażdżonego trajkotania...

Stałem na jakimś kamieniu i staram się przebić wzrokiem zarośla, baraki i dojrzeć pociąg. Tam nastał widocznie sądny dzień, gdyż krzyk mimo ognia aż do nas dochodzi...

Za kilkanaście sekund pociąg ruszył i z nadzwyczajną szybkością zaczął nam ginać z oczu...

W tym samym momencie tuż za czerwoną linją umykającego pociągu towarowego przesuwając się zaczęło coś czarnego.

Łysnęły stamtąd za chwilę jeden po drugim cztery blade-żółte, zielonkawe płomienie i w jednej chwili straszliwe wstrząsy czterech wybuchów rzuciły nami, a okropny, prze-

rażliwy huk ekrazytowych granatów runął w las... Wysokie słupy ziemi i ciężkiego czarnego dymu wzbiły się do góry...

— Pancerka — psiakrew pod samym nosem!...

Nim nowe zielono-żółte błyski trzasnęły nam w twarz, już poderwaliśmy linję.

Gwałtowny krzyk przebiegł po całej linii: Naprzód!... naprzód!...

Zerwali się piorunem na nogi chłopcy i pędem poczęli biec ku pierwszym osłonom, ku czarnym, niedalekim barakom.

Znów kilka błysków i potworne huki, kłębiące, walające się po ziemi czarne masy dymu ekrazytowych granatów...

Dopadamy do baraków i tam z ukrycia, z poza różnego rodzaju nasypów, dołów, rowów otwieramy gwałtowny ogień na spokojnie jeżdżącą wzdłuż toru pancerkę, raz po raz łyskającą blado-żółtymi płomieniami bliskiego, działowego ognia.

Rozpoczęła się zacięta, gwałtowna walka piechoty z rosyjską pancerką.

Odległość, jaka dzieliła potworne, żelazne cielsko pancernego pociągu od poukrywanych między barakami żołnierzy naszej piechoty, wynosiła zaledwie 300 do 400 kroków.

Chłopcy, dorwawszy się do jakiej-takiej pozycji strzeleckiej, łupili, ile tylko wlazło, zasypywali kulami pociąg, który spokojnie, jakby drwiąc sobie z naszego ognia — raz po raz zionął płomieniem, niby bajeczny, podwawelski smok...

Stałem przy jakimś baraku i przeglądałem szybkoimi oczyma pola.

Na przestrzeni kilkuset kroków, między dołami, nasypami i rowami barakowemi, w które zagłębiła się piechota.

a laskiem, gdzie nas poderwały z miejsca pierwsze granaty, pancerki, na lekko podnoszącej się ku górze polanie, leży kilkunastu żołnierzy.

Wielki, jasny blask słonecznego południa pada na nich z bezchmurnego nieba i gra migotliwymi skrami na metalowych, białych kociołkach które zwieszają się z plecaków żołnierskich.

Trupy, tchórze czy ranni?...

W każdym razie biedni... Próżno wbijają się w ziemię, chcąc się ukryć jak najbardziej. Zdradliwe kociołki dają doskonały cel, i artylerzyści z pancerki, sądząc widocznie, że to linja tyraljerska tak migoce w słońcu — skierowali na tych „łazików" celowniki.

Co moment, w mig za błyskawicami płomieni, buchającymi z czarnego cielska pancerki — rozwala się grom po gromie i słupy rozdartej ziemi wznoszą się wysoko ku górze z pomiędzy błyszczących kociołków bitewnych maruderów.

Czarny dym gęstemi zwojami, duszącymi kłębammi zwiąja się i ścięle po jasnej polanie.

Śmiać mi się chce w duchu z tych „morowców", z których na pewno niejeden dobrze przypłaci swą powolność, a tymczasem przykładam gwizdek do ust.

Ostre, przedzierające się z trudem przez gwałtowny łomot karabinów, gwizdki na „bezpiecznik" po chwili ściżyły ogień.

Obawiam się, że pancerka może schwytać dobry celownik i dać nam wreszcie „szkołę", tem bardziej, że nie wystarcza jej sam ogień działowy, a zaczyna tłuc zapamiętane z kilku naraz karabinów maszynowych.

Linja ścichła, zapadła w ziemię. Po chwili pancerka, obawiając się snąć o swój odwrót i o całość toru — powoli zaczyna wycofywać się na wschód.

Jeszcze kilka żółtych błysków, kilka łomotów, zwalających się z przeraźliwym, łamiącym trzaskiem ekrazytowych granatów — i znów cisza gorącego południa objęła las, baraki, polany i tor.

Podnoszę tyraljerę i pcham naprzód. Rozrzuciła się kompanja w biegu ku pancerce na ogromnej przestrzeni, — gdzieś tam, daleko, poznaję wzniesiony kij Julka Neumarka i wysoką postać Tadka Młodkowskiego.

Po kilku minutach dochodzimy do toru, zgrzani, zmordowani, spoceni i brudni, jak nieboskie stworzenia.

Na torze cisza. Budynki stacyjne puste, — znikąd głosu żywego ducha, wszystko zdaje się zdążyło wywiać.

Na szerokiej drodze, biegnącej obok toru, ściagam kompanję. Zbiórka.

Schodzą się chłopcy, pomordowani, spoceni, zgrzani, zmęczeni do upadłego bieganiami w upale słonecznym i w ogniu granatów tak bliskim, w jakim nawet nam, starym żołnierzom, nie przytrafiło się znaleźć, zemocjonowani do najwyższego stopnia, zagadani o swych przygodach.

Z trudem udaje się opanować roztrzęsionych chłopaków i dokonać porządnej zbiórki w ordynku.

Coraz to nowi przychodzący, znoszą nowiny: ten ranny, panie poruczniku... inny pewnikiem zabity...

W pewnej chwili z najdalej wysuniętego prawego skrzydła przynoszą tak paskudną wiadomość, że aż mię zatyka...

— Podchorąży Grzyb zabity, panie poruczniku — z trudem ze spieczonej gardzieli i spękanych, zeschniętych warg wydobywają się słowa któregoś z kaprali...

— Co wy mówicie?... Nie może być!...

— Granata jak nie wyrznie pod nim, to aż całkiem w dymie zniknął — dodaje jakiś inny żołnierz.

— Pod samemi nogami wybuchł podchorążemu...

— Psiakrew, psiakrew.. klnę, nie mogąc nic innego z ciebie wydobyć, jak tylko wściekle przekleństwa — a to się chłopakowi dostało!...

— Oj, tam strasznie bili, panie poruczniku; jużemy myśleli, że ani jeden z nas nie wyjdzie...

— Granatami to tak walili, że strach, a z karabinów maszynowych to kulki jeno: cyk, cyk, cyk... tak siupały w błoto, jakieśmy dopadli do baraków...

— Djabli nadali z tą pancerką — klnać ciągle martwię się Grzybem. — I nie został tam nikt przy nim — zwracam się do świadków jego prawdopodobnej śmierci...

— Ale!... my biegli dalej, bo tak przecież bili w tych, co zostawali, że strach...

— Pewnie, ino ten dobrze zrobił, kto nogi wyciągał, a leciał naprzód...

Tymczasem zbiera się reszta kompanji. Ściągają chłopcy ze wszystkich stron z krzaków, mokrych łąk i bajorów, gdyż w biegu tyraljery na tor i na pancerkę rozrzuciła się kompanja na ogromną przestrzeń.

W pewnej chwili, gdym odliczał sekcję, chcąc jak najprędzej uporządkować kompanję — znów mię „zatkało"... Zatkało dosłownie, bo oto z poza zakrętu drogi wynurza się z niskich krzaków blado-żółty, ledwie nogami włączący.. nie kto inny, jeno cały i żywy — Grzyb!!!

— Józek, rany Boskie! rzucam się na niego jak zwierz.

— Ze spieczonych, zeschłych warg Józka zaczynają wydobywać się jakieś „obolałe" słowa.

— A pierony... Mało brakowało żeby mnie całkiem rozniosło! —

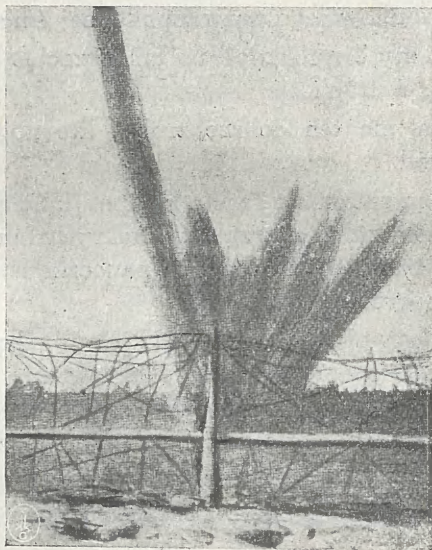
— Gadaj no, jak się to stało — wołam i obmacuję go na wszystkie strony i boki, utytłane w piachu i ziemi, patrząc, czy faktycznie ma zdrowe i całe gnaty.

— Wyobraź sobie — mówi Grzyb zbolalym głosem — że pod samymi nogami wyrznął mi granat. Nie wiem, co i jak — dość, że mię całkiem ogłuszyło, przewróciło, potłukło, osypało!...

— Aleś cały to grunt!

— Czekaj, opowiem ci jak to było, bo to poprostu nie-bywały fakt — jęczy Grzyb...

— Gadaaj, gadaaj...



Granat pancerki rosyjskiej.

— Ano, leżę — o Bożym świecie nie wiem. Po chwili otwieram jedno oko, drugie, ale się boję ruszyć, żeby nie zobaczyć jakiej naderwanej ręki, nogi lub innej głowy. Wszystko mię boli, roztrzęsiony jestem zupełnie i po kilku dobrych minutach powoli zaczynam przychodzić do przytomności... Unoszę głowę i widzę was, jak gnacie naprzód,

jak rzną w linję granaty. To mi dodało otuchy. Aha — myślę sobie — żyję! Lecz niebardzo temu wierząc, zaczy nam sprawdzać. Ruszam prawą nogą — całą. Ruszam lewą — też się jakoś trzyma! Z kikutami dobrze — kombinuję. Ręce podrapane, ale wiszą. Macam głowę — maciejówka jest — wszystko w porządku! Zdecydowałem się wobec tego podnieść i wypróbować funkcjonowanie moich gnatów.

— No i jakoś się podniosłeś — wołam już całkiem w dobrym humorze, tem bardziej, że Józek się ożywił i nawet zaczyna już z odpowiednim ferworem i zacięciem odpowiadać.

— Postawiłem się z pomocą Boską na nogi, pogratulowałem swojej własnej duszy i mówię: Józiu, jesteś żywy i cały — pomódl się! I powlokłem się za wami... — kończy, sycząc od czasu do czasu, gdy go jakaś kość zaboli bardziej.

— Ale wyglądasz morowo, jakby cię z grobu wyjęto!

— O, szczęście to ma pan podchorąży—dziwią się żołnierze; — myśmy myśleli, że i śladu nie będzie po panu podchorążym!

— Patrzaj, co mi z manierką zrobiło — mówi z „grobu wyjęty“, pokazując metalową manierkę, którą miał przytroczoną do pasa; — całkiem od spodu rozwalilo!..

Oglądamy ją z zaciekawieniem. Błyszcząca zielona emalja pozbijana docna. Manierka rozłupana odłamkiem granatu; ślad wskazuje najwyraźniej, iż uderzenie ostrej drzazgi granatu poszło od dołu ku górze.

— Faktycznie, rzadki wypadek — dziwiąc się, oglądamy na wszystkie strony manierkę, która już poszła w „kurs“ między kompanję, rozdzielając gęby zdumionym rekrutom.

Grzyb, tymczasem dorwał się do mojej manierki i wypróżnił ją docna z herbaty. Parsknął, jakby się co najmniej dobrej śliwownicy napił, wytarł twarz chusteczką i przeciągnął potłuczone kości.

— No, jakoś się już lepiej czuję; jutro będę zdrow jak koń!

— Będziesz zdrow, na pewno będziesz, — chyba, żebyś „kopytka” wyciągnął i zameldował się Bozi — pocieszam go i zabieram się ostatecznie do zbiórki oddziału. Narazie zupełnie się nie orjentuję, jakie są straty w kompanji. Wedle bezładnych opowiadań żołnierzy powinny być dość duże, lecz niebardzo się tem przejmuję, wiedząc, że w rozgorączkowanej imaginacji rekruckiej każdy, który upadł, to trup albo ciężko ranny. A iluż to padało podczas biegu dla odsapnięcia lub poprostu dlatego że nieco w tyle wydawało się im bezpieczniej.

Tymczasem maszeruję na dworzec, gdzie zapewne, jako w centralnym, najważniejszym punkcie ataku, zbiorą się i pozostałe kompanje.

Pchnąłem patrol naprzód, a z resztą kompanji idę przez wysoki sosnowy las, z poza którego czerwienią się budynki stacyjne.

W SOŁACH.

Stacja Soły, jako pierwszy przystanek kolejowy przed Smorgoniami, oddalony od nich o 10 zaledwie kilometrów, była przez trzy prawie lata olbrzymim składem prowiantowym i amunicyjnym kilku dywizyj lub może nawet całej armji niemieckiej, zajmującej linię frontu od Smorgoń po jezioro Narocz. To też maleńka i nieznaczna zupełnie przed wojną stacyjka zmieniła się przez te trzy lata w ogromne miasto baraków, składów, urzędzeń, rozlicznych stacyj wąskotorowych kolejek podjazdowych, olbrzymich zapasów amunicyjnych i prowiantowych, słowem, w potężną „bazę” amunicyjno-prowiantową całej armji.

Rozległy teren naokoło stacji w promieniu kilku kilometrów został dosłownie przewrócony do góry nogami. Na wszystkie strony rozbiegające się szerokie drogi niemieckie, poukładane równo z najwspanialszych sosen i jodeł litewskich, ziemia zewsząd skopana i zryta nasypami niezliczonych linii torów kolejek podjazdowych, podwożących ongi do okopów niemieckich dzień i noc amunicję, prowiant i żywe rezerwy. W młodych lasach sosnowych poukrywane przed bystrym wzrokiem lotników, czają się w gęstwinie zieleni liczne baraki ze składami amunicji karabinowej i artyleryjskiej. Gdzie się trafił nieco wyższy teren, nieco piasku i suchego igliwia sosen, tam poryto głębokie jamy — schrony, pozabezpieczane stalowymi szynami, potężnymi pniami dębów litewskich, żelazem i wytrzymałym na siłę wybuchu bomb

— szarym betonem. W jamach tych i schronach, w jasnych żółtych skrzyniach, w szczelnie pozbijanych pakach — ukrywane, leżą spokojnie tysiące kilo dynamitu i ekrazytu.

Wśród tych rozlicznych zabudowań, szop i baraków, budynków różnej wielkości, poobijanych czarną, smołowcową papą, wśród których ongi kipiał ruch uwijających się setek żołnierzy niemieckich — panowała teraz zupełna, głęboka cisza...

Na rampie, przy rozjeździe kilku dróg i torów kolejowych, wśród czerwonych domków stacyjnych leżeli pokodem w słońcu żołnierze. To kompanje, które po zajęciu miasta wpadły na dworzec. Patrole posłane wprzód — reszta zmordowana odpoczywała po całonocnym marszu i bitwie.

Maszeruje tam z 9-tą kompanją. Oparci o przydrożny „szlaban“, siedzą i stoją oficerowie 12-ej kompanji, która pierwsza przeleciała miasto i wpadła za bolszewikami na stację. Jest Chilewski, Drotlew, Jurek Wądołkowski¹⁾, Heilman²⁾) — wszyscy docna pomordowani, spoceni, brudni i pokryci kurzem, zajadają wspólnie jakiś bochenek suchego chleba i, popijając kawą, przysłuchują się żywym opowiadaniom kilku urzędników kolejowych, którzy powyłazili już z różnych dziur.

Krótkie powitanie i, jak zwykle, obgadywanie wrażeń bitwy. Zapakowawszy kompanję do jakiegoś lasku, by odpoczęła w cieniu drzew, przerywając od czasu do czasu swemi uwagami — słucham o przygodzie z pancerką Drotlewa, który, zaciągając po lwowsku, z różnemi wyginaniami, z żywą i nader pocieszną gestykulacją, z całym repertuarem „technicznych“ wyrażań, absolutnie i pod żadnym względem do druku się nie nadających, rozpowiada o swo-

¹⁾ Obecnie mjr. dypl.

²⁾ Obecnie kpt. piech.

jej przygodzie z pancerką, która nam dzisiaj takie... t. j., delikatnie mówiąc, taką szkołę dała.

Czego w tem opowiadaniu niema! I urwisowski śmiech z nabrania i „wykiwania” pancerki, i wściekłość, że jej ruszyć nie można było, i strach o kompanję, której faktycznie dać mogła po skórze, słowem — wszystkie odcienie złożonej i skomplikowanej psychologii starego żołnierza, który patrzy na wymykającą się zdobycz, jak kot na słoninę za szybą.

— Maszeruję z plutonem wzdłuż toru — mówi Drotlew. — Walę na Soły, patrole posłałem wprzód, sam z resztą sunę popod nasypem. Aż oto w pewnej chwili przylatuje rekrut, zielony i niebieski z przerażenia.

— Panie poruczniku, ola Boga, — pancerka idzie!

— Gdzie? — wołam i wskakuję na nasyp.

— A dyć, granatę puścili, panie poruczniku — woła rozpaczliwie mój morowiec i gwałtem ściąga mnie na dół...

— Idźże, trepie, dziadu sakramencki, nie ciągnij za spodnie. — Gdzie pancerka? — wołam i w tej chwili zeskakuje jeszcze szybciej, bo nagle widzę, jak z poza zakrętu, z małego lasku pyka białym dymkiem „broniewik fiederatywnej republiki”...

W tejże samej chwili przypada skulony, zestrachany patrol. Kombinuję, że źle, boć pancerki nie ugryzę, ani wojować z nią nie będę, więc zcicham, a mocno, wołam na rekrutów, zbaraniałych zupełnie i przełkniętych, przylepionych prawie do nasypu: — Jazda w krzaki — już!...

Jakby w nich najjaśniejszy piorun trafił... Anim się obejrzał, jak moje chłopaki buchnęły w błoto, w wodę, w krzaki jakieś i zarośla, że ani oko, ani ucho...

Skiknąłem też sobie za jakiś jałowczyk i kucnąłem, czekając, jaki z tego będzie wynik i skutek wesoly. Obzierałem się na chłopaczków, żeby się zaś morowo pochowali,

i klnę w duchu, bo nawet granatów nie zdążyliśmy pod tor-
nałożyć, a tymczasem delikatnie zerkam w prawo, jak za-
jąc pod krzakiem przycupnięty, czy już idzie.. Za chwilę,
posapując jak stara baba, zwolna, ostrożnie, wytacza się
z lasu żelazna góra pancerki.

— Wpadłem, jak śliwka w błoto — myślę sobie i przy-
warłem zlekka do ziemi, bo mi się trochę niemiło zrobiło.
Zobaczy, psiakrew, taka suchojewa-pancerka, rozewrze pysk
trajkotać zacznie z maszynek na sto kroków lub wyrznie
kartaczem — i co zrobisz? Dziecka nie zrobisz, żelaza nie
ugryziesz. I złość mnie zaczyna coraz większa ogarniać—
boć taka gratka nieprędko się zdarzy... Żeby ofermę dzie-
sięć minut przedtem zameldowały, nakładłoby się pod pod-
kłady ze 20 granatów styliskowych i możnaby ją zlekka
nadgryźć... A tak, to co? Gały wytrzeszczaj, morowcze,
i wróż se ile jest dwa razy dwa, a ze strachu nie pomył...
Tfu — do diabła...

Rozeźlił się chłopak na dobre.

— No i co — dęba zrobiła, gadajże!

— Wyjechała dziewczica, uważasz, z lasu, stanęła se po-
pod sosenkami — i nic. Czekam — może podejdzie trochę
bliżej, chciałbym też jakiego „towariszcza“ zbliska na
wolności bujającego dojrzeć — ale gdzie tam! Nie starali
się kuzynkowie Trockiego podjechać bliżej, gdyż czuli
pewnie pismo nosem i naszą atylerję. Postali postali, je-
den nawet wlażł se na wierzch i oglądał wierzby, a potem
leciuchno, wolniutko... pych, pych... i zpowrotem do Sól.

— No, mój kochany, chwal Pana Boga, żeś na su-
cho wyszedł, bo ci łażnię mogła sprawić jeszcze gorzej niż
mnie — i opowiadam o swoich awanturach z pancerką.

— Ależ jej absolutnie nic zrobić nie można — wtrą-
cają się inni oficerowie. Na piechotę sobie gwizdże, ma-
sakry jeszcze narobi, ludzi natłucze i pojedzie. Tu tylko
dobra atylerja coś może zrobić...

— No, taka pewna siebie, to ona znów być nie może — łatwo ją można nakryć, wysadziwszy tylko tor ztyłu...

— W tem właśnie cała sztuka!.. Wysadzić tor, wysadzić tor... Mamy ułanów, jeżdżą se na kobyłach, coś tego niby robią, na pancerkę się z pudem ekrazytu zasadzają, a ona, jak jeździła, tak jeździ...

— No, wkońcu wpadnie.

Rozmowa toczy się ogólna. Na jedno się wszyscy zgadzają, że lepiej ją omijać.

Tymczasem ruch na rozjeździe powiększa się z każdą chwilą. Nadjeżdża dowódca bataljonu z 3-go pułku, co chwila wpadają i kręcą się na zgnanych, pomordowanych koniach ułani, a wszyscy szukają Bortnowskiego, który stanął gdzieś z kompanją Liwacza.

Rozkazów jeszcze narazie niema żadnych; wiem że patrole poszły, więc, pchnąwszy gońca po kuchni z obiedem, szukam jakiego miejsca, gdzieby się można kropnąć i dobrze wyspać. Nie czytam nawet najświeższych „Młotów” i „Zwiedz” bolszewickich, któremi wszędzie wiatr się bawi, lecz rozkładam płaszcz na trawie i za chwilę śpię jak zarznięty.

Obudził mię ordynans po dobrych kilku godzinach, o jakieś 4 po południu, stając nade mną z herbatą i pełną menażką ryżu.

— Panie poruczniku — obiad!..

— Aha — to ty Staszek! Dobrze — porucznik Młodkowski wrócił?

— Nie jeszcze, kuchnia tylko przyjechała...

Zjadam ryż ze słoninką, trochę za tłusty jak na ten dzisiejszy upalny dzień, i wlokę się do kompanji, która o jakieś dwieście kroków rozłożyła się w małym lasku. Dopiero teraz, po trzech czy czterech godzinach snu — czuję bitwę. Kości mię bołą, jakby mi je kto kołem połamał, nogi

aż uginają się ze zmęczenia, każdy krok wywołuje ból pościeranych w bieganiu nóg. Buty, wymoczone na łąkach i bagnach, stwardniały przez te kilka godzin na kamień, wszędzie czują piach i kurz: w rękawach, butach, spodniach, za koszulą, pod maciejówką...

Dowlokłem się wreszcie do kompanji, która, skupiona w lasku, zajada się ryżem. Za chwilę przynosi mi łącznik rozkazy od Bortnowskiego i jednocześnie prawie nadchodzi Tadek Młodkowski. Okazało się, że zalecał z częścią ludzi bardziej na prawo i tam czekał na mnie, aż się dowiedział od idących wprzód patroli, że wszystko jest na stacji.



W Sołach. Stoją od lewej strony: podporucznicy: Drotlew, Szczepkowski, Lipiński, Bujwidówna, Krzyżanowski, kpt. Bortnowski, por. Chlewicki i ppor. Staub.

W rozkazie od Bortnowskiego „stoi”, że mamy ubezpieczyć od południa Soły, w różnych punktach. Szukając tych punktów na mapie, jednocześnie szukamy oczyma jakiejś dla nas kwatery. Wybór padł na domek kolejowy, gdzie mieszkają jacyś całkiem znośni cywile.

Wartość miłej, jasnej kwatery z czysto zasłanem łóżkiem i miękkimi poduszkami, z „cywilnemi” obiadami i śniadankami ocenia się dopiero wówczas, gdy po tygodniowych marszach i włóczęgach, raz po raz przeplatanych bitwami, po całodzienniej walce, gdy się poprostu człek zwala z nóg ze zmęczenia — znajdzie się czystą, jasną kwaterę, z „cywilizowanemi” urządzeniami, z miłą gospo- sią, kolorową lampą i białą kawą.

Z prawdziwie duchową rozkoszą rozłożyliśmy się we czwórkę na białych prześcieradłach łóżek, po kołdunach i miodzie, po świetnej litewskiej kolacji, przyrządzonej przez gospodynię, żonę urzędnika kolejowego — miłą, usłużną kobiecinę — i wyciągając rozkosznie pomordowane kości, rozgadujemy się o bitwie, chłopcach, Polsce i Komendancie, o tej naszej litewskiej wojnie i radosnej ofensywie, o wyzwalaniu tego kraju, w którym już zdawien- dawna słuch o polskim żołnierzu wraz z grudami na mogi- ły sypanemi zapadł głęboko w ziemię.

Po bieganinie wśród trzasku i huku ognia, po naprę- żeniu nerwów i wysiłku woli, po różnorodnych emocjach walki, po niesłychanym wysiłku fizycznym, po kurzu i za- morusaniu potem bitewnym — jakże rozkoszne ogarnia uczucie, gdy po wymyciu się doczysta pograć się można w świeżą biel poduszek i, nasłuchując z poza otwartych szeroko okien wieczornej pieśni słowiczej — snuć opowia- dania i pogwarkę o tem, co się przed chwilą stało, co teraz w oczach naszych się przewija, a co przez lat tyle marze- niem tylko i zda się niedościgłym nigdy snem było..

Spokój, rozkoszne poczucie dobrze spełnionego obo- wiązku, zadowolenie, że wyszło się cało z pod kul, że się raz jeszcze wykpiło „ciotusze śmierci” — spotęgowało jeszcze poczucie zupełnego bezpieczeństwa ze strony bolszewików...

Albowiem nietylko patrol kawaleryjskie, ściągające pod wieczór z wywiadów, przyniosły wiadomości o cofnię-

ciu się bolszewików aż poza Smorgonie, lecz i cywile napływający stamtąd, ciekawie „do Polski” zdążający, przynoszą coraz to weselsze wiadomości o przerażonych krasnoarmiejcach, którzy aż na Zalesie poza Smorgonie się wycofali, burząc za sobą mosty kolejowe.

Późna już była noc, wysoko stał księżyc na gwiezd-
nem niebie, jasną poświatą przesyciwszy mrok wieczorny,
gdy — pomordowani walką i znużeni — posnęliśmy.

Wielki słoneczny blask wiosennego dnia zbudził nas na-
zajutrz. Najradośniejsze dzwonne powitanie skowronków
wpadało, wraz ze świeżemi zapachami łąk i litewskich borów
przez otwarte okna. Ogarnęła nas ta warjacka prawdziwie
radość życia i słońca, radość wiosennego dnia, gdyśmy po
przetarciu powiek poduszkami na się rzucić poczęli, jak za
najszcześniejszych, niefrasobliwych lat dziecinnych...

Noc przeszła spokojnie. Ani jeden strzał nie zmacił
głuchej nocnej ciszy, chórem żabim z łąk i jezior rozedrga-
nej, ani razu nie przedarł mroku ostry błysk alarmowego
wyszczału wedety...

Gdzieś tam tylko na północy z grupy Tokarzewskie-
go i Dęba-Biernackiego błyski armatnie gadały po niebie
o wojnie, lub z południa od Oszmiany, od oddziałów Roji
szedł pomruk dział, jakby odgłosy przechodzącej stronami
burzy...

Oficer służbowy kompanji, którego nieszczęście kolej-
ki służbowej dotknęło w tę cichą noc, zdając następemu
służbę, użala się na rekrutów, których zmęczenie walką
i cicha noc tak zmorzyły, że na wedetach co chwila kiwa-
li się sentymentalnie nad bagnetami i niewinnie zasypiali.
aż „służbowiec” musiał noc całą tłuc się między posterun-
kami i straszyć rzekomo zbliżającymi się bolszewikami,
by zegnać posterunkom sen z powiek...

Kompanja, również jak i my szczęśliwa, wypoczęta
i wysypana — obżera się poprostu rozlicznemi „fasunkami”.

które już dogoniły nas i zatkały żołnierzom gęby słodkimi konserwami pani Wilsonowej.

Dzień gorący, upalny, jak wczorajszy — bezwietrzny i cichy. Wokół baraków porozkładana wiara wyleguje się na słońcu bez koszul, które wyprane bielą się na zielonej, wysokiej trawie.

Prawdopodobnie ze dwa dni tutaj posiedzimy, by, nabrawszy nowych sił i temperamentu, ruszyć na Smorgonie, tem bardziej, że krasnoarmiejcy są mocno speszeni ostatnimi naszymi atakami, które im napędziły takiego strachu, że nieprędko z niego ochłoną.

Smorgonie — to ponoć miasto ruin i śmierci, lecz ciągnie się tam stara linja okopów niemieckich, które prawdopodobnie na dłuższy czas zajmiemy, by znów ruszyć naprzód, ku dalekiej, północnej Dźwinie.

WSRÓD RUIN SMORGONŃ.

Po dwudniowym odpoczynku w Sołach przyszedł spodziewany zresztą rozkaz marszu na Smorgonie i zajęcia linii okopów niemieckich, które potężną masą drutów, drzewa, żelaza i betonu dadzą nam doskonałe oparcie przy obronie i, ewentualnie, przy wypadzie.

Dziwiątego maja wczesnym rankiem zebrały się kompanie przy zbiegu dróg i toru, tuż pod naszą kwaterą. Ze śpiewem i chrzęstem, głośno i wesoło ściągają poszczególne oddziały z miasteczka i wsi okolicznych.

Od Sól ku linii frontu prowadzą liczne szerokie drogi, powykładane drzewem. Na mapie przedwojennej mamy zaznaczony tylko jeden trakt wileńsko-smorgoński, który hen na Mołodeczno i Mińsk prowadzi, lecz w terenie, gdziekolwiek okiem rzucimy, wiją się splątane dziesiątki dróg dojazdowych, doskonale jeszcze zachowanych. Na jednej z tych dróg wyciąga się długa kolumna, dwa bataljony piechoty, artylerja i tabory...

Mimo wczesnego dnia, maszerujemy w spiekocie słońca i tumanach suchego pyłu, okrywającego całą kolumnę szarą warstwą spylonego piachu. Kompanie rozciągnęły się długim wężem, by zmniejszyć choć trochę żarcie piachu i duszący w promieniach słońca kurz.

Maszerowaliśmy ku Smorgoniom kilka godzin. Okolica — im bardziej zbliżamy się do starego frontu, zaczyna

przybierać charakter coraz bardziej pustynny. Na całej drodze ku Smorgoniom przemaszerowaliśmy zaledwie przez kilka wsi, których ludność wita nas z nadzwyczajną sympatją i życzliwością.

Niejednemu legunowi, który tu zawędrował gdzieś z pod Sanoka czy innego Żywca, oczy się szeroko otwierają, gdy słyszy naokół polską mowę.

A rozbrzmiewa tutaj ona radośnie z każdej izby, z każdej chałupy wiejskiej, mimo, iż z każdym kilometrem coraz bardziej od rdzennej Polski się oddalamy. Jak w nieprawdopodobnych nowelkach literackich, wpadającym do wsi ułanom przypinają dziewczęta kwiaty do szarych bluz.

Wszędzie nas wita ludność polska. Przeciągają chłopci, w płótniaki poprzybierani; w domu rozmawiają nieco z litewska lub po białorusku — lecz w każdej chacie znajdziesz elementarze polskie, polskie książki do modlitwy i zauważysz w rozmowach silne poczucie polskości.

Maszerujemy więc naprzód z pieśnią radości w duszy a każdy kilometr naszego marszu na wschód przynosi nam całą masę świeżych, radosnych wrażeń, moc charakterystycznych spostrzeżeń. Po przykrych, niemiłych wrażeniach frontu lwowskiego, gdzie z każdej ruskiej chałupy czyhały złe oczy, a z za węgła wysuwała się lufa karabina, po dzikim, fanatycznym oporze ukraińskim — wojna litewska zdaje się rajem. Zaledwie pokaże się nasz patrol kawaleryjski, lub wysunie się z lasu szpica szarej piechoty — już gdzieś z za pagórka, z za krzaków, z ogrodów biegnie rozpromieniona dziewczyna lub w susach przypada chłopak z wiadomościami o bolszewikach: tyle a tyle jest ich w tej wsi, tyle w drugiej — i boją się „legjonów“ okropnie...

Lub trzęsącą się ręką pokazuje jakaś starowina, skąd najlepiej „ich“ zejść, — lub, skradając się, prowadzi patrol po dołach i krzakach obszarpany wyrostek wiejski...

I tak wieś po wsi, miasteczko po miasteczku wpadają od tygodnia w nasze ręce. Zdemoralizowani „krasnoarmiejcy” wpadają w rozpacz. Gdziekolwiek się zatrzymają i ustawią „pulemioty”, już „legjoniery” ztyłu „obchodiat”.

I to „wojewanie rozumem” doprowadza ich do takiej rozpacz i demoralizacji, że wystarczy patrol z kilku ludzi złożony, jedna serja ognia z karabina maszynowego, skierowana w chałupy, by wieś ucichła a „krasnoarmiejcy” co tchu wyrrywali bez butów w las...

W takich warunkach, gdzie nieprzyjaciela bije się szybko i łatwo, gdzie ludność z radością i łzami wzruszenia przyjmuje nas w każdej wsi, widzimy, jak nasz młody żołnierz coraz lepiej wczuwa się w tę wojnę i coraz bardziej się do niej zapala.

Rekrut — niedawno wzięty ze wsi z Lubelskiego czy Łomżyńskiego — zaczyna pojmować bieg spraw. Zajmując wieś po wsi, tak polskie nieomal, jak nad Bugiem czy Pilićką a znękane niemiecką gospodarką i bolszewickim terorem — odczuwa żywiej i głębiej swoją rolę. Odczuwa tem żywiej, że widzi, w jakich warunkach ta ludność tutaj żyła, rozumie — gdyż przemawiają do niego w śpiewnym, polskim języku wyniszczone, blade postacie, tedy prostą swą, chłopską duszą reaguje żywo na grozę nieszczęścia, które tę ziemię od tylu lat targła do głębi.

Jedna jest tylko przykra strona tutejszych wrażeń, bolesnym skurczem serca obejmująca: głód!... Gdziekolwiek wejdziemy, wita nas łza radości, lecz łza ta stacza się z pobladłej z wyniszczenia twarzy. O takiej nędzy nikt z nas nigdy nie miał wprost pojęcia. Sambym nie uwierzył, gdybym na własne oczy tego nie widział. Dość powiedzieć, że cała prawie ludność w tych stronach, przez które przechodzimy, żywi się gotowaną pokrzywą. Co krok spotykamy cienie

ludzkie, zbierające na pożywienie pokrzywę i trawę. Kraj tak niesłychanie zniszczony, że żadne opisy nagiej prawdy nie oddadzą, nie wypowiedzą.

Podczas marszu przyniesiono mi z jednej chałupy kawałek chleba; czegoś podobnego w życiu nie widziałem. Miała ta bezkształtna masa kolor czarnej zbrukanej ziemi, lepkość rozmięklej gliny — a smak... Nie wiem, bo za nicbym tego do ust nie włożył.

Wyniszczyli, wygłodzili te strony Niemcy przez trzy lata okrutnego, bezwzględneho rabunku. Dopełnili miary bolszewicy, to też dzisiaj chłop za uzbierane pieniądze różnego rodzaju, koloru i wymiaru — ruble carskie, dumskie, kierenki, osty i marki — kupuje na zasiew nieco kartofli, a sam się żywi pokrzywą.

Szczególnie okolica bezpośrednio dotykająca biegnącej tu przez trzy lata linii frontu niemiecko-rosyjskiego, do którego się zbliżamy, przedstawia się wprost przerażająco. Smorgonie—podobno, jak mówią chłopci, duże przed wojną i zamożne miasteczko — dzisiaj — kupa gruzów, porośłych trawą i zielskiem. Wsie wzdłuż frontu — istnieją tylko na mapie. Na ich miejscu wiją się, kręcą, rozchodzą się na wszystkie strony nieprzeliczone linje okopów. Druty kolczaste, żelazo, beton, ziemianki z tak potężnych pni zbudowane, że na wieki pozostaną wkopane w ziemię.

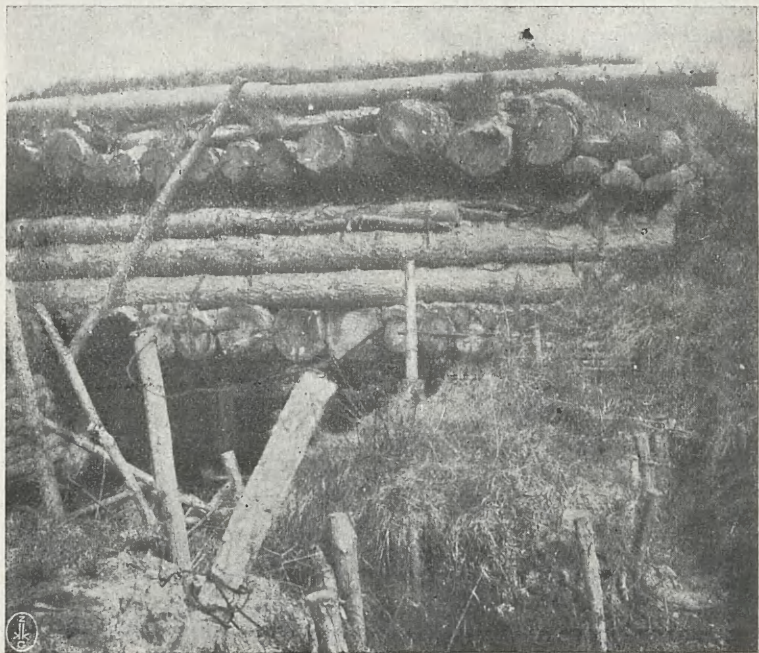
Ogromny, przerażający pas pustyni, zręby rozsypujących się okopów sprawiają wrażenie rozkładającego się, potwornego trupa...

Co chwila kolumna przedzierać się musi poprzez zwalę splełanych drutów, raz po raz zarzucać trzeba deskami, wyrzucaniem z okopów, głębokie rowy wijących się zewsząd drugich, trzecich i czwartych linii obronnych.

Zewsząd, jak okiem sięgnąć, nagi, straszliwie pokaleczony rowami, szeroki pas pustynnej, zrytej granatami zie-

mi, pordzewiałymi pasmami drutów poznaczony w długie, krwawe pasma...

Bataljon zostaje w niewielkim lasku, dziesiątkami żołnierskich grobów poznaczonych, zaś 9 - ta kompanja z Bortnowskim kieruje się ku stacji, by zająć tam pierwszą linię okopów.



Rozsypujące się okopy niemieckie pod Smorgoniami.

Oglądamy ogromne schrony betonowe, tak solidne, że dają się wieki całe przetrzymać, płacemy się wśród istniejącego labiryntu rowów łącznikowych, dobiegowych, ryglów i rezerwowych pozycji. Po przejściu przez zdala odcinający się rdzawo-brunatnym pasem teren kolczastych dru-

tów, dochodzimy w kilku do miasta, pozostawiając kompanję na strzeli.

Miasto ruin i śmierci... Pod gęsto porośłemi chwastami, pod krzakami tarniny, dziko rozrosłej, szedł kiedyś uliczny bruk...

Wokół sterczą nagie, czerwone ściany domostw, lub gdzieś zwiesza się żałośnie strzaskany balkon, ledwie, ledwie trzymający się kruchych już cegieł. Zbliżamy się do tragicznie wprost zburzonego kościoła. Wokół pustka... Z domków i sadów, które tu wieńcem dom Boży otaczały, śladu nie zostało. Zdmuchnęły je, jak karciane domki, granaty, których ślady w postaci potwornych, głębokich lejów pozostały naokół.

Resztek białych, nagich murów czepia się napastliwy chwast... Cały front kościoła, zwalony jednym wyrżnięciem granatu, rozsypał się na tatrzański piarg. Naokół szczątki murów, porozrzucane potwornym tchem wybuchów.

Tymczasem, gdy w milczeniu błakaliśmy się po równinach Smorgoń — bataljon 3-go pułku natknął się już widocznie na bolszewików, gdyż zaczyna dochodzić stamtąd gęsta, nieregularna strzelanina. Wracamy natychmiast na stację.

NA LINJI NIEMIECKICH OKOPÓW.

Nad głowami jarzy się gorące, parne południe. Blask słoneczny razi i kłuje w oczy, wokoło pustka i cisza. Szeroki pas okopów i rdzawych drutów jest tak martwy i spopielały w tej ciszy skwarne go południa, iż sprawia wrażenie wygasłych dawno pogorzelisk. Sterczące zewsząd pale, koły, tysiące poskręcanych zwojów drutu, poryta granatami ziemia — mimo jasnych blasków słońca — wdziera się do duszy przykrem, ciężkiem poczuciem głuchej śmierci, panującej na temi, pełnemi ongi życia linjami okopów...

Ledwośmy do kampanji wrócili, patrol, wysłany wprzód nad rzeczkę Oksnę, przylatuje z meldunkiem, że z pasma lasu nad stacją Zalesiem wysuwa się rosyjska pancierka. Natychmiast zganiamy kompanję do okopów, a sami wskazujemy na wysoki dach betonowego schronu i przeglądamy lornetami jasny rzut szyn kolejowych, migotliwie błyszczących w słońcu.

Na dalekiem, ciemnem tle granatowej smugi lasu rozwija się biały ścieg dymku z komina złowrogiej pancierki. Sunie szybko pełną parą wprost ku nam, pewna, że nas zaskoczy w polu.

Sierzanci, wysłani na patrol na brzeg Oksny, klną, gdyż nie zdążyli wysadzić mostku na rzece. Jasną jest rzeczą, że pancierka rżnie wprost ku nam, aby wziąć nas pod ogień swoich ośmiu maszynek i sześciu dział...

Rozrzuciliśmy ludzi w głębokich okopach i czekamy z zapartym tchem.

Kompanja, ukryta w głębokich, porośłych zieliskiem i trawą okopach, płacze się i gubi wśród istnego labiryntu osypujących się, niepewnych każdego stąpienia kładek, osłon, pali, których nie spaja już pordzewiały drut — wreszcie zgromadziła się w kilku „pochylonych wiekiem” linjach i „podekowała”.

Chłopcy, którzy pod Sołami zasmakowali „broniewika”, bynajmniej nie mają zamiaru drugi raz dostać się pod tak bliski ogień bezczelnej pancerki i starają się nie dawać o sobie najmniejszego znaku życia.

Pakujemy się w trójkę na jakiś osypujący się dach schronu i, poukrywani nieco w deskach i porozrzucanych palikach oraz w wysokiej, bujnej trawie — szykujemy szkła.

Po kilku minutach mogliśmy już rozróżnić przez lornety imponujące, masywne ściany pancerki. Potężne, ostro pościnane blachy żółto-ziemistego koloru, z płaskookrągłym czopem obserwatora, z metalowemi szyjami armat, chciwie wyglądającemi na świat, z jej groźną nieustępliwością wobec piechoty — sprawiają na nas dość silne wrażenie.

Po chwili przyglęliśmy się jeszcze bardziej do ziemi, gdyż w powiększeniu szkielec lornet polowych — pancerka zdawała się tuż... tuż nad nami, jakby za chwilkę miała swem potwornem, żelaznem cielskiem pomiażdżyć nam głowy.

Odejmuje lornetę. Moi sąsiedzi mają namarszczone, skupione twarze, na których maluje się głucha, bezsilna wściekłość... Któryś z nich mamrocze o tej „pieskiej” naszej artylerji, której nigdy niema tam, gdzie potrzeba, jako że piechota ma zawsze i wszędzie pretensję do innych rodzajów broni.

Tymczasem pancerka, stanęła w odległości około 300 kroków od nas. Najdokładniej możemy ją obserwować nawet

bez pomocy szkieł. Leżymy tak — milcząc i gryząc wargi — bezsilni i dość zemocjonowani, gdy nagle zboku żółto-szarej stalowej ściany dmuchnęło jasnym płomieniem działo i runął pierwszy przeraźliwy huk...

W rozgrzanej, parnej atmosferze gorącego południa widać było w moment po błysku nerwowe drganie fal powietrza.

W chwilę po pierwszym błysku — następny spadeł łoskotem gromu i spostrzegliśmy jak w lewo, na tle czerwonych murów smorgońskich ruin wykwitły wysokie, czarne słupy ziemi, wyrzuconej siłą ekrazytowych granatów...

To piechotę bataljonu 3-go pułku, która kręciła się między ruinami, wzięła pancierka pod swój bliski ogień...¹⁾

Nas widocznie nie dostrzegła i stanęła o kilkaset kroków, obawiając się widocznie ewentualnych min przy stacji smorgońskiej, obok której przewijają się linie starych okopów.

W pewnej chwili, któryś z oficerów wydał okrzyk ni to radości, ni to gwałtownego zdziwienia.

— Oho, jest... jest...

Posypały się ściszone, gwałtowne pytania.

— Co takiego... gdzie?...

— Na pancerce... bolszewik — ze ściśniętych warg wydobywa się odpowiedź...

Wpijamy się wzrokiem w żelaznego smoka, łyskającego raz po raz żółtym ogniem.

Na tylnej części pierwszego góro-wozu kręci się w jasno-zielonej bluzie towarzysz-bolszewik. Rozkraczony stanął na stalowej płycie i wypatruje Smorgonie. Obok wy-

¹⁾ Jak się później okazało, załoga rosyjskiego pociągu pancernego ujrzała przy torze wóz z taboru naszego bataljonu. Wóz ten, zapełniony bagażami oficerskimi, zmylił drogę, wyjechał poza Smorgonie wskutek czego stał się łupem pancernego pociągu.

sunał się zaraz drugi i, siedząc na kawędzi żelaznej — gestykuluje.

Ręka ściska kurczowo steyer — oczy, jak sępie śle-
pia, wpijają się w ten niezawodny cel. Po głowie huczą i je-
żą się myśli mściwe i mordercze...



Oficerowie i podoficerowie 9 komp. 5 p. p. leg. przy betonowym
schronie w Smorgoniach. Stoją od lewej strony: podchorążowie: Pa-
cholski, Wolski, Plackowski, ppor. Lipiński, podchor. Neumark,
Grzyb i sierż. Kuczkowski.

Jeżeli go ściągnąć z tej żelaznej blachy — pancierka
zarzuci nas w tych pogruchotanych okopach swym ogniem
i potracić możemy ludzi w kompanji... Z drugiej stony — po-
zwolić mu zejść spokojnie i kierować działa na 3-ci
pułk???...

Widzę w tej chwili, jak Pacholski gwałtownie a ci-
chemi ruchami przywołuje do siebie pierwszego z brzegu
żołnierza.. Widzę — i nie mam siły go powstrzymać —
jak zbiera się w sobie i składa do strzału z zabranego

żołnierzowi karabina. Rzucone za ostrym lotem kuli — skupione, pewne oko i palec lekko, leciuchno naciskający cyngiel...

Chłonę oczyma pancerkę. Przez szkła, gwałtownie wciśnięte w oczodoły — wżeram się w jasno-zieloną postać, tak lekkomyślnie i samobójczo stojącą na linii muszki, normalnego celownika i ocznej gałki złowrogiego strzelca...

Osypał się w pewnej chwili piach z popod ramion i trzasnął zgłuszonym hukiem manlicher. Sekunda nie minęła, jak obaj z pancerki runęli w dół.. Jeden z nich dostał...

Na ustach strzelca przewija się lekki, zwycięski uśmiech. Nie mówię nic, choć pewien jestem, że za chwilę dostaniemy za swoje.

Na pancerce ścichły na moment działa. Widzimy, jak przesuwają się szyje stalowych dział i prawie czujemy na sobie gorący dech jasno-żółtych płomieni...

Za chwilę pierwszy i drugi grom rozwalił senną ciszę południa. Rozjęczały się ostre odłamki i czarny, gęsty dym zwijać się zaczął po okopach...

Granaty poczęły bić jeden po drugim. Wylatywały w powietrze siłą wybuchu targane szalowania okopów i postrzępione zwoje drutów. Raz wraz wyrżnie granat i niszczącą siłą ekrazytu weźre się w twardy beton lub zmiecie szeroki wykoszlawiony przez czas — trawers okopowy.

Chłopcy zaczynają się zbierać przy wejściach do granatników i znikać w co głębszych ziemiankach, krytych litewskim dębem.

A rozwścieczone działa pancerki biły raz po raz z głuchą pasją, ze wściekłym błyskiem żółtych płomieni, kłębami czarnego dymu spowijając nasze okopy.

W pewnej chwili usłyszeliśmy długie chybotliwe poświsty pocisków i ujrzeliśmy dwa słupy ziemi wzbijające się obok pancerki.

Na pewną chwilę działa „broniewika” umilkły. Lecz już po jakiejś półminutowej przerwie rozjęczały się nowe odłamki i łoskot przeraźliwy runął w las...

Tymczasem nasza baterja, która snąć już zdążyła zająć pozycję — wyrzuciła nową serję granatów. Padły już bliżej panczerki, okurzając ją szarym swym dymem i zasłaniając przed naszymi oczyma.



Naczelny Wódz wśród ruin Smorgoni ¹⁾

W tym momencie z niekłamaną radością ujrzeliśmy kontrparę, z sykiem wydobywającą się z pod opancerzowanej lokomotywy — i panczerka, zrazu powoli — następnie

¹⁾ Zdjęcie to zostało wykonane we wrześniu 1919-go roku w czasie kilkudniowego przydziału autora do świty Wodza Naczelnego, jadącego z Wilna przez Smorgonie do zdobytego Mińska.

coraz szybciej i gorączkowiej sapiąc, poczęła się cofać wtył.

Nie zrezygnowała jednak z ognia i, nie chcąc się zdradzać żółtym płomieniem działowych strzałów — siać poczęła naostatek z kilku swych karabinów maszynowych.



Naczelny Wódz wśród ruin Smorgoni.

Lecz nowe, skierowane już na sam tor granaty naszych szczekających zawzięcie polówek — odpychały ją coraz bardziej ku tyłowi — a gdy wreszcie po kilkunastu minutach pełną parą ruszyła ku Zalesiu, wlokąc za sobą długie pasma białego dymu — odetchnęliśmy. Stanęliśmy na okopach, by obserwować „nogującą” pancerkę; chłopcy powyłazili, jak szczury z nor, ze swych ziemianek i granatników — wokół zapanował wesoły gwar roześmianych i rozgwarzonych głosów żołnierskich.

Strat na szczęście niema żadnych. Granaty tłukły po okopach, lecz nie mogły odnaleźć celu w tym labiryncie porujnowanych dziur, rowów łącznikowych, dobiegowych, pierwszych, drugich i trzecich pozycji, tem bardziej, że chłopcy poukrywali się w liczne, na kilka metrów głębokie schrony, które niejeden jeszcze ciężki granat z powodzeniem przetrzymałyby.

Po pewnej chwili dostaje rozkaz od kapitana Bortnowskiego, przyniesiony przez czerwonego od upału lekarza bataljonowego, dr. Borkowskiego by zająć okopy od traktu smorgońskiego po las na prawo, za którym usadawia się kompanja 11-ta.

Sądząc z rozkazu, zostaniemy tutaj nieco dłużej, gdyż, idąc naprzód, zbyt dalekobyśmy się zapędzili. W przeciągu tygodnia odwalić taki szmat ziemi od Wilna po Smorgonie—to niezbyt łatwe zadanie. Prawdopodobnie narazie staniemy, aż do wyjaśnienia sytuacji.

Rozpoczęły się więc dni siedzenia w okopach, wystawiania placówek i wedet, oczekiwania na wiadomości i gazety i na codzienną wizytę naszej opiekunki „broniewika fiedieratiwnoj republiki“.

Dzień w dzień bowiem, regularnie między 12 a 1 w południe, wjeżdżała pancierka nawprost mostu przez Oksnę i stamtąd biła na wszystkie strony. To na zwaliska smorgońskie, to na las, gdzie się mieściły rezerwy i dowództwo bataljonu, to na okopy pierwszej linii. Szkód jednak żadnych ni strat nie było — gdyż, zaledwie zdążyła oddać pancierka kilkanaście strzałów, już z szumem i chybotem szorowały pociski naszych połówek i gromki, dźwięczny huk zniewalał ją do natychmiastowego odwrotu.

Ten pojedynek pancierki z baterją trwał przez kilka dni aż do chwili, kiedy tuż pod tor w ruiny smorgońskie zawleczono duże nasze dziewiątki, które niecierpliwie oczekiwały na ukazanie się „broniewika“.

Następnego dnia, jak zwykle w południowej porze, zajeżdżał żelazny smok... Zaledwie jednak zbliżył się ku Oksni — zahuczały dwa działa i granaty zwały się z łoskotem pod sam tor. Pancerka — jak rażona gromem — cofnęła się gwałtownie wtył, podała parę i z najwyższą szybkością pognała ku lasowi...

Goniły ją jeszcze głuche wystrzały dziewiątek — lecz bez skutku...

Od tej chwili mieliśmy spokój. Od czasu do czasu, zdala, z pod Zalesia, z ciemnego pasma boru łyskała pancerka swym żółtym płomieniem i szukała granatami baterji w zwaliskach Smorgoń...

Na nieszczęsne miasto, na strupieszale, obumarłe ściany domostw, na rozpacznie stojące samotne kominy, na kupy gruzów — biły znów granaty, wzbijając krwawy kurz z dartych pociskami cegieł i zwały pozostałe jeszcze gdzie niegdzie mury...

Dziewiątki nasze jednak ostały się całe i nienaruszone...

Dzień po dniu, dość monotonnie, upłynął tydzień, przerywany od czasu do czasu organizowaniem patroli na drugą stronę Oksny, do bolszewickich ziemianek i okopów. Odsunęli się oni od nas na cztery kilometry, tak że kontaktu ogniowego zupełnie nie było i od czasu do czasu wysyłali płochliwe patrole, które, rozrzuciwszy dziesiątki odezów, wracały do siebie.

Odszedł w międzyczasie Tadek Młodkowski, by objąć funkcję referenta oświatowego w dywizji przy gen. Smigłym, żegnany serdecznie przez kompanję.

Całodniowe zajęcia ograniczały się do ciągłych trosk o dokładny dowódz prowjantu, o robienie zapasów na ewentualne dalsze marsze, na naukę o służbie okopowej żołnierza, który po 10-ciodniowej ofensywie, po trzech zaledwie bitwach i po niesłychanie krótkim czasie wyszkolenia, nie-

wielkie miał pojęcie o służbie okopowej, o placówkach, wedetach, patrolach i t. d.

Po nocach tłukliśmy się między drutami i okopami, inspekcjonując posterunki i placówki, odwiedzając po sąsiedzku inne kompanje i marznąc solidnie, bo choć to już połowa maja, jednak którejs nocy spadł śnieg i pobielił okopy, a nad ranem ostry przymrozek ścinał swym surowym oddechem młodziutkie, subtelne pędy drzew.

Z dowództwa bataljonu sypią się różne projekty nowych wypraw, a narazie energja cała kończy się na przemysłiwaniu, jakby najlepiej i bez niczyjej krzywdy porozdzierać odcinki kompanjom przy zmianie.

Teren bowiem jest różnolity i, gdy jedna kompanja ma wspaniałe suche okopy w lesie, inna brodzi w wodzie, która zalała docna wszystkie rowy.

Ktoregoś wieczora, gdy nad moją betonową ziemianką, zaopatrzoną w maleńkie, okratowane delikatnie okienka, huczał na podobieństwo halnego — surowy, prawie zimowy wicher — posterunek wprowadził, obijając się o ciasne, ciemne drzwi i schody, kapitana Tomaszewskiego¹⁾, oficera operacyjnego ze sztabu naszej 1-szej dywizji.

Kapitan kłął, witając się z nami, przecierał szkła, które mu zapotniały, gdy wszedł do dusznej i ciemnej ziemianki. Dopiero co przyjechał lokomotywą z Wilna dla zaznajomienia się z naszą sytuacją i zapowiedzenia wizyty gen. Śmigłego-Rydza. Szukał Bortnowskiego.

Telefonuje więc do bataljonu, a tymczasem, paląc obrzydliwe grodzieńskie papierosy, rozpytujemy ciekawie o sytuację ogólną, która, jak się okazało ze słów kapitana, jest doskonała. Bolszewicy, bici i pchani przez całą dywizję Śmigłego, która choć kilkoma tylko pułkami piechoty operuje na olbrzymim wprost foncie — daje sobie jednak

¹⁾ Obecnie mjr. rez.

jakoś radę. Zręcznie, w porę dla nas, a nie w porę dla wroga, prowadzone przez generała ataki — odrzuciły bolszewików aż na linję jeziora Narocz i na linję Smorgoń.

Wilno tedy, dzięki doskonałemu kierownictwu generała Śmigłego, zostało najzupełniej zabezpieczone.

Po pewnym czasie zajechał Bortnowski i obydwaj udali się do dowódcy sąsiedniego bataljonu 3-go pułku. O ile zdążyłem się dowiedzieć, zanosi się na jakąś wyprawę.

Zaledwie wyszedł kapitan Tomaszewski, słysząc głos posterunku, pakującego głowę przez drzwi:

— Panie poruczniku, pancernik znowu bije!

Wychodzę na dwór. Noc ciemna, zawiana ciężkimi chmurami, głucha i ponura w tem pustkowiu ruin i okopów.

— Skąd bije?

— O, z lasu, od Zalesia. Dwa granaty puściła, a przedtem, jak ten kapitan przyjechał na „piecu” — to była dobrze kilkanaście razy...

— Nic w ziemiance nie słysząc...

— O, dyć głęboko w ziemi, w gruncie „ziemianka” leży — tłumaczył mi posterunek — to nie było słysząc, jak na ten „piec” kapitana, co przyjechał, biła...

— Jaki „piec” chłopie?

— No, ady od pociągu piec.

— Na lokomotywę chyba?

— A jakże! Bili ze sześć razy. Jedna granata to ino tuż, tuż wedle kapitana się rozerwała — ale on nic. Zaklon tylko i szedł dalej.

— A coś ty chciał? Dęba miał kroić?...

— Nie, panie poruczniku, — ino ze sztabu, to przecie nienawykłe. Zawdy tam oni na mapach ino wojują — pokpiwa mój rekrut, który już zaczyna z lekceważeniem odzywać o tych, których niema w pierwszej linji...

Po kilku dniach, w czasie chłodnych, wietrznych godzin porannych odwiedził nasz odcinek dowódca 1-ej dywizji, generał Rydz-Smigły.

Dowódcy kompanij, poustawiani na skrzydłach swych kompanij, ze strony, z której ma nadejść generał — subalterni przy swych plutonach.

Dość długo oczekiwałem swojej kolejki, wypatrując z dachu betonowego schronu nadchodzących sztabowców. Dopiero po dobrej godzinie ujrzałem jakieś czerwieniejące czapki i domyśliłem się, że już generał nadchodzi.

Wypreżony na baczność stoi se człek a monituje zgóry, by gładko i ostro, jak przystało na starego leguna, zameldować się — bez zająkiwań i długich ceregieli bąkania...

Na zakręcie okopów ukazał się generał ze sznurem oficerów. W płaszczu, w imponujących buljonach generalskich, bez zarostu — zmienił się do niepoznania.

Niktby w nim nie rozpoznał tego dawnego legjonowego Śmigłego z pod Kostjuchnowki, kiedy to „obywatel podpułkownik” chadzał ze szpicrutą wśród okopów, bez żadnych odznak zewnętrznych, ni „obywatela pułkownika” z przed roku, kiedy to w Krakowie po zaaresztowaniu Komendanta — Śmigły w zastępstwie dzisiejszego Naczelnego Wodza — Polską Organizację Wojskową jedyny wyraz militarnej Polski — w twardych swych rękach trzymał.

Zbliżał się teraz świetny generał, pierwszy z woli Niepodległej Polski dowódca legjonowej dywizji, spadkobiercy I brygady Komendanta — równym, spokojnym, pewnym siebie krokiem.

Wyrecytowałem generałowi meldunek: kompanja 9-ta, ludzi tylu a tylu... i, trzasnąwszy obcasami, witam się z ca-

łym sznurem adjutantów. Jest Borek¹⁾, stary piątak, kapitan sztabu, Szczapa²⁾ i inni...

Po obejrzeniu całego odcinka, zmęczony generał, który dobre kilka kilometrów musiał przejść, by zlustrować cały odcinek bataljonu — siadł na jakimś płaskim dachu ziemianki i otoczony wieńcem oficerów rozpoczął pogawędkę. Rozpowiadamy o naszym młodym żołnierzu, który coraz bardziej zaczyna tracić swoje pokracstwo rekruckie, o nabieraniu przezeń z dnia na dzień zadzierzystości „legunowej“, o wychowywaniu w ogniu i trudzie bitewnym 1-ej dywizji legjonowej.

Generał ze swym dobrotliwym, przyjacielskim uśmiechem wsłuchuje się w te opowiadania, wtrącając od czasu do czasu zapytania...

Nie czuje się, nie widzi tutaj najmniejszego rozdźwięku między najwyższym dowódcą oddziału, a najniższym z oficerów — odczuwa się tę serdeczną nić, jaka tylko wiązać może ludzi, którzy jednemu i temu samemu ideałowi duszą całą od lat wielu mężnie i wiernie służą.

¹⁾ Obecnie mjr. rez.

²⁾ Krzewski, obecnie mjr. dypl.

ATAK NA ZALESIE.

Długie dwa tygodnie siedzieliśmy w smorgońskich okopach. Kompanje co kilka dni zmieniały się na pozycji; jedne szły do rezerwy, inne zajmowały odcinki.

Bolszewicy zachowywali się najzupełniej spokojnie i prawie neutralnie — nasze patrole tylko niepokoiły ich od czasu do czasu.

Około 20 maja wiedzieliśmy już, że zanosi się na jakowąś awanturę. Bortnowski chodził nerwowymi krokami po swojej izbie bataljonowej, myślał, kombinował, liczył—



Patrol 11-go p. ułanów.

wreszcie wsiadł do pociągu, pojechał do Wilna i po trzech dniach wrócił stamtąd z całym bataljonem pierwszego pułku piechoty.

Wkrótce dowiedzieliśmy się, iż uderzamy trzema bataljonami, by rozbić ostatecznie resztki 17-ej dywizji bolszewickiej.

Zabawa w wojnę — owe od czasu do czasu lekkie patrolowanie — miało się skończyć jakimś porządnym wypadem.

Dzień 26 maja tego roku będzie pamiętny dla młodego żołnierza III bataljonu 5-go p. p. Legionów. W tym to bowiem dniu po raz pierwszy, niedawni cywile, od dwóch zaledwie miesięcy żołnierze, szli do ataku na bagnety.

Bagnet w rękę, pochylony karabin i ten potężny, mocny krzyk, huczący w nocy jak burza, to szturmowe „hura“, pozostawiają niezatarte wrażenie na młodym żołnierzu.

Wieczorem 25 maja zebrał Chilewski (Bortnowski, jako najstaszy kapitan, objął całą grupę) dowódców kompanij i po krótkiej odprawie — powyznaczał punkty uderzenia.

Kompanja moja otrzymała rozkaz uderzenia na wieś Szutowicze, co stanowiło tylko część akcji, przedsięwziętej przez grupę kapitana Bortnowskiego. Kompanja 12 uderzała na Bajby — 11 w rezerwie.

Uderzyć mieliśmy o drugiej w nocy, starając się zaskoczyć przeciwnika, to też, wiedząc z uprzednich patroli, gdzie bolszewicy mają swoje placówki, postanowiłem je ominąć, prześlizgnąć się niespostrzeżenie i zagnała wpaść do wsi z krzykiem wielkim.

Nimeśmy się rozwinęli, cała kompanja została powiadomiona o swoim zadaniu:

— Pamiętajcie chłopaki — pouczałem w ciszy nocnej kompanję — że jak pójdziecie odrazu z kopyta, z dużym

krzykiem a wrzaskiem to wygrana nasza—jeśli się jednak tylko zawahacie, spiorą nas tak maszynkami, że ani jeden nie wróci. Tylko siup — naprzód!...

Chłopcy zrozumieli. O 1-ej w nocy, przy bładem świetle gwiazd, posuwałem się w ciszy zupełnej, ciasną tyraljerą dwoma plutonami, z jednym zaś plutonem i maszynkami w rezerwie; starałem się tak manewrować, żeby można było przecisnąć się między dwoma małymi gaikami, gdzie bolszewicy mieli prawdopodobnie placówki.

Podejście się udało; cichy i śpiący widocznie gaik przeszliśmy żwawo i zaraz za linią placówek, rozsunawszy nieco plutony, zacząłem posuwać się z kompanją szybciej, by punkt na 2-gą w nocy zdążyć.

Szeleściła cicho pod nogami murawa. W pewnej chwili zaciemniała przed nami czarna masa chałup. Serca zabiły...

Nagle spokojną, cichą noc, rozdarły błyski. Zatrzępotały się łyskotliwą linią, tuż prawie pod nogami, zatrajkotały, rozwściekły się maszynki. Moment, jedna chwila!...

Poprzez trzask ognia, przedarł się krzyk:

— Chłopcy, naprzód!

— Hurra!...

Jak burza porwały się plutony w wiejską ulicę. W jednej chwili chłopcy instynktownie odczuli, że tylko tym krzykiem potężnym i biegiem uratują się przed skutkiem złowrogich błysków.

Na łeb, na szyję! Na złamanie karku, byle prędzej wpaść z wrzaskiem do wsi!...

W pół minuty przebiegliśmy dystans, dzielący nas od okopów. Jeden pluton, w myśl uprzednich dyspozycji wpadł na drogę, prowadzącą przez środek wsi. Dwa inne, po bokach, wzdłuż... Pędzimy naprzód. Krzyk, wrzawa! Co chwila wydziera się potężne „hura!“. W ciemnościach błyski po błysku. Z za chałup razi ogień...

— Granatami!...

Rozjęczały się odłamki; słupy białych dymków powzbijały się z czarnej ziemi i znów krzyk: — Chłopcy na przód!...

W przeciągu dziesięciu, piętnastu minut przebiegliśmy wieś. Rezerwowe sekcje wywlekają jeńców, oficerów, ściągają karabiny maszynowe z okopów, z ciepłych jeszcze miejsc, wyprowadzają konie i wozy...

W piętnaście minut po szturmie, w szarym, bielejącym świetle, zbiórka kompanji w ordynku! Jedna, głośna komenda — i rozgrzana, rozhukana kompanja, pręży się w sznur.

— Linja tyraljerska!...

W porządku już rozwijają się plutony na Sukniewicze, Pierebranowicze i Bajby. Z trzech stron niezajęte jeszcze wsie, z trzech stron może w każdej chwili wyjść kontratak!

Po kilkunastu minutach usłyszeliśmy od strony Bajb gwałtowny ogień, który wnet ucichł. To Józek Drotlew z 12 kompanją wziął Bajby...

Tymczasem oczekiwany kontratak nastąpił prędzej, niż się tego spodziewałem. W pół godziny zaledwie z Pierebranowicz ruszyła ku nam pierwsza fala. Głucho pacać poczęły nasze manlichery w odpowiedzi na wysoki jazgot maszynek i przeraźliwy błysk i trzask ognia karabinowego. Rozgruchotała się gwałtownym ogniem tyraljera, bić poczęły „maszynki“ nasze, i po niedługiej chwili kontratak był w zupełności odparty i stłoczony zpowrotem do Piebranowicz.

Trop w trop za nimi posuwam kompanję.

Tymczasem, gdy lewe moje skrzydło doszło do Sukniewicz, które powinien był zająć tak samo o 2-ej ppor. Sobółta ¹⁾ z kompanją 1-go pułku — wyszedł na nie stamtąd dru-

¹⁾ Obecnie mjr. piech.

gi, gwałtowny kontratak. Wypada do szturmu kolumna bolszewicka ze wsi, ze środka drogi. Po krótkiej walce na bagnety zepchnęli trzeci pluton w tył i zaczęli się szybko, śpiesznie rozwijać... Lecz już prawe skrzydło kompanji podprowadził Grzyb na boki i tyły i siać poczyna „maszynka”. W bezładzie natychmiast się cofnęli.

Drugi kontratak został odparty.

Tymczasem dzień był już zupełny, słońce wstało. Ze wsząd rwie ogień karabinowy, burzy się i gotuje, jak war w garnku, budząc dalekie echa w zaroślach.

Słońce stało wysoko. Ze wszystkich prawie stron dochodziły odgłosy walki — a o godzinie 5 rano usłyszeliśmy gwałtowny ogień, zrywający się hen, na przodzie, — a więc już na tyłach bolszewickich.

Koło widocznie zostało zamknięte — a bolszewicy osaczeni ze wszystkich stron.

Podciągam wobec tego kompanję ku Pierebranowiczom, jako ostatniemu punktowi, który miałem wedle otrzymanych dyspozycyj zająć. Wraca trzeci pluton, który przy drugim kontraataku wpadł na ową kolumnę bolszewicką, i przynosi mi wiadomość o ciężkim zranieniu Julka Neumarka. Klnę na czem świat stoi — i czekam dalszych rozkazów, wysyłając tymczasem meldunek za meldunkiem.

Bolszewików wokół ani śladu. Na lewo, ze wsi, wzdłuż toru kolejowego wysuwają się jakoweś tyraljery, które po błyszczących kociołkach poznaję, iż są nasze — z prawej strony, również widać w perspektywie zamglonych ranem i oparami łąk — dźwigające się powoli łańcuchy tyraljer. Posyłam tam natychmiast łącznika i wkrótce otrzymuję meldunek, że to 12 kompanja po wzięciu Bajb porusza się dalej na Zarudicze w myśl dyspozycji.

Czekam więc w Pierebranowiczach, gdzie miałem zastrzymać się aż do otrzymania rozkazów.

Gdzieś, około 6-ej rano wpada przed chałupę, obok której rozłożyła się kompanja, ułan z rozkazem maszerowania wzdłuż traktu mołodeczkańskiego na wieś Ponizje, Janiewiczze i Kaskiewiczze. Z rozkazów dowiaduję się, że akcja w zupełności osiągnęła swój cel i że zajmujemy nowe pozycje, by wydostać się nareszcie z tego obrzydliwego pasa starych okopów niemieckich.

Zbiórka. Kompanja zmordowana, wymęczona szturmem i kontratakami, w świetnym jednakowoż humorze.

Przy samym szturmie trzech tylko lekko zostało rannych — gorzej natomiast wyszedł pluton trzeci, który wlaźł w Sukniewiczach na 151 pułk sowiecki. Ranny ciężko Julek Neumark, padł ppor. Nowak, który z ciężkimi karabinami maszynowymi przydzielony był do mojej kompanji, kilku pocharatanych bagnetami, kilku zagarnęli ze sobą bolszewicy — strat więc jest sporo. Jednakowoż kompanja w pysznym nastroju — zadowoleni są chłopcy z tego szturmu, który im tak łatwo przyszedł, i szczęśliwi, że cało z niego wyszli. Obłowili się poza tem machorką, butami i tytoniem — gdyż „krasnoarmiejcy“ nic nie zdążyli ze sobą zabrać, uciekając wprost w bieliźnie; cała droga w Szutowiczach usłana była czapkami, kapotami, płaszczami i butami. Wyobrażam sobie ich przerażenie, gdy nagle w ciszy nocnej, po krótkim, kilkunastu sekundowym zaledwie ogniu — usłyszeli tuż, tuż — pod oknami i we drzwiach swych izb — potężne, zuchwałe, szturmowe: hurra!

To też umykali przez płoty, okna, pola i zagony. Oficerowie natomiast prawie wszyscy zostali, gdyż jeden tylko zdołał umknąć. Konie, wyprowadzone nagwałt ze stajni, pozostawili między opłotkami, z narzuconemi tylko siodłami, gdyż nie zdążyli ich nawet spopręgować. Karabiny maszynowe, kuchnia żołnierska, wozy bataljonowe, konie, siano zgromadzone, mnóstwo szabel i karabinów, aparaty tele-

foniczne, kancelarje bataljonowe i kompanijne — wszystko zostało na łasce losu, na łup dla zwycięzców.

Z oficerów wziętych do niewoli mam „towariszcza-komandira I-awo bataljona 146 połka“, „komandira pulemiotnoj komandy“ i kilku pomniejszych wraz z „komisarom“. Oficerowie, z wyjątkiem tego, który uciekł, „bywsiyje ruskiyje oficery“, którzy nawet bocznej broni nie posiadali, gdyż „naczalstwo“ najzupełniej im nie ufało. To też jak najchętniej oddali się do niewoli.

Wśród zdobytych koni jest kilka wierzchowców, więc maszerujemy do owych Ponizji co najmniej jak bataljon, gdyż każdy z oficerów na czele plutonu pyszni się na bolszewickiej szkapie.

Po drodze do Ponizji spotykam Chilewskiego z adjutantem. Po wysłuchaniu meldunku, daje mi rozkaz czekania narazie w Bajbach aż do dalszych rozkazów.

W Bajbach zostawiam kompanję w cieniu ogromnych lip cmentarza kościelnego, a sam siadam na zdobyczną, śliczną klacz i gnam ostrym kłusem ku smorgońskiemu laskowi, dokąd odwieziono Julka Neumarka, aby się dowiedzieć, jaka jest rana. Chłopcy nic nie mogą powiedzieć — prócz tego, że podobno w brzuch.

Jadę więc mimo wściekłego upału bez wytchnienia i w niecałą godzinę wpadam do dowództwa bataljonu. Tam się dowiaduję, że Julka już odtransportowano na pociąg sanitarny, który przed chwilą odjechał z rannymi do Wilna.

Siadam więc zpowrotem i gnam na zmianę kłusem i galopem do kompanji, obawiając się nadejścia nowych nieprzewidzianych rozkazów.

W Bajbach kompanji nie zastałem. Pozostawiony łącznik zameldował mi, że ppor. Grzyb dostał rozkaz zajęcia Ponizji, do których przed pół godziną kompanja odmaszerowała. Gonię więc chłopców dalej.

Zapadł zmierzch, okolica pełna łąk, głośnych zagajników, szumnych od ptactwa lasków. Wokół roznosi się grzechot swarliwy żab — ogromna tarcza słoneczna krwawym rąbkiem wygląda z poza siniego pasma dalekiego lasu. Zwalniam kłusa — i noga za nogą, w ciszy zapadającego wieczoru wjeżdżam do rozgwarzonych, pełnych żołnierzy Ponizji.



W okopach pod Zalesiem.

W kilka dni po zajęciu nowych pozycji dowiedzieliśmy się dopiero o szczegółach i wyniku całej akcji, skierowanej ku zgubie 17 dywizji sowieckiej. Atak na Zalesie, mający na celu okrążenie tej dywizji, udał się w zupełności. Już w trzy godziny po rozpoczęciu ataku ogólnego — obręcz została zamknięta i wszystko prawie dostało się w nasze ręce. Dwa działa, porzucone tuż za mostem na Wilji, kilkuset jeńców, kilkunastu oficerów, karabiny maszynowe.

konie, tabory, broń kilku pułków — wszystko to wpadło w nasze ręce przy minimalnych prawie stratach.

Akcja powiodła się tedy wyśmienicie, nietylko dzięki szczegółowym i przewidującym rozkazom Bortnowskiego, lecz również w dużej mierze dzięki t. zw. „warjadowi”...

„Warjat” — to nasz telefon podsłuchowy. Mówił nam wszystko, wybrzękiwał każde „allo” krasnoarmiejskich „towarzystw komandirów”, objaśniał nas znakomicie o każdym patrolu, wysłanym przez bolszewików.

Stworzono „warjata” bardzo nieskomplikowanym sposobem i narodziny jego przywitano z powszechną radością. Sposób był niewyszukanie prosty i rozbrajająco naiwny. Któryś z telefonistów, bodaj ze sztabu, macher od łączności, wpadł na pomysł, by doczepić swój aparat do drutów telegraficznych, idących wzdłuż toru kolejowego, który w pewnym miejscu przecinała linja pozycji, przypuszczając, że drutami owymi posługują się bolszewicy, wyzyskujący połączenie pozycji z Mołodecznem zapomocą tej samej linji.

Przypuszczenia były trafne. Zaledwo złączono druty — odezwały się brzęczyki aparatów. „Towarzystwo-komandiry” rozmawiali...

Zasiadł więc podoficer do stołu i co jakiś czas przynosił Bortnowskiemu wynotowane wszystkie rozmowy. Dowiadaliśmy się więc dokładnie o wszystkich zmianach bolszewickich, o tem, gdzie i jakie „roty” się zmieniają, o tem, dokąd i kiedy wyrusza jakiś silniejszy patrol bolszewicki, który zresztą nigdy nie dochodził do naszych okopów...

W dzień więc ataku na Zalesie uwaga specjalnie została zwrócona na „warjata”, który tego dnia, jak każdego zresztą innego, głosił, że bolszewicy spodziewają się tej nocy na pewno „nastupieńja polaków”.

Gdy tylko więc odezwały się pierwsze strzały, chwycił za słuchawkę „warjata” sam Bortnowski. Ordynansi konni stali przy osiodłanych koniach, gotowi w każdej chwili gnać z rozkazami.

Po pierwszych zaraz strzałach aparat zaczyna brzęczeć. „Warjat” raportuje o pierwszym meldunku bolszewickim.

— Allo! Towariszcz-komandir połka!..

— Allo, zdieś komandir połka!..

— Towariszcz komandir — podaje zadyszane wiadomości „warjat” — polaki nastupajut... Idut na zastawu wozle rieki...

— Niczewo! Polskaja razwiedka idiot, a wam każetsia, czto uże nastupajut. Łožitieś spat’ spokojno!..

Bortnowski nie odejmuje słuchawki. Oczekuje meldunków rosyjskich, gdyż z nich dowie się o sytuacji, atakujące bowiem kompanje aparatów ze sobą nie wzięły, a na meldunki pisemne niebardzo można liczyć wobec przypuszczalnego błyskawicznego tempa akcji.

Czeka więc z bijącym sercem na meldunki niezastąpionego „warjata”.

Noc była cicha, ciepła, gwiazdzista. Wysoki sosnowy bór w lekkim, głębokim poszumie zginał korony drzew...

Na drugą godzinę rano naznaczono ogólny atak. Te gęste strzały, to pierwsze starcie patroli na placówce przy Wilji, atakowanej umyślnie dla odwrócenia uwagi...

Okolo 2-ej gwiazdy, jedna po drugiej, poczęły blednąć — wierzchołkami sosen przeciągał rzeźwy, poranny wiew... Zbliżała się chwila ataku...

„Warjat” milczał. Na linii rosyjskiej spokój i cisza zupełna. Strzelanina na Wilję została przez dowódcę bolszewickiego pułku zakwalifikowana do rzędu nic nie znaczących „pierestrełok” patroli.

Równy o 2-ej buchnęły naraz w ciszy nocnej gęste, gwałtowne strzały, które w jednej chwili zlały się w jeden burzliwy potok karabinowego ognia. Atak się rozpoczął...

„Warjat“ milczał. Jakby przerażony i zdumiony tą nagłą, gwałtowną strzelaniną, która zerwała się w ciszy nocnej i rozlała w jednym momencie jakby wzburzona, spieniona rzeka — ścichł, zamilkł, skrył się...

Po pewnej jednak chwili posypały się gorączkowe, śpieszne, zemocjonowane meldunki i pytania. Brzęczyk ciągle był w ruchu. Przez telefoniczne linje — jak przez nerw ludzki przebiegały wszystkie drgania bitwy, gwałtowne, zapamiętałe bulgotanie karabinowego ognia. Gorączkowy war bitewny przelatywał przez cienkie, metalowe druty, niby wartka pulsująca krew po tętnicy człowieka, gnanego furją i gniewem...

Sypały się meldunki...

— Dierewnia Szutowiczy wzięta polakami... Bajby toże... nastupieńje protiwnika wiezdie...

Po chwili ściagały strach i gwałtowne przerażenie szybkie rozkazy: „Kontrataka na Szutowiczy... Siju minutu“...

Bortnowski nie potrzebował własnych meldunków. „Warjat“ spełniał swą rolę precudownie. Od czasu do czasu, gdy druty przyniosły ważniejszy meldunek, kapitan oddawał słuchawkę podoficerowi, a sam na kolanie śpiesznie pisał na bloku rozkazy...

Dzień był już zupełny. Ze wszystkich stron kilkometrowego frontu dochodził ciągle gwałtowny ogień. W pewnym momencie „warjat“ zaczął gwałtownie brzęczeć...

Odzywało się dowództwo brygady...

— Allo, allo batiereja!...

— Allo, — zdieś batiereja...

— Udirajtie siejczas. Polaki uże u was pozadi...

— Eto ja znaju. No kuda udirat'?

— Wsio rawno! Kuda głaza poniesut!...

„Warjat” zamilkł. Bortnowski pchnął nowe rozkazy, by natychmiast rozpocząć gwałtowny pościg.

Rezultat zaś był taki, że baterja wpadła w nasze ręce...

Po ostatecznem rozbiciu smorgońskiej grupy bolszewickiej i po zajęciu nowych pozycji mieliśmy „warjata” jeszcze kilka tylko dni. Dowiadaliśmy się odeń, jak niesłychanie podenerwowani byli bolszewiczcy oficerowie, jak ciągle przypominali, by „nie pierespat ataki” jak pod Szutowiczami i Bajbami...

ZABAWA W WOJNĘ.

Inny się przed nami roztoczył kraj z chwilą, kiedyśmy przeszli złowrogą linję okopów niemieckich. Wsie naokół ludne, bogate, pełne bydła, koni i ptactwa, — wokół gwar, radość życia i wiosny, kipiąca z pól, pełnych oraczy wiosennych, poryku krów, pastuszych piosenek.

Zostawiliśmy poza sobą milczący, strupieszający, złowrogi pas, wyniszczony okrutnie zbójecką gospodarką niemiecką i weszliśmy na teren, gdzie ludność zastaliśmy nie tylko w przedwojennych prawie warunkach, lecz zubożoną dostawami do pobliskich okopów, suto obłowioną z tych czasów, kiedy miljonowa zrewoltowana armja rosyjska porzuciła okopy, wracając do domów, pozostawiając na łasce losów olbrzymie bogactwo armji.

To też wszystkie wokół wsie, każdy gospodarz ma konie wojskowe, rosłe, wypasione, silne...

Roztoczył się przed nami kraj z gęsto porozrzucanemi wioskami, zasobny, bogaty niemal, cały skąpany w krasie wiosny, która tu dopiero pod koniec maja obsypała drzewa białym kwieciami.

Kontakt z nieprzyjacielem został szybko nawiązany. Bolszewicy, którzy w pierwszym, panicznym popłochu nie oparli się aż w Mołodecznie — ochłonawszy nieco, drugiego dopiero dnia poczęli nieśmiało patrolami posuwać się naprzód. To tu, to tam zaplątał się jakiś patrol „burków”.

tu i owdzie popukały nieco placówki. Naogół jednak zapanował zupełny prawie spokój. „Krasnoarmiejcy“ są na-
zbyt ostrożni i patrolują tak lekko, że dopaść ich ogniem
można tylko wtedy, kiedy się wpadnie z nagłą, z krzykiem
wielkim do ich okopów...

Zajęliśmy więc nowe odcinki. Chilewski, w zastępstwie
dowódca naszego bataljonu, rzadnie, po gospodarsku, spra-
wiedliwie porozdzielał „kawałki“...

Każdej kompanii dostała się wieś, i to wieś faktyczna,
z chałupami, mlekiem a masłem, z ogrodami i wcale ładne-
mi Białorusinkami — a nie, jak dotąd, na mapie tylko figu-
rująca.

Rozstawiło się więc migiem placówki, łączność pona-
wiażywało i, z dnia na dzień nieco się umacniając, niezgo-
rzej się „wiara“ poczuła na nowym terenie.

Rozglądamy się ciekawie po okolicy, staramy się zo-
rjentować w innych już nieco stosunkach. Każdy z dowód-
ców kompanij, siedząc na jakowejś Tańszczyźnie czy in-
nych Daubudziszkach lub Gorenjatach, rozpatruje, nad kim
to on rządy sprawować będzie.

Wspominałem już o owem nadzwyczajnem i nieocze-
kiwanem nawet przyjęciu, jakiego doznawaliśmy w ciągu
naszego szybkiego, zwycięskiego marszu od Wilna ku Smor-
goniom. Radowało się wówczas żołnierskie serce i ochotniej
nogi nosiły w marszu pokryte kurzem kolumny piechoty...

Tak było niemal do samych zwalisk koło Smorgoń.
Mniej więcej od tej linii wchodzimy w pas kraju, już nie
tak przychylnie nastrojonego, a miejscami wręcz wro-
giego.

Poza linią Smorgoń zaczynają się już wsie prawo-
sławne. Wsie wokół tego miasta jeszcze są białorusko-
katolickie i ludność w tych wsiach wybitnie ku nam ciąży.
Pamiętają tam oni doskonale mroczne lata moskiewskiego

ucisku, poza tem z katolicką, polską książką do nabożeństwa wiąże się tutaj silnie, jak wogóle na wschodnich kresach dawnej Rzeczypospolitej, poczucie polskości.

Lecz już o kilkanaście zaledwie kilometrów na wschód od „akademji smorgońskiej” zaczyna się pas wsi, gdzie wybitnie przeważają chłopci Białorusini — prawosławni.

Charakterystyczny niezmiernie jest tutaj ów rozdział, stworzony przez wyznanie religijne. O ile chłopci białoruscy—katolicy ciążą ku Polsce, o tyle Białorusini—prawosławni rusyfikują się do tego stopnia, że nawet odbija się to na ich mowie. Chłopci prawosławni są to przeważnie już Moskale, straceni nawet dla narodu białoruskiego.

Zdarzają się pośród nich często-gęsto nazwiska o świetnem polskiem brzmieniu — niezatarty ślad kroków Polski dawnej.

Zdarza się to tu, to tam, że matka jeszcze z polskiej książki się modli, a dzieci, przemocą w moskiewskiej wierze chowane — z rosyjskiej; rodzice pamięć żywą o Polsce chowają, a dzieci po polsku słowa nie umieją.

Ślad to moskiewskiej, dławiącej polskość ręki.

To też i nastrój tutaj jest zupełnie inny — nie ten, radośnie witający, jaki nas spotykał w dotychczasowych przemarszach od Wilna.

Wsie, z małemi wyjątkami, nastrojone wrogo. Nie dopytasz się tu o nic chłopca, nie zaznasz dobrego słowa. Lęk jakiś, a za nim czai się złe spojrzenie i czuje się w oczach pytanie: „Po szczo wy tu przyszły?...

Mamy tutaj kilka takich wsi. Prym trzyma Siwica. Między pozycjami szeroko rozsiadła się wieś, jasno-żółtymi dachówkami błyszcząca, dopiero co wybudowana po klęsce dawnych walk pod Mołodecznem. Wieś wroga, nieprzyjemna, zła. Wyczuwa się w niej podstęp, ściszoną zdradę...

Kilku już ludzi „wsiąkło” nam dzięki tej wsi. Znany w starym 5 pułku legjonowym, w jego I bataljonie „mały Majuś”, podchorąży Pacholski, drugiego zaraz dnia po zajęciu tych pozycji, otoczony z patrolem w Jakowiczach dostaje się ranny do niewoli. Innego dnia znowu wpada dwóch, którzy przez „neutralną” niby Siwicę patrolowali naszpicy...

Wiara klnie, odgraża się i czeka jeszcze jednego wypadku, dowodu pewnego, by z Siwicy uderzył w niebo błękitno-czarny słup dymu.

Twarde prawo wojenne litości nie zna.

Naokół gęsto rozłożone, porozrzucane pośród lasów, bagien, wzgórz i dolin zamożne bogate wsie — wszystkie prawie w tym pasie nastrojone są ku nam wrogo, nieprzyjaźnie.

Na południe od Wilji, tuż pod Smorgoniami, rozpoczyna się pas wysokich wzgórz, uwieńczonych dębowemi gajami, dolin, porzniętych strumykami, do złudzenia przypominających naszą cudną Sandomierszczyznę. Gdy wpadnie się w jakowy parów, jar zagnała, stromo ścięty, z pośród tarniny gęstwiny wychodząc, zda się, iż odezwie się oto najczystszy polskiej mowy dźwięk, że ujrzy się wybiegającą Jagnę czy Marysię z bydłem do strumienia...

Wzgórza, pagórki leśne, jary i doliny litewskie, tak niezmiernie i serdecznie podobne do naszych sandomierskich okolic — to jednak złudzenie...

W dolinach inne wsie, inni ludzie, inna mowa... Zaczyna się tutaj dopiero pierwsza linja, wczesna oznaka stosunków wrogich, nieprzyjazny próg innego, obcego duchem, językiem i wiarą kraju.

Tuż poza rozrzutem naszych pozycji, tuż za Ponizjem, Zarudiczami, Kaskiewiczami, w okolicach zajętych przez polskie oddziały, bije już inny życia puls. Roznosi się ra-

dosny, przyjazny śmiech, tańczą na weseliskach ułany. Zaś między nami — chwyta się ponure spojrzenia co dnia zganianych chłopów, usiłujących przedostać się do bolszewików.

A pośród tych prawosławnych, wrogich wsi, porzucane w wielkiej ilości, zdjęte tęsknotą ku nam lub rozradowane wolnością, czepiają się parowów, dębowych gałęzi, wzgórz i dolin polskie, szlacheckie zaścianki Bujwidów, Żebrowskich, Bogorja-Sielickich, Hryniewiczów...

Kwaterę mam we dworku ongi szlacheckim, skonfiskowanym zapewne po powstaniu 63 roku, gdyż ostatnim właścicielem był Moskal — generał rosyjski.

W poniszczonych przez lata wojny, w poobdzieranych pokojach dworku gnieźdzą się jacyś wygnańcy, jakaś okrutna nędza o sinych obrzękłych twarzach, karmiąca się pokrzywą od miesięcy. W zapadłych, wybladłych oczach ta się jeszcze wspomnienie własnej schludnej chałupy, zagrody czy gospodarstwa — gdzieś, w dniach srogich bojów, w huku i trzasku ognia starganych dawno, dawno granatami, puszczonych z dymem przez jakichś ludzi, z krzykiem do wsi wpadających...

W miejscach, gdzie człek pracowitym, codziennym potem i zabiegami tworzył siedzibę, gdzie wtulał się w głośny głęboki poszum borów z niską chałupą białoruską — w miejscu tem jakowś ludzie, kopiąc i ryjąc ziemię Bożą, targając jej wnętrzości tysiącami łopat i kilofów — wycieli murem stojący niegdyś las, zdmuchnęli świstem i skowyt granatów strzechy i zapłocia, poburzyli okrutnie i bez litości owoce trudów wieloletnich i poranili litewską ziemię długimi, martwemi rzutami okopów...

Na nic się zdało rozpaczne rąk łamanie, dziki skowyt chłopskiego serca, niby przegnanego z domu psa...

Gnieździ się takich rodzin we dworku kilkanaście. W każdej izdebce, w każdym pokoiku włączą się jakieś łachmany i cienie. Jakieś dwie żydówki, matka i córka, sam Bóg wie, skąd tutaj przybyłe, wiecznie szwargoczące i często-gęsto wśród nieopisanego wrzasku włączące się za włosy w pasji i bójce po izbie...



Dworek w Kaskiewiczach.

Zajęliśmy ową kwaterę. Wielki, jasny pokój, uprzątnięty w mąg, doprowadzono jako tako do porządku. Tapczany oficerskie, kancelaryjny stół, szef-sierżant, nieoceniony Straus, telefoniści i dowództwo kompanji—wszystko to porunem zostało zakwaterowane...

Po awanturach ostatnich cisza i spokój zapanowały na naszym odcinku całkowicie. Bolszewicy od czasu do czasu

zlekka się tylko posuwali, nigdy jednakowoż nie zaszli bliżej pod okopy placówek, by można ich było wziąć pod szybki a skuteczny ogień.

Wogóle prowadzenie wojny przez nich jest arcywesołe. W rzadkich tylko wypadkach podsuwają się na odległość celownika—przeważnie jednak tak się umiejscowiają, że dosięgnąć ich można tylko artylerją.

Bataljon nasz, który do tej pory miał stałe szczęście (tfu, na psa urok) posuwać się wzdłuż toru i wojować z pancerką, odbił teraz dość mocno na południe, tak że tylko lewem skrzydłem zlekka dotykał toru. Pancerka więc produkowała się teraz przed pierwszym pułkiem, którego bataljon łączył się z nami na lewo.

Podjeżdżała i teraz co dnia, bawiła się ogniem artyleryjskim z naszymi baterjami lub tłukła na okopy. Przeklinana i złorzeczona przez „legunów“, doczekała się jednak swego smutnego końca...

Któregoś dnia przysłał gen. Śmigły swego oficera saperów, który z silnym patrolem ruszył wzdłuż toru, pod osłoną nocy, by mniej więcej w tym miejscu, do którego pancerka codziennie się zbliżała, założyć miny.

Z wielkimi więc ceregielami, jak ongi Kmicic kolubrynie, podłożono pod tor dwie kichy, solidnie ekrazytem wypchane i saperskimi sztuczkami tak skombinowane, że jedna z nich miała rozwalić lokomotywę, inna — następny wagon.

Następnego dnia oczekiwano ze zrozumiałą emocją wyniku wizyty „broniewika“. Plan się niespodziewanie (bowiem normalnie kończą się one faskiem) dobrze udał. Za miotłą krwawych płomieni runął ogromny huk, lecący po lasach jak grom...

Pancerka miała dość...

Następnego dnia wyruszyła pancerka nasza „Śmiały-Szeroki“ pod osłoną silnych patroli, by skonstatować skut-

ki zasadzki. Znaleźli wagony okrutnie pocharatane, bowiem do wybuchu przyczyniła się jeszcze własna piroksylina panczerki bolszewickiej, zdemontowane dwa działa i osiem karabinów maszynowych. Lokomotywy jednak nie znaleźli, gdyż wskutek jakowegoś „pecha” nabój dynamitowy wybuchł tylko jeden, pod wagonami, tak, że lokomotywę zdążyli bolszewicy uprowadzić ze sobą...

Od tego jednak czasu okopy miały spokój — druga panczerka, jaka nadal krążyła po torze — nie ośmielała się już wysuwać poza pas własnych okopów...

Poza tem czas, przerywany tylko patrolami z jednej i drugiej strony płynął monotonnie na wydawaniu przepustek ludności miejscowej i na pokerze, od czasu do czasu urozmaicony jakowemiś tańcami, które żołnierze co niedzielę urządzali na werandzie dworku, dla różnych kraśnych Białorusinek.

Poza tem przez cały prawie czerwiec drutowaliśmy się. Ze stacji Zalesie całe sznury podwód chłopskich zwoziły druty najrozmaitszego rodzaju, gatunku i kalibru. Stale jakiś pluton tłukł się między wzgórzami, wśród sfalowanych zbóż, owsów i zielonych płątów kartoflisk i rozciągał pracowicie rdzawe zwoje drutów kolczastych. W krótkim czasie wyrósł nowy, krwawo-bronзовый pas zasieków wzdłuż całej nowej pozycji. Była to prawie jedyna możliwość ufortyfikowania terenu, bowiem każda z kompanij zajmowała po kilka kilometrów odcinka i w żaden sposób nie mogła go inaczej obsadzić, jak tylko placówkami. O stałej linii okopów mowy nie było — więc maskowaliśmy ją owemi passami pordzewiałych drutów.

Zresztą o atakach bolszewickich jakoś nic słyszać nie było — akcji bojowej prócz codziennych stałych patroli nie przeprowadzało się żadnej.

Któregoś późnego wieczora, gdy nad smorgońskimi ruinami białego kościoła wzniósł się spokojny, wiecznie ten

sam od wieków księżyc, jasną poświatą srebrząc pola — wpada do nas posterunek.

-- Panie poruczniku — cosik mocno strzelają na przodzie...



Meczet mahometański w okolicy Smorgoń.

W izbie dworkowej, z pozasłanianymi oknami nic prawie nie było słyszeć, więc posterunek, wystawiany przed kwaterą, miał stale meldować o każdym ruchu na froncie. Wychodzimy na ganek.

Jasna, przepysznie srebrna noc. Ciepły, czerwcowy wietrzyk przynosi z łąk mocne, orzeźwiające zapachy świeżo skoszonych traw i kwitnącego żyta. Cisza... tylko przepiórki zwołują się melodyjnym, dźwięcznym wołaniem.

Nasłuchujemy...

Zprzodu, gdzieś od Bienicy czy Markowa dochodzi gwałtowne bulgotanie, kipiący war strzelaniny, przerywanej od czasu do czasu głuchym łoskotem granatów...

Spoglądamy na się zdziwieni. Tak gwałtowny ogień, że zdawałoby się, iż przeprowadza ktoś jakąś solidną akcję, o której my nic jednakowoż nie wiemy.

— Cóż to jest? Może jaki patrol wpadł do Jakowicz lub Bienicy?...

— No tak — ale przecież powiadomionoby nas...

Wracam do izby i naciskam brzęczyk telefonu.

— Hallo, dwunasta! Czy to wyście posłali jaki patrol wprzód?...

— Nic podobnego! Chcieliśmy się właśnie ciebie o to samo pytać...

— Ki djabeł! Może to pierwszy pułk zaawanturował się?...

— Niemożliwe, boć to strzelanina nawprost twego od-cinka...

— Ba, o to chodzi, że ja nic nie wiem. Może to czwartaki ruszyły z boków na Kazimierowo albo Ugljany?..

— Możliwie, boć tłuką i tłuką solidnie...

— Poślę patrol do czwartaków z zapytaniem. Servus...

Strzelanina tymczasem nie słabnie. Nadomiar ciemne tło horyzontu zaczynają rozdzierać krwawe błyski wystrzałów działowych. Artylerja wmieszała się również do tej awantury...

Po godzinie, gdy już ów tajemniczy ogień ścichł, wraca patrol od czwartaków z interesującym meldunkiem, że tamci również nic nie wiedzą i sami byli zaniepokojeni ową strzelaniną...

Kręcimy głowami z coraz większym zdumieniem. Dopiero dobrze nad ranem zagadka została rozwiązana.

Z Ugljan przylecieli chłopci. Z radością i zachwytem ze śmiechem urągliwym opowiadają, jak się bolszewicy pobili między sobą. Przysłali do Ugljan z Mołodeczna bataljon komunistów — prawie samych żydów. Że zaś między „krasnoarmiejcami” a „towariszczami-komunistami” — szczególnie serdeczne stosunki nie panują, więc trzeba było szalonej okazji przy kupnie jakiejś kwarty mleka — by zapalczywi komuniści, traktujący pogardliwie „krasnoarmiejskiej skot”, nie chwycili za kolby. Od kolb — przyszło do pierwszego strzału, a później do granatów ręcznych. Jedni i drudzy poczęli się tłuc z niesłychaną zaciętością. Karabiny maszynowe, granaty ręczne i ogień piechoty trwał przez kilka godzin. Dopiero neutralna artylerja oddała kilkanaście granatów na obydwie strony i jakoś awanturę zażegnała. W samych Ugljanach chłopci widzieli kilkunastu zabitych — więc i rannych musi być sporo...

Żałujemy, że nam tak w trakcie tych awantur nie dało znać. Dopieroż byłby bigos, gdyby tak na dwie, bohaterstwo zwalczające się grupy spadły nagle leguny z okropnym krzykiem szturmowym...

W kilka zaledwie dni po tej awanturze wewnętrznej wśród bolszewików, Bortnowski postanowił dać im z zewnątrz szturchańca.

Stanowczo zanadto bezczelne są te dwie armaty bolszewickie...

Tuż za Bienicą bowiem, na szosie do Mołodeczna, stała półbaterja bolszewicka i stale ostrzeliwała nasze okopy. Od chłopów, którzy gęsto z tamtych stron przychodzili z wiadomościami, wiedzieliśmy jak najdokładniej, gdzie owa półbaterja stoi.

Postanowiliśmy więc, wobec tych wewnętrznych zamieszek bolszewickich, wykorzystać ich zdenerwowanie i „zafasować” owe armatki, potłukłszy poza tem, ot tak mimochodem, nieco krasnoarmiejców...

Któregoś dnia po tej decyzji, o której się mówiło już między oficerami, brzęczyk telefonu wezwał mnie do aparatu.

Odprawa w bataljonie, u Chilewskiego.

Do dowództwa bataljonu mamy kilka dobrych kilometrów. Siadam więc na mą „Baškę“ i ostrym kłusem ruszam.

Upał. W rozedrganem od blasków promieni słonecznych powietrzu drzewa stoją jak omdlałe. Najmniejszy powiew wiatru nie przerywa tego, niczem niezamąconego skwarne, czerwcowego popołudnia.

Polna droga wije się białą, jasną wstęgą wśród kwitnących zbóż.

Równy kłus „Baški“ wzbija tumany szarego kurzu.

Siodło skrzypi równomiernie — lekki powiew, wskutek jazdy powstały, chłodzi twarz...

W Bajbach i Kotach półnadzy żołnierze ukrywają się w cieniu sadów lub kąpią się przy młynie. Cisza wokół i spokój — nic nie przypomina frontu i wojny.

Lato...

WYPAD NA MARKOWO.

Na niewielkiej, jasno-zielonej łące, obok rozłożonych w wysokim gąszczu trawy taborów bataljonowych, na brzegu krętego strumyka, wyleguje się grupa oficerów. Rozłożyste, stare, rozczochrane wierzby i wysokie o lepkiem i wilgotnym liściu ciemno-zielone olszyny, rzucają łaskawy cień na mieniającą się kwietnymi barwami jaskrów zieloną, bujną łąkę...

Spętane konie taboryckie skaczą wzdłuż strumyka, kryjąc się w cieniu drzew; szybki nurt rzeki wesoło, rzeźko szemrze swą jednaką zawsze pieśń biegnącej wdal wody...

Dowództwo bataljonu mieści się w nędznej, obdrapanej chałupie, telefoniści w stodole, na klepisku zaś porozstawiali stołki kanceliści.

Oficerowie z Chilewskim na łące. Zostawiam szkapę ordynansowi i, skacząc przez strumień, stoję przed „bataljonową bandą”.

Odprawa... Na pasiatym kocu rozłożone mapy „specjalki”, wieńcem pochyleni nad nimi dowódcy kompanij i Stefan Chilewski. Wesoło i gwar, rozpytywania...

Czekamy jeszcze na zapóźnionych i wreszcie gdyśmy się w komplecie zebrali, każdy z nosem, utkwionym w mapę — ściszywszy gwar, zaczyna Chilewski o sytuacji.

Ołówkiem pilnie zakreśla odcinki, kierunek marszu i ataku, wyznacza ruchy kompanij, łączność i osłony. Po

delikatnym, subtelnym rysunku map przesuwają się troskliwie oko, by zapamiętać każde nachylenie terenu, zmianę kierunku drogi, las, czy nagie pole...

— Ty, Ewka ¹⁾, — ciągnie Chilewski — będziesz się awanturował od Ponizji. Będziesz udawał straszną wojnę, ścigał ich uwagę na siebie. Lekkie patrole pošlesz wprzód na Jakowicze, aby tam narobiły hałasu...

— Dobra! Tylko uważasz — zaczyna Ewka i szybko coraz szybciej, jak tylko on potrafi, goniąc jedno słowo za drugim, wpada w trans rozgadania.

— Czekać no, Ewka, czekać!... dobrotliwie a spokojnie wstrzymuje go Chilewski. Jak skończę, będziesz gadał...

— Dobra jest, tylko uważasz!...

— Sza! sztil!... odprawa do cholery — huczy adjutant, nierozłączną szpicrutą tłukąc w swe sztylpy...

Ewka ścichł. Stefan zaś, dodawszy mu jeszcze kilka szczegółów, klaruje zadanie, jakie będzie miał Liwacz.

— O 9 odmaszerujesz na Kopane Błoto, stamtąd na Ugljany, a później już wprost na Bienicę i Markowo tak, żeby jednym plutonem zagarnąć baterję — i dokładnie, z namarszczonem czołem wyznacza linję ataku...

— Jurek Wądołkowski pójdzie na prawo od ciebie, a ty, Wacek, w rezerwie ze mną...

— A eskulap, gdzie się umieści?...

— Borkowski, ty założysz w Zagórze punkt opatrunkowy i tam też rannych należy odsyłać...

— No ja!... dodaje adjutant — będziesz krajał pacjentów...

— Żeby tylko byli — wzdycha Borkowski...

— Cholera, pieron eskulap, łasy na krew ludzką. Będziesz jeszcze miał praktykę, nie bój się!...

¹⁾ Ppor. Ewka — Feliks Kotarba, poległ w r. 1920.

— Tylko nie lataj za patrolami, a pilnuj rannych — dodaje inny...

— No, schluss — krzyczy Włodek — odprawa „fertig”.

Posypały się jeszcze pytania (na wszelki wypadek) i rozmowa stała się ogólna i hałaśliwa nad wyraz.

— Uważasz Kazek, odkujesz się!... Batoryjka armat, sława jak cholera, maszynki i jeńcy, coś tego panie-dzie-ju — jednym słowem bohaterstwo żołnierza polskiego we wszystkich pismach, dziennikach...

— W komunikacie, tego, wiesz, rozkaz jak sto djabłów — trzeci bataljon 5 pułku piechoty we wspaniałym uderzeniu i t. d. tromtradrata...

— Zawrzyj gębę Włodek — krzyczy Ewka — my tu mamy ważne sprawy, a on tam zawraca głowę...

— Nie bój się, zdążysz jeszcze kopytka wyciągnąć za miłą ojczyznę — czego się śpieszysz?...

— Pewnie, że więcej mam okazji, niż ty, tarnowski „morowcze”...

— O, galant z Krowodrzy, uważasz, zezłościł się! huzia, brr... drażni się adjutant.

— Nie kłóćcie się do stu djabłów! Kawa idzie!..

Po jakiejś bataljonowej lurze rozjeżdżamy się do swoich kompanij.

Zapada cichy, czerwcowy wieczór. Krwawe słońce łuną pożaru czerwieni niebo, płomiennym blaskiem obrzucając w ciszy stojące stare, wysokie topole smorgońskiego traktu. Na horyzoncie, wdali, na jasnym tle niezarumienionego zorzą wschodu, płomieni się oblana łuną wysoka, zrujnowana wieża smorgońskiego kościoła.

Z łąk dolatuje chrapliwe granie derkaczy, z ogrzanych upalnym dniem błot i stawów dochodzą żabie, melodyjne rozmowy. Po zbitej gliniastej drodze, osypanej żółtym py-

łem, wloką się „tielegi” chłopskie i spacerują pod wsią żołnierze...

Na linii niezmienny spokój. Od czasu do czasu tylko, gdzieś na odcinku pierwszego pułku gruchnie strzał...

Spokój letniego wieczoru ogarnął okopy obu stron. Rozkoszne ciepło podwieczora, przecudne białe mgły, podnoszące się z łąk, rozżarzone niebo, cisza bijąca z pól zniewala walczących do milczenia.

Piękno, uroda życia, narzucająca się z nieodpartą siłą żołnierskim duszom, odgania od nich powiew dalekiej jakby wojny, nieznanej jakby śmierci...

Zapadła noc, gdym w głuchej ciszy wychodził z kompanją ze wsi. Krętą drogą, wśród wzgórz dochodzimy do Zagórza, a stamtąd do Kopanego Błota. Pod wsią, pod wzgórzem rozkładałam kompanję, a sam z Chilewskim i adiutantem nasłuchuję odgłosów.

Liwacz ma uderzyć o 2-ej, gdy świt przenikać pocznie mrok, Ewka zaś rozpocznie wkrótce awanturowanie się z Siwicy.

Po niedługiej chwili, gdym już rozesłał ubezpieczenia, odezwały się pierwsze strzały, przeciągie, długie pacania manlicherów.

Natychmiast odpowiedział im alarmowy, rozgłośny trzask rosyjskich karabinów.

Szary świt przenikać począł nocny mrok. Gwiazdy bladły jedna po drugiej, świeży, chłodny wiew przeciągał przez pola i wzgórza...

Strzały z Jakowicz i Siwicy dolatują coraz częstsze i głośniejsze. Raz po raz gruchnie głucha salwa i odpowie im natychmiast bezładny, szybki, gorączkowy ogień rosyjski...

Wyczuwa się doskonale z tej strzelaniny, iż bolszewicy zwrócili na nią całą swą uwagę, nie przypuszczając zapewne, że gdzieś stroną, w szarej nocnej pomroce, w ciszy

zupełnej i skrytości posuwają się ku nim dwie kompanje, na pierwszy strzał gotowe runąć na okopy.

Tymczasem czyste do tej pory niebo poczęło się zaciągać niskimi, ciężkimi chmurami. Z łąk szerokich i rozległych, od Smorgoń i Sól pociągnął silny, przenikający do kości, ostry wiatr zachodni. Nagła zmiana temperatury, silny wiatr idący od przeciwnej strony, z której ma atakować Liwacz, powoduje, że zupełnie nie słyszymy strzałów, ognia, ni gwaru bitwy i napadu, mimo, iż 2-ga godzina minęła i brzask, poprzedzający poranek, począł coraz pełniejszym światłem zalewać wzgórza...

Dzień już był prawie zupełny, gdy doleciały nas pierwsze odgłosy dział —to bateria już widocznie zaatakowana...

Telefoniści bezustanku wzywają 10 kompanję. Strzały w Siwicy umilkły, wreszcie Kotarba melduje przez telefon, że czerwonogwardziści już z Siwicy i Jakowicz uciekli.

Widocznie im Liwacz i Wądołkowski wleźli na tyły...

Czekamy niecierpliwie na pierwszy meldunek. Po dobrej godzinie zadyszany, zgnany, zbiegany przylatuje pierwszy łącznik z meldunkiem. Kazeł melduje o zajęciu jednej ze wsi, o wziętych jeńcach. Do baterji jeszcze nie doszedł...

Po niedługiej chwili sprowadzają pierwszą grupkę rannych z 5-go mińskiego pułku.

Jak zwykle, niczego się nie spodziewali, gdy naraz o szarym brzasku wpadli na ich okopy legioniści...

Czekamy na dalsze meldunki w Kopanem Błocie, a tymczasem przysłuchujemy się opowiadaniom starych zagonowych szlachciców, na mizernych kawałkach ziemi siedzących, potomków ongi zamożnych, herbowych rodzin...

Walka z rządem rosyjskim o kościół w Bienicy, walka o język polski, odpieranie zaciekle rusyfikacji, walka o utrzymanie polskości, jaka tu się zacięcie toczyła w każ-

dym nieomal polskim domu, przesuwają się przed nami szeregiem barwnych, ciekawych opowiadań...

Po godzinie otrzymuje Chilewski jeszcze jeden meldunek, potem drugi i trzeci. Bienica, Markowo zajęte... kupa jeńców, kancelarja pułkowa, konie, broń...

Baterji jednak nie zdążyli zająć. W ostatniej chwili, gdy już byli o kilkaset kroków od niej, nagle podcięła konie i w pełnym galopie znikła na zadrzewionej drodze. Zostały tylko jaszczyki pełne amunicji...

Zostawiam kompanję we wsi, a sam z Chilewskim i adjutantem, wzdłuż strumyka i krętych, urwistych parowów, ze śladami starych z 15-go jeszcze roku okopów niemieckich, dochodzę do Bienicy.

W kilka godzin cała akcja była skończona. Kompanje z łupem cofnęły się na swe stare stanowiska, do Kotów, Ponizja, Kaskiewicz...

Na miejscu już dowiedzieliśmy się, że Bortnowski został wezwany do natychmiastowego odjazdu do Wilna. Wpadł tylko konno do Ponizja, zawiadomił Kotarbę i natychmiast odjechał. Wyjeżdża do Warszawy na kurs Sztabu Generalnego.

Żałujemy „capitaneska” a najbardziej, że diabli wzięli taką szaloną okazję do pożegnalnej popijawy...

Po ostatnim wypadzie, dni poczęły się wlec monotonią i nieciekawie. Dopiero pod koniec czerwca ruch i ożywienie zapanowało w bataljonie, przyjechał bowiem do Zalesia i objął dowództwo nad naszą grupą Dąb-Biernacki, major i dowódca 5 p. piechoty legjonowej...

Ciekawi jesteśmy ogromnie, jak z nami będzie wojował, gdyż przez cały czas ofensywy litewskiej chadzał tylko na bolszewików z I bataljonem Hosera¹⁾ i II Mon-

¹⁾ Obecnie płk. piech.

da¹⁾). Widocznie chce się major przekonać, co jest wart III bataljon jego pułku.

Ze strony bolszewików również daje się odczuwać coraz żywszy ruch. Patrole często-gęsto podchodzą do Kopanego Błota, dzień w dzień ostrzeliwują się z naszymi patrolami. Poza tem, ludność od kilku dni przynosi mnożące się wiadomości z Mołodeczna, ile to tam pułków świeżych przyjechało, ile tysięcy nowego żołnierza...

W powietrzu coś czuć!...

Chłopaki coraz to zagadują wesołemi oczyma, czy aby nie będzie „wojny“, ja zaś ciągle i stale obiecuję Wilno...

— Co tam wam po „wojnie“?... Pójdziemy se do rezerwy, a jakże, na cały miesiąc do Wilna, do wilnianek wypocniemy se, a potem wojna się skończy...

Sprytniejsi uśmiechają się tylko i znacząco mrugają oczyma, lecz inni, słabszego ducha, biorą to nawet serjo...

Przedostatniego dnia czerwca, gdyśmy się nawet, my, oficerowie, niczego jeszcze nie spodziewali—nagle ni z tego ni z owego fonogram głosi, iż ściąga się wszystkie kompanje do rezerwy do Kot i Bajb — a nas zmienia bataljon 3-go pułku piechoty...

— A co, nie mówiłem wam chłopaki, że idziemy do Wilna! — wołam po odczytaniu rozkazu, a sam natychmiast telefonuję do adjutanta.

— Hallo, Włodek — co to znaczy?...

— Co znaczy? „Wojna“ — bracie!.. „Siup“ — na-przód i „szluss“...

— A kiedy, nie wiesz?...

— Jutro — odpowiada adjutant.

1) Obecnie płk. piech.

ZDOBYCIE WILEJKI.

W obydwóch wsiach, Kotach i Bajbach, ruch, gwałt, ścisk i gwar...

Kilkanaście chałup i stodół zajął cały bataljon, pierwszy raz od wyjścia z Wilna rozkwaterowany razem. Przez błotnistą, ciasną uliczkę ledwie-ledwie przeciskają się tabory: wszystkie szopy, stodoły, izby i podsienia gęsto nabite żołnierzami.

Chłopcy jeszcze nie wiedzą, co z nimi będzie... Wilno — czy „wojna“?... Jedni uparcie twierdzą, że już w Smorgoniach (jak kucharz mówi — a kucharz to autorytet niełada) czekają wagony z lokomotywą, obrócone ku Wilnu — inni natomiast głoszą z równym uporem, że pójdziemy do Wilna—owszem, dlaczego nie — ale po drodze ot tak, zlekka, mimochodem wstąpimy odwiedzić Mołodeczno.

Niepewność jednak trwała niedługo. Tego samego jeszcze dnia szefowie-sierzanci kompanij rozdali między plutony brakującą amunicję karabinową, po kilka granatów na „twarz“, a wreszcie rozkaz gruntownego czyszczenia broni i karabinów maszynowych rozwiął złudzenia...

Idziemy naprzód!...

Późnym wieczorem dostaję rozkaz bataljonowy o zbiórce. Już o 4 rano zbiórka bataljonu na drodze w Bajbach; czołgo kolumny na Zalesie...

Wieczór, jak zwykle przed każdą awanturą bojową, pełen złodziejskiego humoru, cynizmem żołnierskim okraszzonego dowoli. W ciasnej izbie gwar, śmiechy, prześmiewania lub chwilami troska o zarządzenia w plutonach, — słowem podniecenie, wyrażające się w ciętych dowcipach i skrupulatnem opatrywaniu steyerów, brownigów i ręcznych granatów....

Szary świt pełgał zaledwie po izbie, gdy po stodołach, izbach i szopach przeleciał rozkaz zbiórki. Za pół godziny kancelarja spakowana, kawa wydana, plutony gwarliwe stoją już na drodze.

— Sekcje odlicz!... — krzyczą podoficerowie, porządkują oddziały i zganiają maruderów, którym jeszcze tam się jakiś owijak na drodze zaplątał...

Na pół godziny przed czwartą kapral dzienny melduje, „jako, że kompanja gotowa“...

Wychodzę z izby. „Baśka“ już osiodłana, niecierpliwie przebiera nogą, siodło wyczyszczone, wszystko na niej świeci się i błyszczy, jakby na gody szła...

Kompanja wzdłuż połamanego płotu rozciągnięta długim dwurzędem. Zamki karabinów lśnią, plecaki równo spakowane, rzemykami skrupulatnie ściągnięte, łopatki i granaty zatknięte mocno, by nie fajtały ni gubiły się w drodze...

— Raport plutonami...

Po raporcie zaś trzeba wzdłuż całej kompanji przejść, na buty i guziki się popatrzeć, temu lub owemu coś tam jeszcze poprawić, innemu „oferma“ z groźbą w oku rzec, wreszcie z wysokości „Baśki“, ściągając cugle, zawołać krótko a ostro:

— Kolumna sekcyjna! Sekcjami na prawo zachodź — marsz!... a gdy z chrzęstem i tupotem zabiegną czwórki, trąciwszy konia ostrogami, huknąć:

— Na ramię broń! Kompanja — marsz!...

Raz, dwa!...

Łup, łup, łup... Tłucze kolumna z pasją ognistą w lepką i czarną drogę, wybija takt zaciekle aż do chwili nowej komendy: Kolumna marszowa!...

— Kolumna marszowa!...

Zagubił się nagle takt i rytm marszowy, z chrzęstem tornistrów i łopatek zbiegną się na czole szarże i ściśnie się cała kolumna...

Wówczas, wesoło i krótko, rozgłośnie i jędrnie rzuca się w szary żołnierski nurt: Odtrąbione!...

— Odtrąbione!...

— U — he!... wrzaśnie kolumna piekielnym głosem i zaraz też wślad za wrzaskiem od pierwszej czwórki huknie wesoło gromki, łobuzerski śpiew:

— Miała baba gąsiora, gąsiora...

W nocy padał deszcz. Rozmiękła, gliniasta droga, pełna kałuż wody; na zielonych jeszcze zbożach lśnią się i drżąc migocą poranne rosy, niby wielkie, perliste łzy...

Z dalekiego, ciemnego pasma boru, zasnutego śniadą, poranną mgiełką, zrywa się i płynie przez wilgotne, mokre łąki rzeźwy, ochoczy głos kukułki-zuzuli...

Mokre, ociążałe od rosy zwieszają się gałęzie przydrożnych płaczących brzoź i—gdy, ręką o siodło się oparłszy, odwracam głowę ku kompanji, by pogadać z szarżami, czy też pogodę będziemy mieli—skręca Baśka na boczny szlak drogi, wydeptany przez wędrownych ludzi, a wówczas wilgotna, ciężka kiść brzozowa prześlizguje się po twarzy łagodnem muśnięciem, skrapiając ją rzeźwą poranną rosą niby miłosnym czarem ust...

Z opłotków wsi rozczochrane wyglądają głowy, pasiatekcieki migają wśród chałup, by ujrzyć cmentego wojska już znowu gdzieś odchodzącego...

I tępy, pełen niepokoju wzrok wbija się w szarą kolumnę z niemem pytaniem...

A wojsko płynie. Przechodzi, wpada do wsi, zostanie dłużej lub krócej, odejdzie wreszcie, wszystko jedno jakie i jakim językiem mówiące, zawsze po sobie pozostawi głęboką ulgę w chłopskiej, znękaney wojną piersi...

Za pierwszym wzgórzem zniknie kolumna i pozostawi po sobie dziwną pustkę, śmiertelną jakby ciszę...

Miedzy opłotkami Bajb wyciągają się wszystkie kompanje i tabor bataljonu w długą i szarą kolumnę.

Mży drobny, nieustanny kapuśniaczek. Nad mokremi polami zawisły dżdżyste, wilgotne mgły, w które zanurzyła się cierpliwa legjonowa piechota. Szara kolumna wsiąkła, zmieszała się z siwą mgłą, przystosowała się niejako do tej ogólnie panującej, smętnej szarzyzny...

Trącam „Baškę” ostrogą i kłusuję na czoło kolumny, gdzie zebrali się oficerowie.

— Brrr, ohydna pogoda...

— Poskudna. I prawdopodobnie zapowiada się takie siąpienie deszczu na cały dzień...

— Zdaje się. Jakoś wiatru niema.

— Dokąd my właściwie idziemy — przerywam nagle Sławkowi Krzyżanowskiemu, który po wyleczeniu się z rany odniesionej pod Żakieńcami — wrócił i objął po Bortnowskim nasz bataljon. Czy masz jakie wiadomości...

— „Forikung”, bracie, „forikung”. Na Ganutę, Wilejkę, Mołodieczno — gdzie tylko chcesz i dusza twa zapragnie...

— Ruch, zdaje się, na całym froncie!

— Ofensywa jak pieron! Co tu gadać — nie oprze-my się teraz chyba aż na Dźwinie.

— To i do Mińska zajrzemy?...

— Nie my! Tam Roja z 2 dywizją i Wielkopoleanie będą się pchali. My z Dębem na Wilejkę — a potem co Bóg da! Zobaczymy!...

Dochodzimy powolnym marszem do Zalesia. Tu już się zbierają kompanje 1-go pułku, którego jeden bataljon rusza z nami. Tworzymy wspólnie z baterją dział i szwadronami kawalerji grupę mjr. Dęba-Biernackiego, z którą to mamy owych niebywałych cudów dokonać.

Po paru godzinach marszu, dokuczliwy deszcz nieco ustał, pole pojaśniało. Dźwigamy się piachami szerokich dróg, brzozaami białemi wysadzanych, to zanurzamy się w wilgotne, mokre lasy, w których zrzadka gdzieś z boku widać dym idący z chałup.

Okolica pusta i bezludna.

Za Ganutą, za Mickiewiczami w jakiejś wsi, w której stanęliśmy na obiad, odprawa u majora Dęba.

Wiejska, dość czysta izba. Z brzękiem ostróg, kupą, wchodzimy do majora, gdy nas adjutant zawiadomił, iż można wchodzić.

Major wita się z nami jasnymi, pogodnemi, ze skrami wesołości oczyma i zaczyna nam objaśniać akcję swym żywym, pełnym ognia głosem, biorąc do rąk ogromną, szczegółową mapę.

Od niewielkiej postaci Dęba-Biernackiego, ubranego w nieco przyciasny mundur, tchnie niesłychana energja, impet, który, ma się wrażenie, poprostu rozsadza ten przyciasny, wyszarzany mundur.

Cała wyprawa wywiera na nas dziwnie radosne i podniecające wrażenie. Podział akcji, jej przygotowanie, wykonanie, zdają się w słowach Dęba rzeczą tak prostą i łatwo wykonalną, cały atak nasz przedstawiony nam w kilkunastu jasnych rzutach dyspozycyj nabiera cech pewnego, murowa-

nego wprost zwycięstwa, że nieodparcie poddajemy się tej
sugestywnej, wesołej, zgóry ponad wszelkie wątpliwości
zwycięskiej odprawie...



MJR. DĄB-BIERNACKI

Uważnie słucham i notuję ważniejsze szczegóły odprawy. Czuję, że dzięki odprawie w ten sposób „zaamcanej” przez Dęba, znaleźliśmy się wszechwładnie pod jego wpływem, zasugerowani całkowicie tą wiarą i pewnością zwycięstwa, jaka bije ze słów dowódcy pułku.

W chwili tej zrozumiałem, że taka odprawa jest faktycznie połową zwycięstwa, że oficer, który wiarę i pewność zwycięstwa tchnie w żołnierzy, dowódca, który potrafi w ten sposób zasugerować oficerów—ma zwycięstwo nad wrogiem faktycznie w olbrzymiej większości zapewnione.

Po godzinnej odprawie wyszliśmy do swoich kompanij w humorach jak anioły. Nawet najwięksi pesymiści, którzy w całym dziurę zawsze odnajdywali, milcząc uśmiechają się cichcem pod niewyrośłym wąsem do owych „fasowań”, zapowiadanych przez Dęba.

Inni, weselszego radośniejszego ducha, radziby wiatr całować i promienie słońca ścisnąć z radości, tak im wesoło na duszy. W myślach idą już na tę awanturę, jak w taniec...

Wedle odprawy, maszerować mamy całą kolumną, z taborami i artylerją w środku, wprost, jak strzelił, na Wilejkę. Na północ, na Kurzeniec poszła jedna kompanja, Holinkowskiego ¹⁾ z kawalerją, my zaś walimy na Teklinopol a stamtąd, po przełamaniu przypuszczalnej sowieckiej linii obronnej, wprost na Wilejkę.

Bolszewicy zajmują przed Wilejką linię obronną, słabo jednak obsadzoną. Poszczególne wsie wzdłuż tej linii ufortyfikowane i obsadzone. Na jedną z tych właśnie wsi, na Teklinopol mamy uderzyć, by dostać się do Wilejki.

O 1-ej w nocy, wedle dyspozycji Dęba — Teklinopol ma być już wzięty przez dwie kompanje 1-go pułku. Stamtąd gwałtownym marszem mamy rznąć na Wilejkę. Kotarba

¹⁾ Zginął w r. 1920.

z 10-tą i moja kompanja uderzyć mają na dworzec i na północną stronę miasta, od Teklinopola, t. j. od zachodu, uderza dwunasta kompanja Chilewskiego. Atak ma nastąpić o świcie i jeżeli złapiemy na dworcu jaki pociąg, to momentalnie ładujemy się — i jazda na Mołodeczno...

W tem miejscu należy sobie wyobrazić dzikie przeżenie i zdębienie krasnoarmiejców, którym nagle na dworzec w Mołodecznie wjeżdżają od strony Wilejki, a więc prawie od tyłu, dwa bataljony „legunów”...

Wyprawa, jeżeli złapiemy pociąg, może być w swym efekcie niebywała. Udało się już Dębowi w ten sposób „warjatów” z bolszewików zrobić w Święcianach swego czasu — dlaczego niema się udać z Mołodecznem?...

To też pod wpływem odprawy majorowskiej, nie przechodzi nam nawet przez głowę myśl, że może się nie udać. I pograżamy się w radosne przepowiadania, jak to będzie wyglądało...

Któryś z nas snuje opowiadanie:

...Z Wilejki do Mołodeczna niema żadnej stacji, sygnalizuje się wobec tego do Mołodeczna, że pociąg z Połocka jedzie z wojskiem. Bolszewicy czekają...

Na dworcu ruch. Tabory, prowjanty, lokomotywy, pancerki, żołnierze — wszystko to w spokoju i bezpieczne, spogląda z ufnością na sypiący zdala dymem, nadjeżdżający pociąg.

Turkoczą i hałasują na szynach koła wagonów, zajeżdża pociąg na stację. Staje.

Nagle — rzecz straszna, niepojęta i okropna. Przerazenie odejmuje władzę, myśl się mąci, dębieją włosy.

— Spasi Christ... szepcą pobladłe wargi...

Bo oto nim pociąg stanął, rozsuwają się gwałtownie pchnięte drzwi wagonów i wychylają się stamtąd dziesiątki

luf i bagnetów. Krzyk — nim się zdołano opamiętać, czy zebrać myśli — runął jak przeraźliwy grom.

— Zdajcieś... zdajcieś...

Gruchnie jakiś prędki strzał, w przerażeniu oddany. A z wagonów wysypie się mrowie bagnetów, z krzykiem, wołaniem, strzelaniną i zwycięskim hurmem wtłoczą się leguny na stację. W mig postracają z lokomotyw bolszewickich obsługę, opadną natarczywym skokiem załogi żelaznych „broniewików“.

Później, szybko i gwałtownie, jedną myślą i rozkazem gnane, rozrzuca się po mieście i wśród gwałtu i strzelaniny, przy nieopisanym panicznym zewsząd popłochu w pół godziny je zajmą...

Takie myśli — marzenia przesuwają się nam przed oczyma. Przerywał je często - gęsto ochotny, łobuzerski śmiech...

— A to byłby kawał bajeczny!...

Tymczasem maszerujemy na Teklinopol.

Patrole kawaleryjskie poszły już wprzód, droga zdaje się do samego Teklinopola wolna i spokojna. W powietrzu wisi stale ciężka, mokra mgła i choć deszcz ustał — zanosi się jednak na ponowne siąpienie, gdyż wilgoć w powietrzu staje się coraz cięższa.

Gdy poczęło się zmierzchać wchłoneły nas głębokie lasy i po krótkim czasie noc zapadła nieprzenikniona. Ciemność coraz gęstsza i grubsza, psa o krok nie spostrzeżesz. Warunki do nagłego napadu doskonałe.

Dobrze już się ściemniło, gdy zaczął padać gęsty, silny deszcz. Cały las pogrążył się w monotonnym, ustawicznym szmerze. Ciemność zwiększyła się jeszcze bardziej.

Maszerujemy tak ze dwie godziny; wokół las, głucha noc, głuchy, bojowy marsz. Wozy taborów skrzypią, od czasu do czasu zatrząsie łańcuchami jakieś działo, piechota

cierpliwie i z rezygnacją sunie przez pełny wody i błota leśny trakt.

W pewnej chwili kolumna stanęła. Piechota stoi w wodzie po kostki, chłopaki, wybierając co suchsze miejsca, kocami ponakrywali głowy. Wszędzie jednak mokro, deszcz pada, pada nieustannie...

Stoimy dość długo, więc znecierpliwiony wysuwam się na czoło i łapię Sławka.

— Czego stoimy?..

— Nie drzyj się — szeptem mówi kapitan. — Już Te-
klinopol...

— Tośmy prędko zaleźli. Poszły już tamte kompanje? — pytam się również owym tajemniczym szeptem...

— 7 i 6 pierwszego w tej chwili poszły. Za pół godziny powinien być gwałt...

— Cyk!... A gdzie major?...

— Chodzi po drodze — odpowiada wściekły kapitan, bo mu woda już za kołnierz się leje i Bóg wie, gdzie mu nie zajdzie.

— Cholera, diabli nadali z tym deszczem...

Wracam do kompanji. Północ już — czekanie zapowiada się na jakąś godzinę co najmniej.

Tymczasem wierzchołkami niewidocznych w ciemności drzew przeciągnął wiatr i naraz deszcze, który padał już od dwóch godzin, lecz niezbyt silnie, stał się poprostu ulewny. Całe potoki wody z szumem poczęły rwać po drodze, a z czarnej otchłani nieba lało i lało bezustanku. Po kilku minutach tej ulewy byliśmy już wszyscy przemoknięci do nitki. Z rękawów płaszczy lało się jak z rynien, na czapce powstawał co chwila staw czy jezioro, za kołnierz woda lała się cynicznym, wesołym ciurkiem...

Kolumna oniemiała. Żołnierze pooblepiali sobą wysokie sosny, inni z podziwienia godnym stoicyzmem siadali

na drodze i bez względu na przeraźliwą wilgoć, która zapewne dotkliwie dawała się im odczuć — z uporem trwali. Jakiś bohater nawet chrapał...

W pewnej chwili poprzez gwałtowny szum ulewy trzasnął rozgłosnie, jędrnie, przeraźliwie i ostro strzał karabinowy. W moment zatrzaskały inne do chóru i przez gęstwą lasu i ulewy dźwięknęła pierwsza kula.

Chłopcy się poruszyli. Pościągali koce z głów i nasłuchują...

Las tymczasem trzęsie się i gra echami strzałów. Za jazgotem rosyjskich strzałów i gwałtownem, prędkim ujadaniem maszynek, poszło niskie trzepanie naszych manlicherów. Jęknął w rozrzucie odłamków jakiś granat ręczny, stęknął za nim drugi i trzeci.

Nasłuchujemy ciekawie, skuleni pod deszczem, zbici w ciasną gromadę.

Las trzęsie się. Kule trzaskają po gałęziach drzew, z brzękliwym, krótkim świstem przelatują nad drogą, zle i kąśliwie targają wysoki, stary las.

— Coś za długo się bawi 6-ta kompanja z tym Teklinopolem...

— Strzelanina, jakby się naprawdę bili. Coś u diabła za długo trwa...

Dąb-Biernacki spaceruje po zalanej wodą drodze, coraz szybciej. Wreszcie woła na gońców bojowych i pogrąża się w noc.

Po dobrej dopiero godzinie ustał ogień. Gdzieś tylko z boku z Barowiec czy z Barańców dolatywało krótkie, chrzęstne nawoływanie karabinów maszynowych. Widocznie bolszewicy zaalarmowani ogniem z Teklinopola, gorączkują się sądząc, że i na nich idzie atak.

— Tamci wesoło psują amunicję...

— Pewnie. Ciarachy nawet nie posłuchają, czy kto idzie i tłuką a tłuką...

— Trockiego wojsko. Tfu do licha!.. splunął z obrzydzeniem Sławek — abominacja człeka bierze! Bić się z takim tałatajstwem...

— Nie gadaj. Nasze trepy austriackie nie lepsze były — uśmiecha się któryś.

— No, no, no... Już jabym tam wolał być trepem austriackim, niż tym „krasnogwardiejem”...

— No, wiara, ruszamy się. Już po bitwie — kończy któryś z pod koca.

Od przodu przeleciał przez kolumnę chrzest. Wysuwali się z pod sosen żołnierze, schlapani błotem, do nitki przemoknięci i skupiali się na drodze...

— M-a-a-arsz!

Gdzieś na prawo i na lewo rozłupuje noc ciągła strzelanina, jednak przed nami cisza kompletna. Deszcz się uciszył zupełnie i gdy wyszliśmy na chwilę z lasu, niebo nawet zieleńka pojaśniało.

Po drodze kręcą się jacyś gońcy bojowi, jacyś adjutanci. Łapię któregoś z nich.

— Cóż tam?...

— Teklinopol wzięty. Walimy dalej!...

Przechodzimy za chwilę świeżo zdobyte okopy rosyjskie. Przewrócone leżą na drodze kozły z drutami, w mroku nocnym słabo się rysują okopy, wyłożone jasnymi deskami. Za chwilę ogarnia nas głęboki szum ogromnych, starych drzew teklinopolskiego parku. Potężna ściana drzew wchłania nas i zatapia w nieprzeniknionej zupełnie ciemności. Przez okrutne błoto brną śpiesznie gońcy z rozkazami, jacyś zagubieni łącznicy dopytują się o swoje kompanje...

Gdzieś ztyłu, w lesie, z którego dawno już wyszliśmy, łomocą po drzewach karabiny maszynowe, raz po raz zrywające się ogniem.

Nas to jakby nic nie obchodziło. Brniemy coraz dalej w błocie po kostki, zbitą kolumną posuwamy się stale naprzód.

Przed nami głucha cisza.

W pewnej chwili zatrzymałem kompanję. Dziesiąta, idąca przede mną, skręciła w lewo, mnie zaś zatrzymał Dąb krótkiem skinieniem ręki.

Na prawo rozchodzi się również droga.

Pod jakimś kapiącym za kołnierz drzewem stoi major, adiutanci, Sławek Krzyżanowski i kilku innych oficerów. Wydierają się stamtąd ciche, zduszone szepty...

— Na Wilejkę droga na lewo!

— Niemożliwe — przeczy inny głos...

Nad mapą pochylają się głowy, skupione, śmiertelnie uważne oczy i wypatrują nerwowe drganie nafosforyzowanej strzałki kompasu.

Zbliżam się i wyciągam latarkę. Ostrożnie, skupieniem zwartem ciał zasłonięty, ciskam delikatny, poprzez palce puszczony promień światła. Pochylają się wnet nad mapą blade, znużone twarze...

— Na prawo... Na prawo z wszelką pewnością — płynie szept z jakichś ust.

— Tak, na prawo! — Major wyprostowuje się i ciska krótki rozkaz:

— Cofnąć kompanję Kotarby!!!

— Goniec 10-tej... Biegiem do porucznika, żeby zwracał kompanję...

Kopnął się goniec bojowy, chlapiąc czarnem błotem. Czekamy chwilkę, wreszcie Dąb gwałtownie zwraca się do mnie:

— Panie Lipiński, pańska kompanja na czoło! Już maszerować i to jak najszybciej... Wprost na Wilejkę!...

— Rozkaz!

Wydaję śpiesznie dyspozycje. — Patrol przedni — raz, dwa — już! Lewa maszynka do patrolu — jazda! Dystanse na 20 kroków — marsz...

Wysuwamy się na szeroką drogę, wysadzoną z dwóch stron pochylonemi wierzbami. Po bokach lśnią w surowej wilgoci jakieś szerokie, równe łąki.

Gnam chłopców coraz szybciej. Major ciągle pogania, chłopcy w zasapaniu w głuchem milczeniu idą, zanurzają się w tę czarną noc, w głuchą naokół pustkę...

Wchodzimy na drewniany most. Z obydwóch stron rozmadły się naraz łąki w jakieś mokradła, bagna i bajory, od których bije stęchły zaduch. Wyrastają z nich czarniejsze od nocy kępy smukłych, wysokich olszyn.

Drewniany most dłuży się tymczasem i dłuży, wyciąga się poprostu w nieskończoność...

Czuję za sobą nieomal oddech całego bataljonu. Słyszę na tym moście w głuchej, natężonej ciszy szmer kroków ośmiu kompanij piechoty, słyszę skrzyp ostrożny kół taborów, ostrożny chrzęst stalowych polówek, niepewne stąpanie koni...

Myśl chciwie, żarliwie, z natężeniem wszystkich władz duszy pracuje, pracuje...

Żeby nie czekali gotowi i czynni przy końcu mostu... żeby nie ustawili maszynki i nie wżarli się ostrym posiewem tysiąca kul na ten most, przez który maszerują dwa bataljony piechoty... Na końcu mostu ustawiona maszynka rosyjska, most długi, a pod nim jakieś stęchłe, przepastne bajory i bagna.

Gnam coraz szybciej straż przednią. Pot nam zalewa oczy.

W pewnej chwili w natężone ucho najradośniejsem i najcudniejszem powitaniem doszedł głęboki szmer lasu.

Wysoka, mroczna ściana, głąb, czeluść sosnowego boru...

— Biegiem marsz!

Załopotały dyle. Dopadamy do końca mostu.

Cisza zupełna, szumi tylko las, spokojnym i równym oddechem sosen.

Uczucia ulgi nikt nie opisze, nikt nie zrozumie. Gdzieś tylko z głębi duszy, z podświadomości żołnierskiej, z pojęcia i zrozumienia spraw wojny instynktem zwierzęcym, ludzką wprawą opanowanym, wyslizgiwał się jad naśmieszliwej obelgi: durnie, bałwany, osły... przecież żywej nogi mogliby tędy nie przepuścić!...

W tej chwili, daleko na widnokręgu łysnął krwawy znak. Wnet za odgłosem, huczącym długo po lesie, zawył granat i buchnął gdzieś z boku od mostu. Błysk płomieni i churgot rozdartych wybuchem odłamków...

— Rychło wczas, rychło! Za pięć minut będziemy wszyscy na drodze! Strzelajcie, strzelajcie!...

Znów sekundowy błysk rozgorzał przez moment na jaśniejącem zlekką niebie. Rypnął gdzieś w błoto następny granat...

W kilkanaście minut piechota, artylerja i tabory wparły się w mokry, ciężki piach wśród sosnowego zagaju. Granaty na most łupiły tymczasem nieustannie.

Maszerujemy dalej bez chwili wytchnienia. Gdy się na chwilkę tylko wstrzymam, by popędzić resztę kompanji, dopada mnie wnet nagłący głos Dęba: prędzej, prędzej — przed świtem musimy uderzyć na Wilejkę...

Niebo zlekką, lecz coraz wyraźniej zaczyna jaśnieć, wierzchołki sosen nabierają szaro-sinego, niebieskiego prawie kolorytu.

Po godzinie gwałtownego marszu, gdy koszula i mundur nie przemokły od potu i zgrzania tylko dlatego, że deszcz

uprzednio przemoczył je docna, w srebrnej poświacie świtu, w sinym odbłasku dnia, gdyśmy się znaleźli na szerokim spłachciu mokrego, białego piachu — trzasnął naraz z lasu ku nam jeden i drugi strzał...

Bach, bach... bach... zadudniły manlichery mojej szpicy.

W tejże samej chwili w głuchym, cichym przed chwilą lesie w mgnieniu oka zrobiło się istne piekło. Jazgot gwałtowny, huraganowy ogień piechoty, trzaskający naraz ze wszystkich prawie stron, ulewa ognia zdusiła nas na miejscu.

Las począł się trząść, drzeć, jęczeć od nieustannego gwałtu ognia. W głowie powstał szum, łomot, niewypowiedziany trzask...

— Strzelać, strzelać... szybki ogień!...

Głos mój zapada się, niknie i ginie wśród rozbestwionego huraganu strzałów. Dopadam do pierwszego z brzęgu żołnierza.

— Strzelaj, ośle, w prawo, strzelaj!...

Wygarnął pierwszy strzał...

— Strzelać!...

W tej chwili załomotała maszynka. O kilka kroków gdzieś pod drzewkiem, piorunem przez Stacha Wolskiego i Latusiewicza zmontowana, targa już snopami ognia szybko, szybko, coraz szybciej!...

— Strzelać, chłopcy! Maszynka nasza bije!...

Poderwało się jeszcze kilka głuchych łomotów manlicherów. Za nimi odezwała się druga nasza maszynka i gwałtownie naraz zatrzepały karabiny. Po lesie, przez ani na chwilę nie słabnący ogień rosyjski, przedarły się suche, chrobotliwe i prędkie zgrzyty otwieranych i zamykanych zamków.

Błyski poczęły raz po raz, coraz gęściej, coraz uparciej migotać pośród drzew...

— Strzelać, chłopcy, strzelać! Nie dać się!...

Ogień nasz zaczyna rosnać z przerażającą gwałtownością. Jednocześnie rosyjski słabnie...

Za chwilę przykładam do ust gwizdek. Krótkie, przeraźliwe gwizdy walczą przez chwilę z ogniem.

— Naprzód! naprzód!...

— Naprzód! — ze wszystkich stron podnosi się krzyk, podrywają się ciemne postacie.

— Hura!... Pojedyncze okrzyki mieszały się ze sobą i stworzyły w jednej chwili ogromny, wspólny krzyk szturmowy.

Ogień rosyjski momentalnie ustał. Biegnę naprzód. Tupot dziesiątek za mną nóg. Mijamy kilku żołnierzy, leżących na drodze. Głuchy stamtąd dochodzi jęk.

Kilkanaście tylko już kroków do końca drogi. Rozrzucił się nagle przed nami skokami nasyp toru kolejowego.

Piorunem, kilkoma skokami znaleźliśmy się na górze.

Na żółtym żwirze toru jakieś czapki, karabiny, łuski. Ówdzie zacięnięta, zbielała pięść trupa. Za torem kołysze się i chrzęstnie szumi zboże pośpiesznie falując. To na łeb na szyję gnąją bolszewicy do miasta w srogiej ucieczce.

O kilkaset kroków pierwsza chałupa. Na jasnym już zupełnie tle nieba wystrzela wysoka wieża. Białe, murowane domki stoją nieme w ciszy ogrodów, we mgle, która je od dołu okala pierwszym oddechem poranku.

Wilejka!...

— Wyrównać wzdłuż toru!... Stać, stać! Wyrównać...

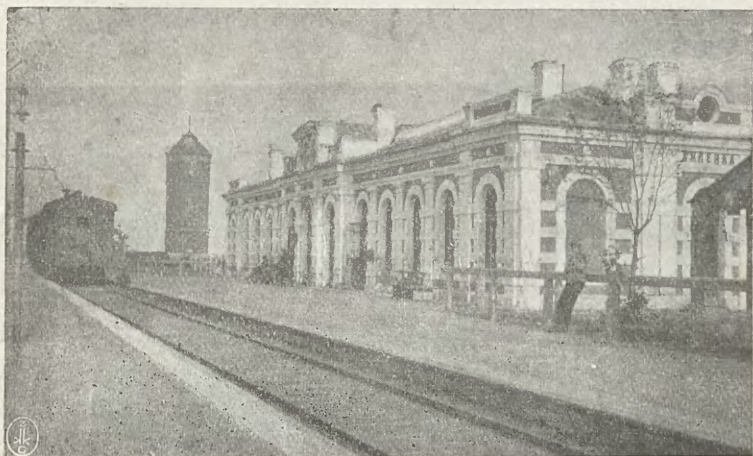
Z lasu wybiega biegiem następna za moją kompanja. Za nią długi łańcuch tyraljery.

Za chwilę dopada mnie Sławek Krzyżanowski.

— Naprzód na miasto! Nie zatrzymywać się!

Podniesiona wysoko ręka ku górze. Donośna, długa komenda: marsz!...

Zanurzamy się w sperlone rosą, mokre, ociężałe od wilgoci kiście wąsatego jęczmienia i bladego żyta. Patrole piorunem, co duchu kopnęły się wprzód.



Dworzec kolejowy w Wilejce.

Od cmentarza biegnie gwałtownie wdół szeroka ulica. Na lewo zatrzaśkały jakieś krótkie, gorączkowe strzały, — zerwał się ogień i natychmiast ucichł.

Tam poszła dziesiąta kompanja Kotarby.

Na lewo od mojej brodzi już przez zboża następna kompanja, rzucona w pościg.

Za chwile wchłania nas Wilejka w białe swe uliczki.

Miasteczko ciche, jakby pogrążone w głębokim śnie, czuje się jednak w migotaniu bladych twarzy w oknach niskich domów oślepy strach.

W co większych, murowanych domach drzwi naościęz poroztwierane, papiery jakieś porozrzucane w nagłym po-

płochu. W pokojach bolszewickich urzędników panika i gwałt, wszystko do góry nogami, poroztrzęcane gwałtownym biegiem ucieczki...

Tuż za ogrodami miasta, z przeciwnej jego strony, rozciąga się sinem pasmem płytka, szeroka Wilja. Przez most, nagwałt, co siły uciekają jakowis ludzie, za którymi gonią strzały...

Wilejka zdobyta.

Ściągam kompanję i maszeruję ku dworcowi, prowadzony przez pierwszego z brzegu złapanego chłopą. Tam się mają poszczególne kompanje zejść.

Jest godzina czwarta rano. Na dworcu dowiaduję się, że mam kompanję gdzieś obok rozkwaterować i czekać na dalsze rozkazy.

W najbliższej więc uliczce ściągam kompanję w dwurząd, broń w kozły i — zajmijcie chłopaki kwatery tylko mi się nie rozłazić nigdzie. Sam ledwie włócząc nogami, pakuje się do pierwszej z brzegu chałupy.

Zachrypnięty najzupełniej, wydaję jeszcze sierżantowi dyspozycję: kawę natychmiast podwieźć, wydać chleb i słoninę, jeżeli taka jest, i uzupełnić amunicję. I jakie straty w kompanji? — dowiedzieć się, ilu brak ludzi...

Za chwilę, gdy ordynans uporał się już jako tako z butami, które stwardniały, jak kamień, w świeżej, na szczęście niezamokłej w walizce bieliźnie, wtulam się w jakoweś wdowskie pierzyny.

NAD KRĘTĄ WILJĄ.

Obudziły mię jaskrawe, upalne promienie słońca, z okna natrętnie zalazłe na łóżko. Pod piecem, oparty o stół, chrapie goniec bojowy, drugi rozwalił się na ławce, jak trup, tylko mój mały Michał z trzecim skwierczą coś na piecu...

Słońce gra promieniami na twarzy, z otwartych okien bije upał, brzęczą muchy i czarną sadzą osiadają pułap, skwierczy słoninka i pryska na kominie...

Południe w cichym, upalnym lipcowym dniu, w cichej, wysadzonej kasztanami uliczce jakiegoś miasteczka, gdzieś tam na Białej Rusi czy Litwie, gdzieś na drodze do Połocka...

Ordynas widzi, że nie śpię.

— Panie poruczniku, jajki można — ciągnie z białoruska.

— Jajki? Dawaj jajki!

— Oto mało z tołku nie zszedł... — zaczyna mój Michał, którego zafasowałem w Smorgoniach — jak zaczęli bić z karabinów. Myślałem że już i po mnie...

— Dobrze, dobrze, opowiesz mi później. Daj mi teraz zimnej wody...

Przez okno zagląda jakiś goniec.

— Jest tu porucznik Lipiński?...

— Jest! Czego tam? ..

— Na odprawę do kapitana, panie poruczniku!...

Na odprawie rozdzielono bataljon. Dwie kompanje ze Sławkiem Krzyżanowskim mają iść na Kurzeniec, aby tam podeprzeć kawalerję.

Kurzeniec, miasteczko o 12 kilometrów na północ od Wilejki, został przez Holinkowskiego zajęty jednocześnie z Wilejką, przyczem kawalerja zafasowała dwa działa, które z pod Wilejki cofały się na północ w stronę Kurzenia.

Ogólna sytuacja naogół dość niewyraźna. Jazda na Mołodeczno zrobiła „fiasco“ bowiem w ostatniej chwili drapnął nam pociąg z lokomotywą. Poza tem niewiadomo, czy grupa południowa Roji uderzyła już na Mołodeczno i wzięła je, czy też stoi jeszcze na dawnem miejscu.

Jest to dla nas wiadomość pierwszorzędnej wagi, ponieważ w razie niezajęcia Mołodeczna mogą pójść na nas kontrataki z dwóch stron: od Mołodeczna na Wilejkę i od Połocka na Kurzeniec.

W przewidywaniu więc tych kontrataków, dwie kompanje i półbaterja idą na Kurzeniec, zaś kompanja dwunasta i moja maszerować mamy pod komendą Chilewskiego w stronę Mołodeczna na Glinne i Cny, dotrzeć jak tylko można najdalej i obsadzić jedną ze stacyj na linii Mołodeczno — Wilejka.

Plan Dęba - Biernackiego, aby ruszyć z bataljonami odrazu na Mołodeczno, nie udał się w tem, żeśmy pociąg w Wilejce nie zdążyli pochwycić — odjechał w stronę Mołodeczna jakieś pół godziny przed starciem na torze kolejowym.

Natychmiast po odprawie zbiórka do odmarszu. Chłopcy już jako tako wypoczęli i wysuszyli się przez te pół dnia, tak, że maszerować można niezgorzej.

Na krańcu miasta rozdzielamy się. Drotlew z 12-tą poszedł prawym brzegiem Wilji, a ja lewym; on ma się posuwać wzdłuż toru, ja zaś z kompanją mam ubezpieczyć miasto od południa, głównie zaś dwa wielkie mosty, kolejowy żelazny i drogowy drewniany.

Około 4-ej po południu jestem już na wyznaczonym miejscu i zmieniam przy mostach siódmą kompanję 1-ego pułku. Jest ze mną również Chilewski, jako dowódca półbataljonu.

Dzień w dalszym ciągu jadowicie skwarny. Rzeka płynie sennie, leniwie, wokół lasy, pogrążone w głębokiej ciszy upałego dnia.

Siadamy z Chilewskim przy moście na żółtym, świeżym piasku rozkopanych wnek strzeleckich i rozmawiamy o ogólnej sytuacji, gdy wtem z drugiej strony Wilji, z miejsca, gdzie mniej więcej powinien znajdować się Józek Drotlew ze swoją kompanją, gruchnęło po lesie kilka strzałów.

Za nimi wnet odezwały się inne i wśród niskiego rumoru, jakie czyniły w lesie nasze manlichery, rozpoznaliśmy odrazu ostry gwałt karabinów rosyjskich.

— Oho, dwunasta na coś wlaźła...

— Prawdopodobnie jakiś patrol...

— Być może, chociaż za patrolem muszą iść i poważniejsze oddziały...

— Zobaczymy, co tam jest — mówi Chilewski — trzeba pchnąć łącznika.

Wołam jednego z morowszych sekcyjnych, kaprała Brzóske, i posyłam go z kilkoma ludźmi przez most, w stronę ciemno-zielonej ściany lasu, by natychmiast wracał z wiadomością od 12 kompanji.

Ogień tymczasem rośnie tam coraz bardziej. Do strzelaniny kaarbinowej dołączyły się szybkie, ścigające się

jakby nawzajem głucho dudnienia karabinów maszynowych. Ponad brzeg lasu, wchodzącego staremi, rozłożystymi sosnami w senną rzekę, poczęły się unosić i rozwłóczyć niebieskawe smugi dymu, jaki powstaje z gwałtownego ognia piechoty.

Zaczynamy się poważnie niepokoić, gdyż wyraźnie widać, że to nie zwyczajna sobie „pierestrielka“ patroli, lecz ogień już całej kompanji piechoty, dwustu przeszło karabinów. Tem bardziej, że za jedną naszą maszynką odezwała się druga, trzecia, wreszcie wszystkie cztery nieustępliwem, gwałtownem ujadaniem ognia wmieszały się w przelewający się, bulgocący, jak war w garnku, w rozdygotany pogłos leśnego boju spotkaniowego.

Po kilku kwadransach, gdy ogień rósł coraz bardziej na sile, postanowiliśmy z Chilewskim podejść bliżej, boć przecie djabli wiedzą, co tam być może.

Zostawiam więc na moście i na prawo od niego półtora plutonu z Jurkiem Wądołkowskim, a resztę kompanji z maszynkami podciągam przez most ku lasowi, gdzie tłucze się dwunasta.

Na moście natychmiast otrząsały nas szrapnele. Pancerka bolszewicka stoi tuż na skrócie i słupami rozdzieranej ziemi znaczy linję, gdzie się toczy walka.

Dopadamy jakoś bez strat do lasu, gdzie już świsty kul polatują na wszystkie strony.

Rozkładałm śpiesznie kompanję i pcham znów łącznika do dwunastej.

Za chwilę wraca pierwszy łącznik z meldunkiem od Drotlewa: Józek natknął się na silne tyraljery bolszewickie, które wprost z pociągu ruszały na Wilejkę, podwieszono koleją aż pod most.

Chilewski uważnie przegląda meldunek Józka wreszcie siada i dyktuje mi meldunek do majora:

„Kompanja 9 o godzinie 17 zajęła wieś Glinnoje Bołoto, ubezpieczyła żelazny most na Wilji oraz wieś Glinnę, wysyłając patrole do Osipowicz, Nieczewicz, Baraniec“...

Po lesie tną kule niby osy. Raz po raz opadają strącone gałęzki drzew. Ogień rosyjski rośnie z chwili na chwilę...

Chilewski dyktuje dalej:

...„Kompanja 12 idąca lewym brzegiem Wilji na wysokości mostu napotkała o godzinie 18 nieprzyjaciela. Początkowo zetknęły się patrole wysłane w celu wysadzenia toru za pancerką. Patrole te przypuścił nieprzyjaciel na bliski dystans“...

Z pośród zalewu ognia począł nagle wyrastać ni to szum drzew pośród burzy, ni to ogromny krzyk setek ludzi. Wstrzymujemy oddechy...

— Zdaje się, szturm...

— Tak, to na pewno szturm... Oj, coś bieda!...

Za chwilę ucichło. Znów zerwał się gwałtowny ogień.

...„przypuścił nieprzyjaciel na bliski dystans i zaatakował je. Na torze znajdował się w danym momencie pociąg pancerny i towarowy (około 40 wagonów)“...

Gwałtownie naraz zamknąłem blok meldunkowy. Chwyciliśmy obaj za steyery.

Po lesie szedł ogromny gwar, krzyk, wołania. Ogień ścichł, zrywały się od czasu do czasu tylko pojedyncze lub grupkowe strzały...

Na szerokiej drodze, wiodącej do Glinnej, w gałęziach niskiego poszycia powstał rozgłośny szum. Wyłania się długa, nieregularna tyraljera z gwarem, nawoływaniem, krzykami. Żołnierze zgnani, czarni od potu, brudu, prochu, rozemocjonowani, ciągnąc za sobą karabiny, wloką się przez las...

Cofają się!...

Chilewski jednym skokiem znalazł się przy Drotlewie...

— Co się stało?

Oczy przekrwione od zmęczenia, zżarte piachem. Z zasnętego gardła ledwo, ledwo, z trudem wydobywa się śmiertelnie znużony głos.

— Zaszli nam tyły, okrzygli, trzeba było wyrwać. Amunicji nie mamy zupełnie — dodał z rozpaczą.

— Wacek! Oślaniasz odwrót!... Natychmiast!...

Z gwałtownym pośpiechem rozrzucam tyraljerę. Maszynki zmontowane, chłopcy rozrzućeni po lesie.

W kilka minut dwunasta znikła na zakręcie drogi. Natomiast przez jasny piach leśnego traktu poczęli przelatywać, wiejąc długimi połami płaszców, bolszewicy...

Gwar szedł z tamtej strony coraz większy, zbierali się i podchodzili już na normalny celownik!...

— Szybki ogień! Strzelać!...

Rozgruchotał się las zajadnie, tłuc poczęły obydwie maszyny. Po kilku minutach wściekłego, huraganowego wprost ognia, gdy bolszewicy padli i zaczęli odpowiadać, podnosząc tyraljerę i cofam ją o sto kroków. Jedna maszyna bije przez cały czas zapamiętale — druga się już tymczasem wtyłe montuje.

W ten sposób kombinacją ruchu i ognia, przenoszeniem maszynek przez Stacha Wolskiego i „Bobusia“ Gontarskiego¹⁾ i stałym mimo to ogniem — w pół godziny odstawiłem bolszewików na wysoki celownik gdy pojękiwać wreszcie poczęły kule po lesie ostatnim lotem, zebrałem kompanję i gwałtownym marszem rwę ku Wilejce.

Cichy ciepły zapadał wieczór, gdy zadudnił most pod stopami kompanji. Wilejka już zaalarmowana, obsadzona ze wszystkich stron.

Bolszewicy jakoś się nie zbliżają. Prawdopodobnie postradali zbyt wielu ludzi w czterogodzinnej upartej walce z kompanją dwunastą, aby mogli zaraz atakować dalej.

¹⁾ Obecnie ppor. rez. dr. med.

W Wilejce, za ledwie kompanja zdążyła cośkolwiek przegryźć, maszerują zpowrotem na most, aby go nie pozwolić opanować bolszewikom. Został tam pluton z Jurkiem Wądołkowskim, lecz na obronę mostu jest to najzupełniej za mało.

Z Wilejki, piachami i zagajnikami, po godzinie skupionego, cichego marszu dochodzimy do kolejowego toru, do rozkopanych wnek strzeleckich u wylotu czarnej szyi mostu...

Nad rzeką unoszą się blade mgły, rozwłócząc się siwymi tumanami po rzecznych zaroślach.

Z drugiego końca mostu, z wysokiego piaszczystego wzgórza leśnego dochodzi wyraźnie w ciszy nocnej chrzęst i zgrzyt pracowitego kopania okopów i głosy rosyjskich żołnierzy.

Placówka moja, wysunięta daleko w głąb mostu, nad czarnymi falami Wilji, wyteża czujnie słuch, gotowa każdej chwili przy ostrożnym szmerze stąpania, rozedrzeć mrok nocny błyskami granatów ręcznych.

Na trójnożu osadzony mocno karabin maszynowy, którego rączki ani na chwilę nie opuszcza dłoń celowniczego...

Obok na moście żelaznym, wysokim łukiem wrzynającym się w głąb nocnego mroku, w piachu wkopana, połyskująca ostrzami nasadzonych bańnetów, czuwa druga placówka...

Do świtu jeszcze brakowało godzinę, gdy zameldował mi Brzózka, najmorowszy kapral z całej kompanji, że bolszewicy pono podciągnęli maszynkę pod samą naszą placówkę, i że obsługę tej maszynki w każdej chwili można wytłuc...

Wołam Staśka Wolskiego.

— Weźmiesz z plutonu dziesięciu ludzi najmorowszych, weźmiesz granaty i podczołgasz się pod tę maszyn-

kę, wyrzujesz salwę granatami, maszynkę musisz przywlec...

Oparty na sztucerku słucha, ściągnawszy uważnie, do bólu brwi...

Za pół godziny zameldował cichym głosem odmarsz...

Czekam ze ściśniętym, z bijącym jak dzwon sercem.

W rzecznych szuwarach zaczyna się coś niespokojnie trzepotać, kwilić, szurgać wśród szuwarów. Gardłowy głos kaczek, ochrypłych jakby, ze wszystkich stron się zrywających, głosi świt.

Leżę ponad nasypem toru, trzęsąc się z zimna. Nad mostem cisza, żaden szmer, głos ni krzyk nie przerywa spokoju wstającego dnia...

W pewnej chwili zrywam się na równe nogi. Przede mną staje Wolski.

— Co się stało?...

Oczy Staśka weselą się uśmiechem.

— Nic! Bolszewików niema... Dęba skroili...

— Nie może być?...

— Sam nie wiem co jest! Dość, że niema. Widocznie zaszło coś u nich. Może Roja wziął Mołodeczno i musieli się stąd nagwałt cofać. Dość, że ich niema...

— Poślij z plutonu zaraz patrol na drugi brzeg. Niech się zwiedzą w Glinnem. Tam chłopci są...

Wskakuję na wysoki nasyp toru. W lekkich mgłach pogrążony drugi, leśny brzeg Wilji. Cisza tam grobowa.

W kilkanaście minut zaczernił się patrol na moście. Przechodzi wzdłuż. Chwilkę rysuje się na jasnym tle piasków, wreszcie znika w głębi lasu.

Bolszewicy faktycznie cofnęli się nad samym świtem. Na drugi dzień w południe Chilewski przysłał kompanję 1-go pułku na zmianę, a ja swoją pociągnąłem do Wilejki na kwatery.

Dwa dni spałem jak zabity, wraz z całą kompanją nie wiedząc o Bożym świecie.

SZLAKIEM BATOREGO.

Po dwóch dniach rozkosznego odpoczynku pomaszerowałem z kompanją do Kurzeńca, aby tam dociągnąć do całego bataljonu. Obydwie kompanje, 10-ta Kotarby i 11-ta Liwacza, które zaraz po wzięciu Wilejki odmaszerowały do Kurzeńca, miały tymczasem ciężką tam pracę. Rezerwy



Napoleoński szlak na Połock.

sowieckie, podwieszone z Połocka przez dwa dni rzuciły się łańcuchami tyralier na te dwie szczupłe kompanje i na trzecią Holinkowskiego z 1-go pułku. Wśród sfalowanych zbożami pagórków toczyła się nieustępliwa, zażarta wal-

ka z atakującymi bolszewikami, którzy wreszcie, zsiekani maszynkami i karabinowym ogniem, ze srogimi stratami cofnęli się na Rieczki i prawdopodobnie dalej na Dołhinów i Berezynę, gdyż chłopci z Rieczek donieśli wnet o śpiesznym odwrócie czerwonogwardystów.

Maszeruję na Kurzeniec przepysznym, szerokim traktem, wysadzonym starami brzoźami, wśród wesołych pieśni kompanji, z całym taborem, skrzypiącym na piasku szerokiego traktu.

Z Kurzeńca pomaszerowaliśmy całym bataljonem na Rieczki, a potem bataljon rozdzielono. Trzy kompanje poszły na północ, w kierunku na Krzywice dla nawiązania łączności z kawalerją Beliny, czyli t. zw. „grupą jezior”, buszującą między jeziorami Naroczem i Świrem, mnie zaś z kompanją wysłano na Kościeniewicze, nad Serwecz w stronę Dołhinowa, jako silny wywiad wprzód.

Po drodze na Serwecz natknąłem się na cały bataljon jeńców bolszewickich, których eskortowało kilkunastu ułanów.

Pięciuset przeszło jeńców wpadło w ręce 20 załedwie ułanów, dzięki owemu niebywałemu zuchwalstwu legjonowemu. Historia bardzo prosta. Patrol ułański wpadł na stację Budśław i od kolejarzy — Polaków dowiedział się, że za chwilę nadejdzie pociąg z Połocka z pięciuset bolszewikami, którzy natychmiast mają uderzyć na Kurzeniec. Nie namyślając się wiele, steroryzowali znajdującą się tam ponadto obsługę bolszewicką i korzystając z zapadłej nocy — rozstawili szyny, niecierpliwie czekając na wjazd pociągu.

Ogromny pociąg wkrótce zajechał, lokomotywa z kilkunoma wagonami wykopyrstnęła się w piach, ułani zaś ze straszliwą strzelaniną i straszniejszym jeszcze krzykiem wpadli na wagony i nie tracąc ani jednego człowieka, zagarnęli pięciuset bolszewików. Udało im się tem bardziej, że owe srogie rezerwy zostały dopiero co zmobilizowane i zała-

dowane na pociąg bez wydania karabinów, które wieziono w ostatnim wagonie pod osłoną wiernych komunistów. Co prawda ułani o tej sprzyjającej okoliczności nie wiedzieli, lecz chociażby nawet bolszewicy mieli broń, na pewnoby się nie bronili, sądząc, iż napada na nich jakiś większy oddział.

Teraz maszerowali ogromną kupą, poubierani w najrozmaitsze mundury i najkompletniej zadowoleni ze swego losu.



Pluton szwoleżerów z wziętymi pod Budławiem jeńcami.

Do Serwecza maszerowałem cały dzień wzdłuż tego prześlicznego traktu, który pamiętał jeszcze napoleońskie bataljony, i zaledwie rozstawiłem placówki, już po kilku godzinach dognał mnie łącznik z Krzywic, abym natychmiast tam maszerował.

W Krzywicach rozlokowany znów cały bataljon. O bolszewikach naraz e nic nie słyhać, pono są w Dokszycach, pono ich stamtąd Orlicz¹⁾ ze szwoleżerami już wyrzucił, poza tem gadki między oficerstwem krążą, jakoby nas czwartacy mieli zmienić — a my, faktycznie na ten raz, do Wilna, do rezerwy.

Po kilku dniach łowienia ryb w głębokim Serweczu, po wybijaniu gromadami ogromnych jazi i szczupaków, po jakichś lekkich patrolach i włóczeniu się wśród nieprzebytych lasów, podciągnął do Krzywic 4 pułk, a my, ku powszechnej radości i zadowoleniu po dwu i pół miesięcznej ofensywie, załadowaliśmy się na długi, przygotowany dla nas pociąg.

W połowie tedy lipca znów stanęliśmy w Wilnie. Miasto się niesłychanie zmieniło. Na Św. Jerskiej ruch, flitry z ułanami, ścisk w kawiarniach i na werandach, nie mniejszy, niż w Warszawie w Alejach Ujazdowskich, czy na plantach krakowskich.

Zewsząd bije śmiech, gwar, szczęście i wesele patrzą z oczu, wesołe życie płynie bujnym, radosnym potokiem.

Nic już nie przypomina tego ponurego, zgasłego, wychudzonego i wygłodniałego Wilna, jakie zostawili po sobie bolszewicy.

Po dwóch tygodniach rezerwy wileńskiej obsadzono naszym bataljonem linię demarkacyjną granicy z Litwinami w okolicach Merecza, Daug, wśród przepysznych wzgórz litewskich, wśród lasów, jezior i łąk, a co najważniejsza, wśród licznych dworów, zamieszkałych, zagospodarowanych, witających nas z nadzwyczajną radością, wśród starych ścian modrzewiowych i przemiłego akcentu nadnie-meńskiego, gdzie każde słowo ciągnie się jak pieśń litewskich borów.

¹⁾ Orlicz-Dreszer, ob. gen. brygady.

Przecudna, kraśna jesień obarwiła pola i lasy, gdyśmy ścigali w połowie września z linii demarkacyjnej. Rdzawym nalotem okryły się litewskie stare dęby, pojaśniały brzozy odblaskiem złota, snuły się śniade, jesienne mgiełki nad rzyskami w łagodnych promieniach wrześniowego słońca.

Kompanja załadowana na długi sznur podwód, ciągnęła ze śpiewem, radością i weselem po białym rzucie szosy, ciśniętym wśród pagórków i wzgórz...

Dwa dni turkotały niezmordowane, pracowite koła pociągu, nim dojechalśmy do Kałkun, na szerokie, równe pola, obniżające się ku Dźwinie...



Okopy pod Dynaburgiem.

Na wszystkich stacyjkach, rampach i torach ruch, życie, gwar. Na szerokich lorach, pokrowcami okryte, drżały w turkocie kół ciężkie, przerażające czołgi, liczne baterje wyciągały długie swe szyje na wschód, a niezmierzonymi polami polatywały wdal dudnienia armat...

Za jakąś baterją ośmnastocentymetrówek podeszliśmy szybkim krokiem na lekkie wzgórze i chciwym wzrokiem ogarnęliśmy szeroki horyzont...

W sinej, śniadej mgle podwieczerja tulił się płaski, równy kraj, zarysem Dźwiny przerźnięty jakby na dwie połowy...

Po drugiej stronie, w zachodzącego słońca blaskach, paliły się cerkiewne, złote kopuły i różowiły się wyniosłe, jasne wieżycy...

Ogromne miasto rozciągało się przed nami, milczące, chłodne tak dalekie i tak bliskie...

A wokoło huczały salwy działowe i z długim poświstem pruły powietrze pociski ciężkich dział...

Dynaburg czekał...

SKOROWIDZ NAZWISK.

- BELINA-PRAŻMOWSKI — 170.
BOREK-HERSZTAL — 110.
BORKOWSKI — 44, 105, 136.
BORTNOWSKI — 13, 18, 22, 44, 51, 52, 54, 56, 61, 62; 64; 66; 70; 71;
87, 88, 105, 107, 108, 111, 112, 119, 120, 121, 122, 133, 140.
BRODA — 7, 44
BRZÓZKA — 103, 167.
BUJWIDÓWNA — 88.
CHILEWSKI — 7, 26, 27, 29, 34, 35, 36, 40, 45; 63; 69; 70; 84; 88; 112;
117, 124, 134; 135, 136, 138, 140, 149, 162, 163; 164; 168.
DĄB-BIERNACKI — 5, 44, 90, 140, 146, 147, 148, 149, 152, 154; 156; 162.
DRESZER-ORLICZ — 172.
DROTLEW — 7, 45, 84, 85, 88, 114, 163, 164, 165.
FIJAŁKOWSKI-MŁOT — 60.
GONTARSKI — 166.
GRZYP — 7, 29, 31, 38, 58, 78, 79, 80, 82, 101, 115; 117.
HEILMAN — 84.
HOLINKOWSKI — 148, 162.
HOSER — 140.
KARASZEWICZ-TOKARZEWSKI — 5, 44, 90.
KOTARBA — 136, 139, 140, 148, 154, 159, 169.
KRZEWSKI — 110.
KRZYŻANOWSKI BOL. — 22, 23, 25, 28, 29, 31, 44, 145, 154, 158, 162.
KRZYŻANOWSKI WŁODZ. — 7, 39, 44, 88.
KUCZKOWSKI — 58, 101.
LATUSIEWICZ — 157.
LEPIARZ — 7.
LIPINSKI — 7, 88, 101, 154, 161.
LITWINOWICZ — 59.

- LIWACZ — 26, 27, 29, 34, 35, 36, 40, 45, 62, 63, 87, 138, 139, 169.
MACKIEWICZ — 25.
MŁODKOWSKI — 29, 31, 33, 34, 38, 58, 62, 69, 78, 87, 89, 106.
MOND — 140.
NEUMARK — 31, 78, 101, 115, 116, 117.
NOWAK — 29, 32, 36, 115, 116.
PACHOLSKI — 36, 37, 58, 101, 126.
PIŁSUDSKI — 9, 15, 25.
PLACKOWSKI — 101.
ROJA — 44, 90, 146, 192.
ROŹDŻYŃSKI — 33.
RYDZ-ŚMIGŁY — 5, 11, 24, 44, 106, 107, 109, 129.
SEKARA-MAZUR — 7.
SOBOLTA — 114.
STAUB — 44, 62, 70, 88.
ŚWIĄTECKI — 7.
SZEPTYCKI — 16.
SZCZEPKOWSKI — 88.
THORN — 59.
TOMASZEWSKI — 107, 108.
WĄDŁKOWSKI — 84, 136, 139, 164, 167.
WENDA — 37.
WOLSKI — 29, 101, 157, 166, 167, 168.
WYRWIŃSKI-KOGUT — 7.

TEGOŻ AUTORA

SZLAKIEM I BRYGADY (dziennik żołnierski). Wydanie II.
Warszawa 1928. 10.—

WŚRÓD LWOWSKICH ORŁAT (wspomnienia z obrony Lwowa).
Warszawa 1927. Wyczerpane.

ŹRÓDŁA I MATERJAŁY DO HISTORJI NAJNOWSZEJ WOJ-
SKOWOŚCI POLSKIEJ. Wydanie II. Warszawa 1928. 1.50

ARCHIWA FORMACYJ POLSKICH Z WOJNY ŚWIATOWEJ.
Warszawa 1928. 1.—

BAJOŃCZYCY I ARMJA POLSKA WE FRANCJI. Warszawa 1929. 2.—

DO NABYCIA
W GŁÓWNEJ KSIĘGARNI WOJSKOWEJ
WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT 69.

